

BIURO OSRODKA KARTA

---

***Nowy Zapis***  
***czerwiec, lipiec 1983***

***nr 4-5***

## SPIS TRESCI

|     |     |  |
|-----|-----|--|
| 3   | 1.  | Kondukt  |
| 4   | 2.  | My '83   |
| 13  | 3.  | Marian Brandys - Twardy człowiek   |
| 26  | 4.  | Tomasz Jastrun - Wiersze   |
| 28  | 5.  | Hannah Arendt - Masy   |
| 47  | 6.  | Wiersze  |
| 48  | 7.  | Skazany na banicję   |
| 55  | 8.  | Wiersze  |
| 57  | 9.  | Przemoc wielka i mała  |
| 60  | 10. | Wiersze  |
| 62  | 11. | To tu, to tam  |
| 67  | 12. | Kazimierz Orkoś - Nie przechodź na czerwonym   |
| 71  | 13. | Towarzysz bez wyrazu   |
| 80  | 14. | Zamiana  |
| 85  | 15. | Wiersze  |
| 86  | 16. | Jan Józef Lipski - Dynastie  |
| 92  | 17. | Robotnicza poezja strajkowa: prawda i konwencje  |
| 99  | 18. | Nowy teatr   |
| 103 | 19. | Odizolować, ale zachować przy życiu  |
| 108 | 20. | Triumfalny pogrzeb   |
| 110 | 21. | Trzydziesty ósmy sezon   |
| 113 | 22. | Recenzje<br>- Noworoczne myśli o poecie, który wybrał kryptonim<br>"Te Jot"<br>- Filozof i zbuntowany tłum<br>- Klęska |
| 122 | 23. | Rozmyślania nad gazetą   |
| 126 | 24. | Kronika  |

Tekst złożono w Wydawnictwie w lipcu 1983 roku

DRUK:  WYDAWNICTWO  
KRĄG  
WAŹEJAWA  
1942

K O N D U K T

Za trumną martwego Grzesia  
idzie żywy Grzesz  
podtrzymuje matkę ramieniem

nie martw się mówi  
już nie będą bili  
w brzuch ani w głowę  
już nie przyjdą po mnie

Idzie matka Grzesia  
ma siedemnaście lat  
tyle śmiechu do śmiania się  
tyle płaczu do płakania

Idzie narzeczona  
ma dwieście lat  
tyle śniegu pod stopami  
skwaru z wysokości

Idzie Grzesz  
na wargach ma  
pierwszą kroplę mleka  
pierwsze słowo  
pierwszy pocałunek  
pierwszą kroplę krwi

Idzie miasto Grzesia  
jego ulice i obłoki  
matki i bracia  
wszystkie wróble i dzwony

Idzie Grzesz  
w gipsowym mundurze  
nie nadaża za sobą  
zostaje  
w pojedynczej mecie i śmierci

Idzie naród Grzesia  
ze swoimi księżami i pcećami  
z ciężkim swoim milczeniem

NY '83

Jacy jesteśmy po przegranej "wojnie"? Jak czuje się naród zgwałcony? Jakimi nas zastanie niewiadoma przyszłość? Czy euforia i złudzenia "Solidarności" poszły na marne? Czy jedyną konkluzją zbiorową jest poczucie klęski, rozczarowanie?

Przegraną naszą w tej najdziwniejszej z wojen określała dwa dość odległa od siebie w czasie momenty. Pierwszy z nich to owa śnieżna noc 12/13 grudnia - moment skrytobójczego, podstępnego zamachu na rozgorączkowane, rozdyktowane, ale dosyć bezradne wobec pozornej atrofii władzy i wielości własnych konfliktów wewnętrznych - autonomizujące się społeczeństwo. Drugi - to ów przez wielu oczekiwany, ale tylko przez nikie ludźli zadokumentowany w dniu 10 listopada - protest odpowiedź na wezwanie podziemnej "Solidarności" do strajku generalnego w reakcji na rozwiązanie Związku.

Od grudniowego ataku na "Solidarność" musiało więc minąć 11 miesięcy, by społeczeństwo "podało się". 11 miesięcy strajków, demonstracji, potyczek ulicznych, strzałów z broni palnej i armatek wodnych, pałek i gazów - wparaty ch oczwioną działalnością legislacyjną sejmku, a nade wszystko pospieszną robotą skazującej masowo z dekretu o stanie wojennym maszyny sądowej. Po 11 miesiącach manifestowania, ryzykanckiej, desperackiej niezgody na zadany sobie gwałt społeczeństwo w końcu uznało: nie będziemy pchać się pod kule i pałki, nie będziemy ryzykować wszystkiego dla gestu tyłki, nie stać nas, by walczyć bez racjonalnie nakreślonego celu, bez szans na jakikolwiek sukces. Do tego ostudzenia umysłów prawdopodobnie przyczyniła się nieświadomie również sama podziemna "Solidarność" - by pominąć stanowisko Prymasa - która planując odległy termin strajku generalnego rozstrządała natychmiastowe po delegalizacji Związku spontaniczne odruchy strajkowe.

Tak czy owak 13 grudnia trudno uznać za Blitzkrieg. Dopiero po 11 miesiącach nierównych zmaganiach społeczeństwo odpowiedziało władzy: tak jest, udało wam się, wygraliście; jesteście panami na ulicach, w fabrykach, w zakładach pracy - tam, gdzie dosięgają wasze kule, wasze gazy i wasi policjenci! Ale przecież nie wszędzie dotrą i nie wszystko mogą. Pozostaje nam jeszcze cała reszta; to, co myślimy, co czujemy, jak się wobec siebie zachowujemy, kim jesteśmy.

Wszystkie środki, jakimi zadysponowała władza w okresie stanu wojennego /zresztą zawieszenie stanu wojennego w sposób ogromnie pomysłowy w ogromnej większości środków tych nie uchyla/ mają charakter zewnętrzny, niemal fizyczny. Z motywacji wewnętrznych udało się uruchomić w ludziach wyjątkie strach, a i to w stopniu bynajmniej nie dającym władzy powodu do satysfakcji. Nagi gwałt nie jest najlepszą metodą indoktrynacji. Tyle, że tym razem - na obronę ekipy Generała trzeba to powiedzieć - władza tak ambitnego celu sobie nie stawiała.

Bilan "wojennych" 11 miesięcy dzielących 13 grudnia i 10 listopada można przedstawić tak: społeczeństwo polskie uległo w wojnie ze wszech miar dziwacznej, zgwałconej przez miejscowego generała, wspomaganego przez partyjnych "liberałów", kadowane do milicyjnych suk i tęczonoze w brnach przez rodzimych funkcjonariuszy, opłakanych za własne podatki. Nie trzeba było interwencji, bratniej pomocy, obcych mundurów. Przyszli święć do swego po cudze. Dwudziestoletni synowie tego narodu ubrani w mundury poborowych patrolowali ulice, grzeli ręce przy zeleźniakach w olednu dekoracyjnych skottów, stanowali drugie kordony "bezpieczeństwa" wokół obozów internowanych, zaczęli na ulicach swych kolegów w cywilu, grzebiąo im w torbach, bagażnikach, plecakach.

Tak wyglądała ta przedwina autointerwencja, która miała stanowić stratę, nek przed najgorszym", oraz interwencją prawdziwą. To dawał do zrozumienia

Generał, i w tej jedynej sprawie po trochu mu wierzone. Niewątpliwie wiara ta silniejsza była w rewidujących, niż w rewidowanych; ci pierwsi mieli dodatkowe życiowe powody, by się jej trzymać. Deszczera lub niewykonanie rozkazu w wojsku to przestępstwa najgroźniejsze z groźnych; noszenie czy rozlepienie ulotek były mimo wszystko przewinieniami bezpieczniejszymi /nie przy- padkiem najbardziej zrewoltowane zakłady przemyśłu ciężkiego objęto dyscy- plina wojskową!.

Tak więc daliśmy się zgwałcić i, co więcej, mamy się jeszcze samoskarżyć o, w przestępstwie tym... "współdział! Tak kuriozalny scenariusz wywylał mógłby chyba tylko sam szatan!

Podlegamy więc opresji dwójakiego rodzaju: fizycznej, z zewnątrz sadanej; oraz wewnętrznej, moralnej.

Ta pierwsza - choć dla pokolenia trzydziestolatków nieopisanie przykra nie jest w najnowszej historii Polski niczym nowym ani szczególnie efekto- wym. W porównaniu z okupacją, "wyzwoleniem" i terrorem Staliniowskim uznać ją trzeba za łagodną. Istwo się zgodzić z Generałem, że "bratnia pomoc" byłaby nieporównanie bardziej dolegliwa - jeśli zakładam, że istotnie z radzieckie- go punktu widzenia była ona możliwa i niezbędna; jeśli tak, to zaproszeniem do niej - znacznie bardziej niż "błądy" i "radikalizm" "Solidarności" - była postawa tutejszej władzy niezgodnej do podjęcia próby delikatnego, lecz moż- liwego kompromisu pomiędzy interesami polskiego społeczeństwa i radziecką racją imperialną. Abstrahując od kwestii winy można się zgodzić, że Związek Radziecki "nie mógł dopuścić" do naruszenia w Polsce swoich istotnych inter- esów. A że jest to partner poważny /o czym dobrze wiedzą starzy Polacy, szczególnie ci, którzy wywodzą się z Kresów Wschodnich/, i że w podobnych sytuacjach wykazał już niejednokrotnie swoje "internacjonalistyczne" zdecy- dowanie, wypada uznać, że koszty autointerwencji wykonane tutejszymi ręką- mi są nieporównanie niższe od tych, jakie musiałoby przynieść ewentualne wkroczenie wojsk radzieckich. Tę zniżkę kosztów można by więc - ewentualnie - zapisać po stronie zysków.

Inaczej wypadnie rachunek w rubryce "koszty moralne". Rok wolności, wie- lomilionowy związek, stanowiący nadzieję narodu, szansa na wypróbowanie rze- czywistej polskiej drogi do socjalizmu, entuzjazm, uniesienie, rozgłos w świecie i odświeżone poczucie mesjanizmu - i oto starczyło jednego podstęp- nego uderzenia, jednej grudniowej nocy, abyśmy wawacy obudzili się w innym kraju, w innej rzeczywistości - ocknęli z rozejm o wolności czy choćby czę- ściowym samostanowieniu.

Zapewne, było to mniej okrutne, ale bardziej upokarzające.

Jakże się więc czujemy po tej wielkiej przegranej, wątpiący dziś nie tylko, czy istotnie po Sierpniu można było cokolwiek wygrać, ale i w to, czy byliśmy w ogóle do rozgrywki przygotowani? Jak się czujemy - oszukani nie tylko przez władzę, ale i przez własne posierpniowe samopoczucie niezucha- nonej euforii i oślepiającego samozadowolenia? I jak w tym będziemy żyć da- lej? Czy poniesionej klęsce nie towarzyszy upadek ducha i prostracja, które byłyby sukcesem ciemiężców największym?

Społeczeństwo wpraw musi istnieć, potem dopiero może się troszczyć o swą wolność i godność. Samobójstwo bywało /i to dawno/ sposobem rozwiązywa- nia kwestii honoru dla jednostek, ale nie dla zbiorowości. Ludziom zdarza się "zwytyczać zła grobu" - narodem nigdy. Gwałt i przymus są i muszą być skuteczne wobec społeczności bezbronnej; odruchy z niczym nie liczącego się heroizmu bywają udziałem jednostek, które biorą na siebie "honor Polaków" - zresztą i takich naznaczonych patosem przykładać ta dziwaczna wojna nam nie postąpiła!

Czy można "obrazać się" /co się niektórym młodym ludzkom zdarza/ na spo- łeczeństwo, że zachowuje się racjonalnie, a nie desperacko? Element kalkulacji musi być obecny i tym razem: Polacy mieli do stracania w tej wojnie

nie tylko honor, również życie.

Dziesiątki ofiar śmiertelnych, setki ciężko pobitych, tysiące internowanych i aresztowanych, to nie tylko ofiary - to również symptom "zdecydowania" władz i ich gotowości "na wszystko". To również koronny - i zarazem jedyny - "argument" w pogruźniowym "dialogu". Przemoc jest argumentem przekonującym - tyle, że nie do końca i nie o wszystkim.

Bo oto w pamiętną noc grudniową obudził się w Polakach nie tylko strach o własną skórę, ale niemal również potężny strach o swe właściwe miejsce społeczne i o własne sumienia. Wybierani nocą z ciepłych łóżek, pokoleni strażkami w kopalni "Wujek", bici i kaleczeni na ulicach miast stali się niemal automatycznie wybrańcami narodu, który zrozumiał w lot, że tamci są depozytariuszami najmenniejszych wartości społecznych i narodowych. Nie było żadnych wątpliwości i strazy i ciosy wymierzone w tamtych były strzałami i ciosami w całe społeczeństwo. "Solidarność", pomoc dla pokrzywdzonych i ich rodzin to nie był altruizm - to była forma samoobrony przed spodleniem.

Ugodzeni zostaliśmy wszyscy. Każdy, kto w te grudniowe dni korzystał z przywileju poruszania się po ulicach miast, widział w tłumie odbicie własnych przeżyć i emocji. W upiorna rzeczywistość kolejejk i codziennej walki o elementarne środki do życia z najwyższą satysfakcją wpisywano usługi na rzecz aresztowanych, internowanych, okaleczonych i ich bliskich. Po raz pierwszy od 37-miu lat ludzie, na których wydała wyrok władza ludowa, czuli się otoczeni szacunkiem i uznaniem, zaś naród - ich dłużnikiem. Jakką musieliśmy przeżyć odległość od lat 50-tych, kiedy wokół takiego człowieka powstawała pustka, jak wokół zadumionego, który ściera na innych kłopot i nie-szczęście!

Dzień 13 grudnia dowodnie niż wszystkie dotychczasowe oszustwa i opie-szalstwa władzy, i bardziej przekonująco niż wszystkie wypowiedzi tzw. "ekstremistów" "Solidarności" ukazał narodowi władzę - jaka jest, budując - tylekroć, choć nie w tej postaci postulowaną - jedność moralno-polityczną społeczeństwa. Naród wytrzeźniał nie tylko z rosnącej wolności, ale także z ostatnich złudzeń na temat polskich mundurów i "polskiej" władzy.

A także - zrozumiał dokładnie, jak nigdy dotąd, swą powojenną historię. Z indywidualnych frustracji, ze środowiskowych irytacji, niezadowolień, nies-poknien, z poszczególnych pretensji wyłonił się obraz rzeczywistości spójny, przejrzysty, czytelny. Nie te czy inne objawy patologii stały się obiektem dezaprobaty, ale sama konstytutywna zasada systemu politycznego, w którym nie można być ani wolnym, ani nawet atrym.

Jeżeli najważniejszym zadaniem ustroju komunistycznego jest obozwładnie-nie duchowe narodu, unicestwienie społeczeństwa jako autonomicznej wartości, u-pojenie rządowym, że są magna tylko, surowcem, mierzwą, stadem, nawozem /historii!, wyłącznie tworzywem, z którego jak z plasteliny można kształto-wać dowolnie wszystko - to ostatnie dwa lata szanse realizacji tego zadania przekreśliły.

Nie chcę przez to powiedzieć, że władza dysponująca dosłownie wszystkim: swobodnie stanowionym przez siebie "prawem", przemocą, życiem i bezpieczeństwem obywatela, warsztatem jego pracy, oświatą, mieszkaniami, służbą zdro-wia, nie posiada możliwości wymuszania i w przyszłości pożądaných przez sie-bie ludzkich zachowań. Ale takie - dyktowane koniecznościami żywymi i miarą osobistej odporności - ugody będą już odąd zachowaniami zewnętrznymi, czynszowymi z moralnej dwuznaczności i samoukudy. Rigdy już w nie dające się przewidzieć przyszłości Polacy nie będą na życzenie władz zapisywać się, uczestniczyć, podnosić ręk, "głosować", "protestować", "przyjmować przez ak-lamację" - nie wiedząc, co czynią. We wszystkich takich zachowaniach obecny będzie czynnik kalkulacji, porównywania, wyboru wartości - czynnik sumienia. Na trwałe serwana została więc pomiędzy praktycznymi, pragmatycznymi zacho-waniami ludzi i ich uwewnętrzną motywacją psycho-społeczną.

Zadziwiająca bywa zbieżność poglądów i rozumowań przedstawicieli różnych środowisk, ludzi o różnym stopniu wykształcenia i poziomie intelektualnym. Stan wojenny, jak każda prawdziwa wojna, przywrócił narodowi wewnętrzny solidarność, budując pomosty pomiędzy ludźmi i środowiskami, które w czasach pokoju i wolności musiałyby wiele dzielić.

Sądzę, że WRONIE niechcący udało się to, co nie udało się nigdy dotąd w polskiej historii: stworzyć społeczeństwo naprawdę demokratyczne. O pokyci społeczeństwa, o akceptacji środowiska przestają - w skali społecznej - decydować tak ważne np. w okresie gierkowskim wyróżniki społeczne, jak status materialny, zawodowy, "układy", talenty w urzędowaniu się, dostęp do przywilejów - czyli przekupstwa, fundowanego na przywłaszczonych sobie przez władzę kredytach zachodnich. Przywoity standard materialny, "dacia", samochód, podróże zagraniczne - to były nagrody za usłużność, pragmatyzm życiowy, indyferentyzm społeczny i moralny, pogardę dla wartości. Symetrycznym odzwierciedleniem tych zjawisk były towarzyszące im zawiść i poczucie krzywdy społecznej; krótkowzroczne rozumowanie skrzywdzonych i poniżonych, że w kraju dlatego jest źle, bo nieliczni mają za dobrze. I oto w niewiele ponad dwa lata znikły te ciasne rozumowania, a wraz z nimi wycofały się z języka takie słowa jak: robot, układy, urzędzi się, cwaniactwo, tumwizm, frajerstwo, przytomny facet itp. Okazało się, że etos "dobrego urzędzenia się" jest nieprzydatny nie tylko dlatego, że nie nadaje się do zastosoania na szerszą skalę społeczną, ale i dlatego, że nie w pełni satysfakcjonuje nawet samych "dobrze urządzonych". Okazało się, że w tym ustroju nie można się urzędzić; a jeśli nawet, to dość kiepsko i to za ceny coraz wyższe - takie, które coraz mniej ludzi chciałoby płacić. Okazało się, że cynizm i prywatna bynajmniej nie stanowią jedynych motorów życia społecznego, a skłonność do lepszych, bezinteresownych odruchów nie jest wyłącznie udziałem osób społecznie nieprzestosoowanych, ale ważną, niezbywalną potrzebą zbiorowości.

Proces dowiadywania się prawdy o sobie przez społeczeństwo zaczął się dobrze przed Sierpniem. Myślę, że momentem przełomowym była tu wizyta Papieża. To emocjonujące Polaków doświadczenie zbiorowe ukazało im poziom myślenia, które dali sobie narzucić. Pozwoliło odkryć, że nie jesteśmy wyłącznie tacy, jakimi się sobie wydajemy, że nasze myśli i uczucia /te abstrahując od dziełek, mieszkań, samochodów czy też zazdrości o nie/ są w swej istocie bardzo podobne, wspólne i że myśli tych, pragnień i uczuć wcale nie musimy przed sobą nawzajem się wstydzić. Sądzę, że jednym z najważniejszych skutków zbiorowych przeżyć związanych z wizytą Papieża-Polaka było odwołanie przez Polaków komunikacji: to, czego naród się o samym sobie i swych tłumionych przez dziesięciolecia aspiracjach, dążeniach i pragnieniach dowiedział.

Sierpień '80 sprawił, że owe odkryte uczucia i dążenia stały się bodźcem zbiorowych zachowań i czynów, te zaś okazały swą moc powodowania realnych skutków. Cofając się, pertraktująca, podpisująca zobowiązania i zrealizowana dopuścić do powstania nowych niezależnych od siebie struktur społecznych władza potwierdziła to nowowzbucone olśniewające samopoczucie. Dość szybko miała się narodowi pokazać wiarokomność władzy, która nie tylko nie zamierzała dotrzymać ważnych przyrzeczeń, traktując "porozumienia" jako parawan osłaniający przygotowania do ataku, ale w dodatku - zasiadając do stołu rokowań - już z góry starała się przerzucić odpowiedzialność za przygotowywany przez siebie spisek na tych, przeciwko którym miał być wymierzony. Grudzień '81 pogłowo wyjaśnił resztę. To już nie było doświadczenie robotników /jak w '56, '70, '76/ ani inteligencji /jak w '68/, ani chłopów. To było wspólne doświadczenie całego narodu.

Burzliwe lata '80 - '82 zmiotły i unieważniły ten starannie przez lata budowany system podziałów. W doświadczeniu społecznym unicestwiony i skom-



promitowany został proponowany i sterowany przez władze sposób rozładowywania zbiorowych napięć i niezadowolenia. Bo skoro przyczyny społecznej niedoli stały się dla Polaków przejrzyste i zrozumiałe, to niepotrzebne i bezsensowne, więcej: aspołeczne i groźne okazały się próby kierowania zbiorowych niechęci na takich "winnowajców" jak: Żydzi /bo tyłu ich było w UB i w KC/, chłopcy /bo nie chcą produkować, mają pieniądze w bród i wszystko wykupują/, budylni i prywatni /bo mają za dobrze i żyją na koszt robotnika/, urzędnicy /bo piją herbatkę, zamiast zająć interesantów/, młodzież /bo jest bezideowa, nie lubi się przemęczać i ma konsumpcyjny stosunek do życia/, ekspedientki /bo kradną i sprzedają spod ludy/ itd., itp. W którychś momentach ten przesylny system rozładowywania społecznej frustracji i agresji rumał; dziś wydaje się po prostu śmieszny; pamiętajmy jednak, że nie zawsze tak było. Jest to system, posiadający z punktu widzenia władz, całkiem bezcenny; atomizowania i wewnętrznego poróżnienia społeczeństwa. W istocie jest on nie tylko śmieszny. Również - genialny; rozumiała w zniewolonym społeczeństwie frustrację, która mogła by i - naturalnym biegiem rzeczy - winna zwrócić się przeciw ustrojowi, kieruje z powrotem na społeczeństwo, szcując przeciwko sobie różne jego grupy, aby tym bardziej to skłócone, zdezincentrowane społeczeństwo zmiełowić, osłabić, uszlachnić; w ten sposób niebezpieczna dla władzy frustracja społeczna nie tylko nie zagraża rzeczywistym sprawcom społecznej niedoli, ale ich wspomaga i im służy. Dziś na placu tych dawnych bojów pozostali wyłącznie parkarze i spekulanci /bo przeciw: "pasożytom społecznym" trudno już zmobilizować społeczną agresywność/a i odstarannie komponowani w telewizorze z działaczami "Solidarności" skazywani z dekretu o stanie wojennym musieli budzić poważne wątpliwości; zbyt to grubymi niemi być może.

Przypuszczam, że demokracja właśnie - obok odzyskanej samowiedzy narodowej - jest najważniejszą, najbardziej zaświadczającą nasz europejski rozwój zdobyczą trudnych ostatnich lat. Po raz pierwszy boją w czasie tej generalnej wojny Polacy rozpoznawali się w tłumie nie po miejscowych wyróżnikach społecznych, takich jak wygląd, sposób życia, krój kołucha czy samochód, ale po podobieństwie reakcji i odruchów-na bezceremonialne grzebanie zbrojnych żołnierzy w bagażnikach prywatnych wozów; zgrozą i nienawistną pogardą reagował na takie sceny wtłoczony w autobusie tłum, ten sam tłum, który trzy lata wcześniej spoglądał by na ten sam samochód z zazdrością i niechęcią.

Rozszarpały się konstruowane całymi latami przez socjologów tabele społecznego prestiżu. Przestała hańbić jakokolwiek praca, jeśli tylko nie służy bezpośrednio aparatowi fizycznego i psychicznego ucisku. Dziennikarz nie bez skrywanej dumy zasiada z kierownicą takśówki, aktor - póki policja go nie przepędziła - doskonale czuł się w roli kelnera. W opinii publicznej daleko przed takie kryteria, jak pozycja społeczna zawodowa, wysunęły się cechy charakteru i osobista postawa człowieka.

Naród odzyskał tradycję. W niewielkim tylko stopniu jest to tradycja historyczna, odległa, przekazana przez pokolenia. Intensywnie i skoordynowane zabiegi PRL-owskich władz, migracja ze wsi do miast, przesiedlenie mieszkańców krajów wschodnich na ziemie zachodnie, masowa produkcja w latach 50-tych nowej inteligencji pierwszego pokolenia współ z pacyfikacją starych, sprawiły, że niemal cały naród został odcięty od swych korzeni. Trochę - ale przecież nie dość - dla przywrócenia tych wartości zrobiła w końcu lat 70-tych opozycyjna prasa i wydawnictwa, prawdę jednak mówiąc dotyczyły to przede wszystkim kilku najbardziej możnych propagandowo i antyrezimowo fragmentów przeszłości.

Naród odzyskał tradycję nie tyle sięgając do historii, co tworząc ją sobie. Pozabawiony historii uzyskiwał własną - takie daty jak '56 - '68 - '70 - '80 - '81 głęboko przepłyły, współczesne polskie myślenie. Charakterystyczne, że prawie wszystkie z tych dat wskazują na bezdyskusyjną dominantę aktywności robotniczej. Z ogólnospołecznym aplauzem klasa robotnicza stała się rzeczy-

wiście "siłą przewodnią narodu".

Nadwątlone samopoczucie inteligencji /sproletaryzowanej, zjanczaryzowanej, poddawanej zabiegowi lobotomii już na poziomie szkół średnich i uniwersytetów, masowo pozbawionej autoświadomości - czyli tego co ex definitione stanowi jej istotę/ uratowała w drugiej połowie lat 70-tych tzw. opozycja demokratyczna oraz środowisko KOR-owskie. Mimo elitarności i małej liczebności tego ruchu trudno przecenić jego rolę; wolno przypuszczać, że gdyby nie ów sojusz inteligiencko-robotniczy, protesty robotnicze '80 r. miałyby nieporównanie bardziej żywiołowy, mniej świadomy, być może nawet - destrukcyjny charakter.

W tym miejscu nasuwa się - nie całkiem pozbawiona związku z tokiem tych rozważań - dygresja. Inteligenci opozycjoniści lat 70-tych wpierv zaskoczeni i oszołomieni niespodziewanym przez nich samym sukcesem swoich dążeń i koncepcji w lecie '80, dziś albo aresztowani albo - w swym poczuciu - zdymisjonowani w pewnym sensie przez sytuację, która ograniczając możliwości działania niepostrzeżenie zwiększa represje /wtedy było to "cztery osiem" - dziś szansa kilku lat więzienia/ z pewnym trudem odnajdują swe miejsce w tak odmiennej pod każdym względem sytuacji. Fenomen tamtej opozycji przestał istnieć, co - kolejno to polski paradoks! - jest jej zwycięstwem największym: rozpięła się w społeczeństwie, w narodzie, który niemal w całości przejął i uowoczeźnił jej sposób myślenia, "przeszedł do opozycji". Apostołów jest zańcieniem bardziej mialym tylko wśród niewierzących; teraz chyba pora na działanie bardziej specjalistyczne niż polityczne apostołowanie, na gruntowanie polskiego myślenia wykształceniem, przywracaniem głodnemu wiedzy społeczeństwu polskiej tradycji, nie tylko tej bezpośrednio podanej politycznie, ale i bardziej obiektywnej, głębszej, kształtującej suwerenność myślenia; niebezpiecznym np. wydaje się między innymi fakt, że historia polityczna lat 44-45 w znacznym stopniu oddana została w pakt tak użytecznemu dla władz obskurantyzmowi różnych Grunwaldów.

\*\*\*

Polska przegrana, Klęska posierpniowych złudzeń przyniosła nieoczekiwane skutki. Polacy odzyskali swój instyunkt społeczny i moralny.

Sceptycy sądzą, że ów renesans norm i wartości jest namiastką, wyrosłą z niemożności zaspokojenia potrzeb bardziej przyziemnych, jest sublimacją niemożliwych do zaspokojenia potrzeb elementarnych - słowem, efektem kryzysu i katastrofy gospodarczej. Że - wedle zasady, iż idee są produktem zastępczym społeczeństw głodnych, ayci i materialnie zaspokojeni byłibyemy znacznie mniej żądni wolności. Jest w tym sporo racji. W dziwacznym, najczęższej sprzecznościami historii PRL prawie wszystkie dążenia wolnościowe zaczynały się od kwestii "mięsa"; owa symboliczna kiełbasa przewija się przez całe 35-lecie wątkiem konsekwentnym, lecz - nie zapominajmy - równoległym do wątku krwi; wszak nie raz już to, co zaczynało się od "kiełbasy", kończyło się strzałami. Ta współzależność obu pozornie odległych kwestii została chyba w końcu dość dobrze przez społeczeństwo przyswojona. Dzisiaj - jak nigdy wcześniej - jasno Polacy zrozumieli, że naprawdę "nie ma chleba bez wolności", że system, w którym żyją, nie tylko ciemnieży ich duchowo, ale nie jest w stanie zaspokoić ich najbardziej elementarnych potrzeb ekonomicznych, i że - być może - ta pauperyzacja społeczeństwa jest jednym ze sposobów społecznego zniewolenia /aby im się od sytości broń Boże w głowach nie przewróciło; człowieka głodnego przecież kupić najłatwiej/. Żądania wolności i wewnętrzna niezgoda na taki sposób sprawowania władzy w szerokiej rzeszach społeczeństwa /inaczej niż w kręgach demokratycznej opozycji/ narodziły się z troski nie tyle o autonomiczne wartości duchowe, co przede wszystkim o wartości materialne; dopiero niemożność wyegzekwowania tych ostatnich zmusiła społeczeń-

żenstwo do zrozumienia całokształtu swej sytuacji i wtórnej rehabilitacji wartości społecznych, etycznych jako porządkujących, nadrzędnych. Naród wykonał więc w ostatnich latach ogromną drogę, by dojść do prawdziwych konkluzji. I nieprędko da się przekonać, że posłuszeństwo i praca to jedyna droga do wyjścia z kryzysu.

Jesteśmy, jak nasz społeczeństwo o wyższym niż kiedykolwiek w PRL poziomie samoświadomości. Z tym wszystkim lepiej niż przed Grudniem dostrzegamy trudności użytkowania tego potencjału energii i wiedzy. Konsekwentne zachowania wynikające z uzyskanej samodzielności groziłyby społeczeństwu - wzmożeniem represji i terrorku /interwencją?/, a jednostkom - kryminalizmem. Wszyscy zbiorowo i indywidualnie zmuszeni jesteśmy przeprowadzać takie kalkulacje. Ale wewnętrznie niezgodna na zniewolenie, jasna świadomość przymusu, któremu się podlega, jest nie najmniej ważną wartością osobistą, społeczną, historyczną. To ona zdecydowanie w którymś momencie o naszej wspólnej przyszłości.

Świadomość siebie, swoich potrzeb, możliwości i swej realnej sytuacji jest początkiem - i najważniejszym, decydującym elementem - wszelkiej terapii. Bez niej zarówno człowiek, jak naród porusza się musi po omacku, błądząc i potykając w zakłętym kole ślepych reakcji, ciemnych, niezrozumiałych i groźnych dla niego samego odruchów, przypadkowych wyładowań emocjonalnych, mimowolnych i niekontrolowanych - jakże łatwych do sterowania z zewnątrz - aktów agresji.

Jesteśmy dzisiaj narodem smutnym, obratonym i nie mającym możliwości wyładowania swego gniewu, wyzutyk ze złudzeń, znaczących, postawionym bliskiej nadziei. A równocześnie wiele się w nas zmieniło na lepsze: Jesteśmy lepiej uzbrojeni wewnętrznie i mniej wśród siebie samotni. Nawet typowa dla Polaków /a jeszcze bardziej typowa dla ludzi radzieckich/ odpowiedź na frustracje indywidualne i zbiorowe, jaką jest ucieczka w alkoholizm, zbiera dziś mniejsze żniwo niż we wspaniałej, pełnej obietnic epoce Gierka, kiedy przecież za wydane na wódkę pieniądze można było jeszcze prawie wszystko kupić. Oczywiście, kto musi pić, ten pije. Ale alkoholizm wydaje się w mniejszym niż kiedykolwiek w PRL stopniu sposobem rozwiązywania problemów psycho-społecznych, staje się raczej efektem uzależnienia psychofizycznego niż uzależnienia od ciemnej, niezrozumiałej i niemożliwej do intelektualnego opanowania rzeczywistości społecznej.

Łatwo postawił autorowi zarzut, że zaabsorbowany tymi nieco gabinetowymi rozważaniami zamyka oczy na wszystko, co dzieje się na sawnatrix na ulicach, przystankach autobusowych, w kolejkach - w całym tym naszym łatwo widocznym życiu zbiorowym, nacechowanym bezprykatnym zdziwieniem, zezwierzęceniem, agresywnością i chamstwem. Walka o byt ma swoje prymitywne prawa. Prawda, że przebiegając oszalałymi hordami ulice naszych miast w poszukiwaniu tura i przyodziewku czy czegośkolwiek wreszcie, na co można by wydać nasze puste złotówki, prezentujemy się dość przerażająco. Prawda, że z ulicznego naszego języka znikają takie egzotyczne słowa jak dziękuję, przepraszam, a człowiek, który by się w tym tłumie próbował zachowywać elegancko /czytaj: normalnie/ naraziłby się na podejrzliwe odmiwienie; modą sezonu jest powściągać nieważne odruchy delikatności i kurtuazji. Ale poprzez to chamstwo i bezceremonialność przebiega - oprócz zrozumiałej rywalizacji i walki - pewne wspólne rozumienie naszej zbiorowej sytuacji i gniew na system, który nas do niej doprowadził, poczucie, że istotnym wrogiem jest nie ten, który stoi przede mną, ale ten, kto nas wszystkich w tej kolejce ustawił. Nawet lada sklepowa, która ongi bywała barykadą "walki klasowej", staje się coraz częściej miejscem wzajemnego porozumienia przeciw tym, którzy sprawili, że nie ma czego sprzedawać i nie ma czego kupować.

Spoza widocznego gołym okiem spadku obyczajów raz po raz wyciera jakiś ślady odruch, świadzący o wzroście wspólnej niedoli. Wyszukane formy grzeszociwe nie mają zastosowania w dobie kryzysu, być może nawet straszą przyzwoistością, a co najmniej są niepotrzebna stratą energii. Publikacja na-

szym savoir vivre'a rasadzi swoisty ekonomizm, a współczesna polska grzeckość polega na tym, by człowiek który stoi przede mną, wpaść do zatłoczonego autobusu, zamiast odtrącić go na bok łokciem. Zanikają resztki elegancji i uprzejmości na rzecz funkcjonalności, praktycyzmu; łatwiej dziś nawet o odruch pomocy niż o uprzejme słowo.

Nasze chamstwo uliczne jest, sądzę, w znaczonej części chamstwem sytuacyjnym, plynącym z określonych warunków życia, a nie - jak w czasach Gierka - z wzajemnej antypatii i pogardy. Pchamy się i tłoczemy, bo pcha nas do tego konieczność, a nie szczególnie do zachowania takiego kamilitowania; a w tym tłoku wspólnie myślimy s nienawiścią, nie tyle o sobie wzajem, ale o tym, co nas do tego pchania zmusza. Ludzie są dla siebie nieważni, niegrzesznią mniej więcej na tyle, na ile muszą /nie trudno to sprawdzić obserwując jak zmienia się ten sam sprężony do ataku tłum, jak porządkuje się, statkuje, grzeźniejże, gdy pojawi się większa dostawa towaru czy pociągający autobus/. Duchem naszych kolejek i tłumów sklepowych nie jest wyliczanie duch rywalizacji, walki i nienawystycznej żądzy; jest nim przede wszystkim duch kryzysu i katastrofy, zgotowanej społeczeństwu przez ustrój. Przedsklepowe kolejki są naturą coraz bardziej przypominają milczące, nieme, niesykaliwe demonstracje uliczne - to ostatnie zbiorowe zachowania niezagrożone pałkami i więzieniem.

\* \* \*

Nadużywano tu słowa "wszyscy", słowa "społeczeństwo". Ale pisząc społeczeństwo mam na myśli tych tylko, którzy stanowią o jakości społeczeństwa. W latach okupacji także nie wszyscy Polacy przeciwstawiali się okupantowi i wierzyli w niemiecką przegraną, w latach zaborów także nie wszyscy opierali się zaborcy i wiązali swój los z koncepcją niepodległościową. W każdym społeczeństwie statystyczną stanowią wyznawcy prostej zasady, iż najbliźsza jest ciaku koszula. Wszyscy Polacy, całe społeczeństwo - jeśli słowa te potraktować dosłownie, to nie tylko wyznaczający świadomość społeczną ludzie myślący, czujący społecznie, dążący do wspólnego dobra i aspiracji. To także ludzie słabszego ducha i mniejszego formatu. Zamiatani nade wszystko w codziennej krzątaninie, których głównym, a niekiedy jedynym celem jest trwanie, egzystencja, uchylanie się od ciosów, a także od ryzyka myślenia, które by naraziło ich na dyskomfort psychiczny i społeczny. To również ludzie, którzy kiedyś zawierzili władzy ludowej, i których dziś, gdy dokonują bilansu życia, nie stać już na rewizje i korektury dopęźniającej się biografii. To także ludzie starsi, zniszczeni nadmiarem przeżyć, niezdolni zrozumieć otaczającej ich schizofrenicznej rzeczywistości, pozbawieni wszelkiej elastyczności, więc niezdolni do przyjęcia żadnych już przemian, przekonani wieloletnią doświadczeniem, że każda zmiana może być tylko zmianą na gorsze. To wreszcie - lojaliści z usposobienia, zwolennicy poglądu że każda władza jest władzą, a każde prawo jest prawem, czarujący się za wszelką cenę nielegatym swą apolitycznością i swoistą outsidersztwo. /tu wtrącić może warto uwagę ogólniejszą: żadne społeczeństwo nie składa się wyłącznie z rewolucjonistów myśli i czynu, a prawo bezwładności jest - obok zawsze bardziej elitarniej skłonności do innowacji - naczelną zasadą regulującą zbiorowe zachowania/.

Społeczeństwo - sprawa ostatnia w kolejności, ale nie najmniej ważna - to także 6w milion, może i 70 milion ludzi, którzy w konflikcie pomiędzy władzą a społeczeństwem są nieustannie opowiadają się po stronie władzy, a w pewnym stopniu władzę tę są władzą. Jeszcze do niedawna różne były osobiste motywacje takich postaw, sprawa jednak wskazuje na to, że w biegu czasu przelagają one do dnośnienia. Jest to przede wszystkim apatia partyjny i państwowa, a w tym m. in. brak ci ludzi z tego aparatu, którzy tak zrozili się ze swym krajem, że nie uważają go za swój kraj, że nie chcą żyć /z dzisiejszym hamletyzującym aparatem ten świat /nie/ ostatnio 30 latach wyżyć/?. To ludzie z policji

i bezpieczeństwa, którzy nie potrafią bądź nie mogą się przed niczym już cofnąć, choćby dlatego, że ich konto obciążone jest czynami, które oddinają im powrót do społeczeństwa; zresztą ta władza nie wypuszcza swych ludzi z ręki bezkarnie i wobec swych bywa jeszcze bardziej bezwzględna niż wobec "ideowo" obcych!

To również ludzie o głębokich defektach psychicznych: chorobliwie żądni władzy i "znaczenia", cyniczni, sprzedajni, a także aspołeczni, więc odnajdujący w swej szczególnej sytuacji pewną specyficzną, nieco perwersyjną przyjemność. To także różni docenci, profesorowie, teoretycy i intelektualisci reżimu - beztalencia i miernoty, którzy reprezentując poziom odbiegający w dół od przeciętności uzyskali godności, apanaże, pozycję, o jakich - w oparciu o swe osobiste możliwości - w żadnych innych warunkach nie mogliby nawet marzyć, i którzy rzeczywiście wszystko, co osiągnęli, zawdzięczają władzy ludowej.

Na razie jednak i w tych środowiskach toczy się jeszcze proces korozji, widoczne są znamiona niepełnego zaangażowania w wykonywane funkcje; nie oznacza to, że ludzie ci czegokolwiek nie zrobią, tyle tylko, że będą to robić bez większego przekonania, bez jakiegokolwiek możliwości "ideologicznej". Pogłębia się ich izolacja społeczna, co sprawia, że do takich środowisk napływają będzie coraz gorszy element, że środowiska te będą się coraz bardziej hermetyzować, upodabniać do ghett, uciekać w etos obłączonej twierdzy, budując sobie światy urojone - rozdział pomiędzy ludźmi władzy a społeczeństwem będzie się więc pogłębiał coraz groźniej. Utrata przez władzę resztek społecznego oparcia sprawia, iż coraz wyższe są ceny za popieranie jej i coraz mniej osób będzie je płacić. Stosowane przez oficjalną propagandę zarzuty "terrorizmu moralnego" i "konformizmu środowiskowego" są nie tylko wyrazem zdenerwowania władz, ale i pośrednim potwierdzeniem ich niemocy wobec powszechności i atrakcyjności postaw antyreżimowych.

\* \* \*

Z tego nakreślonego bardzo grubą kreską, stąd może i nieco apologetycznego opisu stanu ducha polskiego społeczeństwa, a ściślej mówiąc jego znaczącej większości, nie wyłania się więc mimo wszystko obraz na najbliższą przyszłość optymistyczny. Próby porozumienia zawiodły, a nieporozumienie władzy ze społeczeństwem jest dziś głębsze i rozleglejsze niż kiedykolwiek, także wtedy, gdy władza instalowana tu była na rzadzieckich bagnietach.

Naród polski jest tego nieporozumienia w pełni świadomy i będzie zapewne szukał jakichś trudnych sposobów wyegzekwowania swej odzyskanej niezależności i samowładzy nie tylko przez wyławianie emocjonalno-patriotyczne po kofciach. Czy i na ile jest tego nieporozumienia świadoma władza, nikt nawet nie jest ciekaw; ta władza "się nie liczy".

A przecież - jak dobrze wiedzą Polacy - ta władza jest tu dziś niemożliwa, a zarazem jest konieczna. I to jest najistotniejszy dylemat, jaki pojawił się w pełnym świetle społecznej iluminacji początku lat osiemdziesiątych.

wiosna 1983

\* \* \* \* \*

MARIAN BRANDYS

TWARDY CZŁOWIEK

"Tak mogło być"

Tadeusz Konwicki  
Kompleks Polski

Zdarzyło się to w pierwszych dniach lutego smutnej pamięci roku 1968, ściślej daty nie podaje żaden miarodajny przekaz. Podobnie rzecz się ma z innymi szczegółami tej historii. Nie jest w niej ściśle określone, całkowicie pewne, wyświetlone do końca. Wszystko trzeba zmusić wyprowadzać i zestawiać z różnych, nie wzbudzających pełnego zaufania, pół- i ćwierć-dowodów: z anonimowych rewelacji, ogłoszonych w prasie zagranicznej, z wywiadów i wspomnień o podawanej w wątpliwość autentyczności, z niechętnych urykowych wspomnień osób różnego stopnia wtajemniczenia. Niemożność dokładnego ustalenia stanu faktycznego nieodległych przecież zdarzeń nie powinna dziwić. Często tak bywa przy próbach otwierania zaciemnionych całow epizodów niedawnej przeszłości. Niezależnie jednak od szczupłości i niepewności dostępnych świadectw instynkt pisarza historycznego mówi mi, że wszystko musiało się odbyć właśnie tak, jak sobie wyobrażam. A jeśli odbyło się nieco inaczej - to jedynie w nieistotnych, drugoplanowych szczegółach.

Polski przywódca przyjechał na spotkanie zwołowany, w najfatalniejszym humorze. Podróż z Warszawy do pogranicznej puszki była długa i ciężka, przerywana parokrotnie nieoczekiwanymi przeszkodami terenowymi i koniecznością przepychania się przez bryłę topniących lutowych śniegów. Przez całą drogę dręczyły go złe myśli. Od początku nie miał serca do tej dławicznej wyprawy. Już sam sposób przekazania mu propozycji spotkania - bez zwykłych w takich razach uzgodnień przygotowawczych na niższych szczeblach, niedopuszczalnie osobistym "gorącym telefonem" - urągał wszelkim zasadom protokolanym, utartym w stosunkach między bratnimi krajami. I głose tamtego - pośpieszny, nagły, zakamujący się z emocji... Wszystko to pachniało niedowarzoną improwizacją, czego polski przywódca serdecznie nie znosił. Ale odrzucić propozycji nie mógł. Chodziło o sprawę zbyt ważną. Dla obu krajów.

Jego zły humor znalazł sobie ujście, kiedy samochód zatrzymał się przy szlabanie, zamykającym dostęp do utajonej w głębi przygranicznych borów rządowej rezydencji, i z domku strażniczego wysypało się na spotkanie dostojnego przybysza kilka szulalczo uśmiechniętych osób. Dał wtedy pokaz jednego ze swych słynnych wybuchów wściekłości. Skąd do ciężkiej i nagłej nabrało się tyle tego tańcystwa?! Czy sądzą może, że zamierza urządzić tu dla nich bankiet z popiawstwami?! Czy zarządzenia jego nie już w tym kraju nie znaczą?! Zastrzeżł przecież najdalej posuniętą dyskrecję!...

Fokorni i przestraszeni /jakkolwiek nie był już tym, co dawniej, ciągle jeszcze drżeli przed jego gniewem/ tłumaczyli mu umiżeniem, że zaliczenia jego zostały wypełnione... Że właśnie tak jak sobie życzył: tylko najpewniej i z pewnych...

Zbytek te usprawiedliwienia pogardliwym parsknięciem. Znał owoch "najpewniejszych z pewnych". Poznawał ich w trudnych latach 1948-1949, kiedy odtegnywali się od niego po kolei. I teraz - w ostatnich miesiącach - kiedy podając się nowym wiałom, przeslingowali się chyłkiem na stronę jego przeciwników. Nie wątpli, że wszystkie szczegóły poufnego spotkania tego samego dnia będą przekazane generałowi policji.

Gramoląc się z samochodem stracił sobie z głowy futrzaną czapę i błysnęła na chwilę jego ogromna różowo-szara łysina. Kiedy naród przestał go już kochać - w co jemu samemu do końca trudno było uwierzyć - poczęto się w nim dopatrywać różnych uwłaczających podobieństw. Pewien opozycyjny satyryk napisał wyszydający utwór, w którym nazwał go "Gnomem", i chociaż suchawatego

pismaka wtrącono za to do więzienia pod zarzutem niemalże zdrady stanu - epitet nabrał rozgłosu i przyjął się wśród opozycyjnej młodzieży. W mesach telewizyjnych nazywano go najczęściej "Organistą". Rzeczywiście miał w sobie coś z wiejskiego organisty, zwłaszcza gdy wygłaszał w telewizji swe namaszczone, nudne kazania, oparte na coraz bezczelniej zakłamanych sprawozdaniach podwładnych. Najbardziej jednak przypominał przemysłowca: majstra ślusarskiego z małego miasteczka, którym był zresztą naprawdę w chwili swego startu do politycznej kariery. Ze swoją siłą, brzydotnością i szarobcią kojarzył się nieodparcie z postaciami z robotniczych obrazów Stanisława Lentza.

Ostatnie dwieście metrów do myśliwskiej rezydencji trzeba było przejść piezo. Szedł przez mokry śnieg ogromnymi, zamaszczonymi krokami z rękami w kieszeniach futra, z wielką głową wtuloną w przesadnie szerokie ramiona. Teraz naprawdę był podobny do gнома. Skarcona esyta drobiaź za nim wystraszone truchtem.

Ostry wiatr z gór utrudniał mu oddychanie. Sapał głośno z astmy i gniewu. Miał się na co gniewać. Po raz nie wiadomo który w ostatnich miesiącach wypadło mu uświadomić sobie to, do czego nawet przed samym sobą przyznawał się z największym trudem: **bał się Generała Policji!** Nie mógł temu zaprzeczyć! Bał się Generała Policji, którego po swym powtórnym dojściu do rządów sam wyniósł na szczyty hierarchii państwowo-partyjnej, którego jeszcze do niedawna uważał za najwierniejszego strażnika swej władzy, którego strofował wprawdzie niekiedy za hajdamackie wybryki, ale w którym nigdy nawet w najgorszych snach, nie podejrzewał potencjalnego rywala do pierwszego miejsca w państwie.

Sytuacja zmieniła się całkowicie od tamtego nieszczonego przemówienia sprzed kilku miesięcy. Wydał się w nim Generałowi w ręce jak ostatni głupiec, jak polityczny analfabeta.

A wszystko przez Żydów!

Oburzał się, gdy zarzucano mu antysemityzm. Nie był antysemitą. Jako szczerzy marksista antysemityzmem gardził. Wiedział, komu służy w ostatecznym rachunku i dla jakich celów bywa wykorzystywany. Tylko ludzie złej wiary mogli go pomawiać o antysemityzm. Miał żonę Żydówkę, syna "półkrwi", w kręgu najbardziej zaufanych współpracowników zachował paru wypróbowanych żydowskich przyjaciół z dawnych lat. Inna rzecz, że na ogół stosunki z żydowskimi towarzyszami nie układały się mu najlepiej. Ale to już jego prywatna sprawa, że Żydzi działali mu na nerwy, zwłaszcza Żydzi intelektualni. Wywodziło się to jeszcze z lat przedwojennych, kiedy jako młody działacz związkowy niedawno przyjęty do partii znalazł się po raz pierwszy w więzieniu. Trafił do celi, w której kiblował sam kwiat komuny, partyjni intelektualiści, w większości Żydzi, przeważnie zbuntowani synkowie burżuazjskich rodzin. Dali mu oni wtedy popalić! Wykorzystując jego młody wiek, słabe wyrobienie partyjne i braki w wykształceniu ogólnym, owi byskotliwi towarzysze uczynili sobie z niego kozła ofiarnego dla swoich intelektualnych zabaw. Traktowali go jak popychła. Poniżali na każdym kroku. Miażdżyli talmudyczną erudycją. Jednym umiejętnie dobranym cytatem z klasyków marksizmu uniemożliwiali jego w pocie czoła wypracowane samodzielne argumenty. To, co odczuwał wtedy wobec nich nie różniło się niczym od nienawiści klasowej. Ganił się za to w swym partyjnym sumieniu, ale przemęć tego nie potrafił.

Takich doświadczeń się nie zapomina. Wyniósł z tamtej celi dwa ciężkie urazy: przeciw Żydom i przeciw intelektualistom. W późniejszych okresach życia przemierzali żydowcy towarzysze jeszcze nie raz stawali mu w poprzek drogi, pogłębiając kompleksy młodości.

W roku 1948, kiedy yuzowano go ze wszystkiego, oni najgłośniej wrzeszcze-li o "odchyleniu prawicowo-nacjonalistycznym", oni najmocniej przypierali go do muru, zmuszali do upokarzających samokrytyk, dręczyli go w śledztwie.

A w roku 1956 - kiedy przywracano mu wszystko znowu oni byli najgłośniej-si. Sobie przypisywali główną zasługę w przywróceniu go do władzy. Próbowali nim manipulować. Uczyć go rządzenia państwem! Domagali się od niego "pogłę-bienia rewolucji", ciągnęli w przepaść rewizjonizmu, z której nie ma już pow-rotu! Nie znosił ich! Ich tupetu, ich przemadzalstwa, łatwości, z jaką się

przerzucali z jednej krańcowości w drugą! Ta niechęć była w nim silniejsza od jego marksizmu.

Ale niefortunne w skutkach przemówienie telewizyjne, które wygłosił po wybuchu wojny izraelsko-egipskiej, nie miało nic wspólnego z osobistymi uprzedzeniami. Nadal uważał, że było to przemówienie w zasadzie jak najbardziej słuszne, jak najbardziej potrzebne, jak najbardziej zgodne z linią partii. To, co się stało wówczas w kraju, domagało się natychmiastowej, zdecydowanej odpawy. Stanowisko socjalistycznej Polski wobec konfliktu bliskowschodniego od pierwszej chwili było dla niego oczywiste i nie mogło podlegać żadnym wahaniom ani wątpliwościom. Państwo Izrael służyło za przykład amerykańskiemu imperializmowi, więc socjalistyczna Polska musiała w tej wojnie opowiedzieć się po stronie Arabów. Nie mogło być inaczej! Tymczasem w kraju zaczęło się szerzyć szalenstwo. Najbardziej żydowscy komuniści jednego dnia przeobrażali się w płomiennych syjonistów. Wczytywał się pilnie w nadsyłane przez ludzi Generała Policji raporty z rozmaitych odświętnych fet w dygnitarskich domach, gdzie synowie aktualnych ministrów i wysokich funkcjonariuszy partyjnych wznosili toasty za pomyślność izraelskiego czoła. Szalenstwo ogarnęło także rdzennych Polaków. Ludzie, którzy nigdy za Żydami nie przepadali, rzucali się na szję napotkanym na ulicy żydowskim znajomym i winszowali im izraelskich zwycięstw. W rzeczywistości nie chodziło w tym wszystkim ani o Żydów, ani o Arabów. Dziecko mogło się domyślić, przeciw komu były skierowane te prowokacyjne manifestacje. Dostrzegali to również od razu towarzysze z Centrali. Przesłali list - po swojemu brutalny - domagający się natychmiastowego ukroczenia wrogich demonstracji. Nigdy nie należał do ślepych wykonawców centralnych zarządzeń, nie raz dawał tego dowody. Ale w tym wypadku zgadzał się całkowicie z oceną towarzyszy z Centrali. Tak, to były wrogie demonstracje przeciwko najbardziej zasadniczym pryncypiom systemu. Przeciwko generalnej linii partii. Przeciwko ugruntowanej dwudziestoletnią praktyką polityce zbawiennych dla Polski międzynarodowych sojuszy. Trzeba było prosyjonistyczne szalenstwo zdławić w zarodku. W interesie polskiej racji stanu. Dlatego wygłosił to przemówienie w największej sali Pałacu Przyjaźni i kazał je transmitować przez radio i telewizję. Później mu wytykano, że w przemówieniu było sporo odstępstw od historycznej prawdy. Możliwe. Rudy sekretarz, który przygotowywał mu teksty wystąpić, miał skłonność do przerysowywania pewnych elementów. Ale nie należy przesadzać w burżuazyjnym obiektywizmie. Dla komunistów prawdziwe jest to, co służy sprawie komunizmu. Z tego punktu widzenia jego przemówienie było prawdziwe i słuszne. Jednego tylko nie powinien był powiedzieć: tego o "piątej kolumnie".

Wcale nie dlatego, że oskarżanie wszystkich Żydów polskich o to, że są "piątą kolumną" państwa Izrael, było jaskrawym absurdem. Nie dlatego też, że takie oskarżenie musiało spowodować paniczny exodus Żydów z Polski i odbić się szerokim, nieprzychylnym echem na całym świecie. To ostatecznie dałoby się jeszcze przeboleć. Osobiście uważał, że gromadny wyjazd Żydów z Polski byłby jedynym naprawdę skutecznym lekarstwem na polski antysemityzm. Dlatego zaraz po swym powrocie do władzy utworzył przed nimi szeroko drogę do emigracji. Że nie wyjechali wtedy - ich własna wina. Teraz płakać po nich nie będzie.

Zło przemówienia wygłoszonego w Pałacu Przyjaźni tkwiło w czym innym. Zwrot o "piątej kolumnie" był fatalnym błędem politycznym! Niewybaczalną pomyłką taktyczną w rozgrywce z narastającą opozycją wewnątrz partii. Generał Policji czekał tylko na takie potknięcie. Nie mylili się chyba ci, którzy ostrzegali, że rudy sekretarz już od dawna kombinował z frakcją generalną. Pod dymaną przesłona walki z piątą kolumną syjonizmu Generał Policji wszczął koncentryczny atak na pozycje przywódcy partii. Niby to wespąć za syjonistami, przeczesywał kolejne środki masowego przekazu, centralne ośrodki dyspozycyjne w kadrach i terenowe komitety partyjne. Zwłaszcza usuwał jego ludzi, zastępując ich swoimi. W macierzystym resorcie Generała pcwstał specjalny ośrodek do wykrywania "potencjalnych agentów piątej kolumny syjonizmu", oparty na ekompromitowanych wzorach, zaczerpniętych z niedawnej historii sąsiedniego kraju.



Stojący na czele ośrodka dyspocyjny historyk - archiwista tropił ponoć syjonistów" aż do szóstego pokolenia wstecz, wciągając na swoje listy ponadto osoby związane z "syjonistami" powinowactwem, przyjaźnią bądź po prostu - jak to pięknie sformułowano - "zarażone syjonizmem". Dzięki gorliwości patriotycznego uczonego frakcja generałka mogła swobodnie pożywać się z poasid i z kraju osób szczególnie sobie niemiłych i niewygodnych. Cała ta operacja drenażowania Polski przede wszystkim z wysoko kwalifikowanej inteligencji odbywała się przy akompaniamencie patriotycznych fanfar odrodzenia narodowego i wyrównywania krzywd i nieprawości okrasu stalinowskiego. Rzecz była obmyślana perfidnie. Generał z jednej strony odwoływał się do starych fobii nacjonalistycznych, rozjątrzonych jeszcze układami personalnymi pierwszego dziesięciolecia powojennego, z drugiej - wygrzywał brudne apetyty amatorów "pożydowskiego mienia".

Kiedy Organista wreszcie się zorientował w konsekwencjach swego przemówienia, za późno już było na ich odrobienie. Zawszą otaczali go nowi ludzie, mocno okopani na zdobytych stanowiskach, gotowi bronić ich do upadłego. Frakcja generałka z każdym dniem rosła w siłę. Jego własna pozycja w partii słaźła. Dopiero wtedy zrozumiał, że on, wytrawny gwał polityczny, dał się wpuszczać w maliny jak niedoświadczony zótdodziób.

Tok ponurych rozmyślań urwał mu się nagle, kiedy zza oszronionych drzew wyłonił się fronton myśliwskiego pełacyku. Dojrzał oszekującego w drzwiach zagranicznego gościa. Przywódcą zza południowej granicy przypominał wyglądem zdiwionego ptaka. Miał długi prosty nos, okrągłe oczy i zniewalający uśmiech. Teraz uśmiechał się szeroko, z całego serca i otwierał ramiona na przyjęcie zbliżającego się gospodarza. - Widać, że musi mu bardzo na tym spotkaniu zależyć - zdążył jeszcze z przekąsem pomyśleć nadchodzący - spodziewa się po mnie diabli wiedza czego.

Trzeba się było jednak przytocować do sytuacji. Więc i on szeroko otworzył ramiona, uśmiechnął się miłośnie i swą wielką głowę skłonił lekko ku prawemu ramieniu, co czynił zawsze, gdy pragnął sobie nadać wyraz szczególnej życzliwości.

I szli tak ku sobie - uśmiechnięci, z rozpostartymi ramionami - dwaj przywódcy graniczących z sobą bratnich krajów: jeden o wyglądzie maźoniastego cskowego ślusarza, drugi - przypominający zdiwionego ptaka. W połowie drogi padli sobie w objęcia i utonęli w rytualnym uścisku politycznym, choć w nierównym stopniu podzielali jego szczeróść i serdeczność.

Niesco później w sali jadalnej pełacyku zasiedli do skromnego, myśliwskiego poczęstunku. Gościowi zza południowej granicy w tej ważnej chwili nie w głowie było jedzenie, ale zdumiewająca skromność śniadania nie uszła jego uwagi i tak go zaskoczyła, że jego okrągłe oczy stały się ze zdiwienia jeszcze okrągłjsze. Wiedział przecież, że każda z takich rezydencji myśliwskich, gęsto rozsianych na obszarze całego Bloku Pokoju, dysponuje przepiękną śpiżarnią, zaopatrzoną we wszelkiego rodzaju specjalną i drogie alkohole, niedostępne dla zwykłych śmiertelników. Tymczasem to, czym go częstowano, nie odbiegało niczym od jadłospisu dobrze prowadzonego domu wczasowego. Gość nie znał jeszcze oszawionej skromności gospodarza, który pomimo węgła się na szczyty hierarchii społecznej, zachował sposób bycia i oszczędność maźoniastego ślusarza i oburzał się na wszelkie kosztowne zbytki. A tę skromność Organisty znali dobrze jego podwładni. Kiedy więc - znaglony dołderajęcymi do niego od czasu do czasu poufnymi meldunkami o orgiach bankietowych w letnich rezydencjach - wybierał się do którejs z nich na niezapowiedzianą inspekcję, wiadomośc o tym natychmiast przekazywano sekretną sztafetą telefoniczną i z zagrożonej rezydencji znikają jak na zaklęcie wszelkie zagraniczne alkohole i niedostępne na krajowym rynku smakożytki. W miejsce ich pojawiały się na stole: jajecznica, bigos, wędliny, zsiadłe mleko, brązowe butelki z krajowym piwem. Wracając z takiej inspekcji pokrzepiony na ciele i duchu. Mógł już z czystym sumieniem odierać ostrzeżenia nielicznych sprawiedliwych: naprawdę nie wiem, towarzyszu, skąd ozerpiecie wasze wiadomości. Dopiero co tam byłem. Jedzenie smaczne i obfite. Ale żadnych frykasów. Nic z tego, o czym mówicie...

Zaraz po śniadaniu, nie bacząc na zmęczenie podróży, zaproponował przedchadzkę po lesie "dla wymiany poglądów". Chciał jak najprędzej mieć już za sobą tę nie budzącą zaufania imprezę, z którą nie wiązał żadnych realnych nadziei na przyszłość. Odbycie rozmowy na otwartym powietrzu wydało mu się najbezpieczniejsze. Z dotychczasowych doświadczeń wiedział, że możliwości najnowocześniejszego nawet podsłuchu też mają swoje granice. Erzy rozważaniu tego technicznego problemu znowu zdążył go gniew, gdyż mignął mu w pamięci hajdamacki uśmiešek Generała Polieji.

Żadnych tłumaczy do lasu nie zabierali, bo nie było potrzeby. Dogadywali się z sobą w języku Opiekuńczego Mocarstwa - od lat już uznanym za ogólnie obowiązującą żacinę całego Bloku Pokoju. Przywódca zwa południowej granicy wysławiał się w tym nadjęzyku z całkowitą swobodą, gdyż jako syn uchodzący politycznego dzieciństwa i wczesną młodość spędził w jednej z republik wchodzących w skład Opiekuńczego Mocarstwa. Z Organistą było dużo gorzej. Odbił tylko przed wojną zwyczajowy paroletni staż w centralnej szkole partyjnej - co nie było wiele, zważywszy jego zupełny brak zdolności do języków obcych. Mimo to przystał chętnie na wyeliminowanie tłumacza. Miał miłą świadomość, że utrudnia infiltrację Generałów Polieji. Wiedział zresztą, że nie on będzie głównym mówcą w leśnej debacie.

Poszli tedy do lasu, aby przeprowadzić tę swoją ściśle poufną "wymianę poglądów", która w konsekwencjach - według zbożnych życzeń jednego z nich - miała doprowadzić do zasadniczego przetomu w stosunkach nie tylko dwóch krajów, ale także całego Bloku Pokoju, a kto wie, czy nie całej Europy.

Otoczenie myśliwskiej rezydencji bardzo się do takich celów nadawało. Niebotyczne sosny i jodły w ciężkich białych czapach przydawały krajobrazowi powagi i dostojenstwa. Między drzewami przesiarał roziskrzony w zimowym słońcu fiolet wysokich skalistych gór. Leśny park był rozległy, pusty, cichy. Śnieg pokrywający krętaninę alejek i ścieżek, starannie na przyjęcie gości ubito i wysypano żółciutkim piaskiem. Nie trzeba było patrzeć pod nogi i zakłócać sobie wewnętrzznego skupienia. Z zewnątrz także im na ogół nie przeszkadzano. Tylko od czasu do czasu, kiedy mijali najgrubsze drzewa i najbardziej zaśnieżony gąszcz, nadziewali się zagnała na głupie przepaszający usmiech na wpół zmarzniętego "ochroniarza". Ale Organista gasił go tak wścibskimi funkcjami, że zdemaskowany tajemnik niewiele myślał brać nogi za pas i zmywać się z posterunku w panioznych podskokach.

Leśną wymianę poglądów zagajał inicjator spotkania - przywódca zwa południowej granicy. Sądzę, że jeśli Zdziwiony Ptak trafi kiedyś do szkolnych podręczników historii, a mimo wszystko chyba trafi, to będzie tam przedstawiony jako wzorcowy przykład historycznego bohatera z przypadku. Jego życiorys w pełni do tego upoważnia. Przez wiele lat zajmował rozmaite stanowiska we władzach prowincjonalnego aparatu partyjnego swego kraju, nie odznaczając się w tym czasie niczym szczególnym. Prywatnie uchodził za człowieka zanego, sprawiedliwego, wrażliwego na ludzką krzywdę. W działalności publicznej nie był kierowicielem ani cynicznym oportunistą. Przeciwnie: jak wielu innych ideowych komunistów, cechowała go przesadnie dobra wiera w nieomylną mądrość partii, granicząca niekiedy z naiwnym utopizmem. W spadku po ojcu wziął najcięższe przekonanie, że przedziej czy później komunizm zwycięży na całym świecie i wtedy zapanuje powszechna szczęśliwość. Wieloletni pobyt w Opiekuńczym Mocarstwie urealnił nieco ten jego teoretyczny optymizm, uzupełniając go pewnymi elementami praktycznymi. Chcąc nie chcąc, musiał wyrobić sobie pełne zrozumienie dla wszystkich przykrych konieczności, wynikających z zaostrożającej się walki z wewnętrznymi i zewnętrznymi wrogami komunizmu. Pogodził się z zasadą, że cel uswięca środki, nie przychodziło mu łatwo i jęszowe w latach późniejszych - gdy był już odpowiedzialnym funkcjonariuszem partii - przeżywał na tym tle rozmaite drobne dramaty. Kiedy nadchodzące ze stolicy polecenia najwyższych krajowych instancji partyjnych odpowiadały jego własnemu opinii i poczuciu sprawiedliwości, cieszył się nimi z całego serca i wypełniał je z żarliwym zapałem. Kiedy jednak ogórne wytyczne z jego odczuciami się nie zgadzały, to choć wypełniał je równie posłusznie, na swój prywatny użytek bardzo się nimi trapił, a czasem nadchodziły go wręcz buntownicze myśli, czy

aby stoczekani towarzysze nie dopuszczają się poważnych błędów. Ale myśli tych przed nim nie ujawniak, bo nie leżało w ówczesnych zwyczajach. W swoich strapieniach moralno-politycznych jedyną pociechę znajdował na niedzielnych mesach hokeja na lodzie, której to dyscyplinie sportowej kibicował zapamiętale od najmłodszej młodości. Wrzeszcząc obłudnie na graczy źle sprawujących się na boisku, rozładowywał w sobie niezadowolenie ze swych partyjnych zwierzchników i odzyskiwał utraconą równowagę ducha. W ten sposób wegetował przez długie lata. Ludzie bezpośrednio od niego zależni lubili go i szanowali. W szerszych kręgach obywateli, zgodnie z ówczesnymi klasyfikacjami, zaliczano go do tych funkcjonariuszy publicznych, którzy "jeżeli nie muszą, to świństwa nie zrobią". W okresie narastających nieprawości i korupcji władzy była to ocena zdecydowanie pozytywna. Niemniej nie jeszcze wtedy nie pozwalało domyślać się w nim przyszłej postaci historycznej.

Wszedł w historię w styczniu 1968 roku - zaledwie na parę tygodni przed 16-tym spotkaniem. Stało się to w czasie jednego z odbywających się w stolicy kraju plenarnych posiedzeń najwyższych władz partyjnych, na którym reprezentował swoją prowincję. Posiedzenie było nad wyraz gorące i burzliwe. Przybiegający od dawna na silny obóz reformy ruszyli do frontalnego ataku na odierwaną już całkowicie od mas i ich potrzeb konserwatywne kierownictwo partii. Zebrańni mieli możliwość zauważyć, że wśród atakujących mówców wyróżniał się żarliwością delegat z terenu przypominający wyglądem zdziwionego ptaka. W pewnej chwili doszło nawet do gwałtownej bezpośredniej utarczki między nim a starym kościannym działakiem - dogmatycznym przywódcą partii. Odnioś w tym starciu wielki sukces. Nic dziwnego: pierwszy raz w życiu udało mu się otwarcie wykrzyknąć z najwyższej trybuny kraju całe niezadowolenie i wszystkie wątpliwości, którym przez lata mógł dawać skryty upust jedynie na niedzielnych mesach w prowincjonalnym mieście. Wystąpienie jego wywarło wrażenie tym większe, że był przedstawicielem terenu - człowiekiem w stolicy prawie zupełnie nieznanym. W owym przełomowym okresie istniało gwałtowne zapotrzebowanie na "nowych ludzi", to znaczy na względnie młodych działaczy średniego szczebla nieskompromitowanych bezpośrednim udziałem w błędach i wypaczeniach poprzedniego okresu.

Zainteresowali się nim partyjni intelektualiści, stojący na czele ruchu odnowy moralnej, społecznej i gospodarczej. Spodobała im się jego skromność, rzetelność i widoczna umiejętność nawiązywania kontaktu z masami robotniczymi. Nie przecoczo no też niebagatelnego względu, że po swym wieloletnim pobycie w Opiekuńczym Mocaratwie "nowy ozłowiek" mógł liczyć na zeufanie i życzliwość podejrzliwych towarzyszy z Centrali. Na niego padł więc wybór. Jemu powierzono de odegrania historyczną rolę odnowiciela i zbawcy partii i kraju.

Potem potoczyło się wszystko, w tempie błyskawicznym, niemal już bez jego udziału. W kilkanaście dni później kościanny działak, przewodzący konserwie partyjnej, musiał ze swego stanowiska ustąpić, i on zajął po nim pierwsze miejsce w naczelnych władzach partii. Rozpędzona historia wzięła go na swe skrzydła, obdarzyła przywódczą charyzmą i nieosiągalną wysokością. W rekordowo krótkim czasie stał się dla całego narodu niekwestionowanym symbolem wszystkich pozytywnych przemian zachodzących w kraju; wszystkich nadziei na lepszą przyszłość. Kiedy ideolodzy odnowy postawili sobie za cel zbudowanie "specjalizmu z ludzkim obliczem", ówo ludzkie oblicze przybrało rysy jego twarzy, stało się podobne do zdziwionego ptaka. Jego awans nie miał równych w dotychczasowej historii Bloku Pokoju. Prowincjonalny funkcjonariusz partyjny, ob "jeżeli nie musiał, to świństw nie robił", w przeciągu paru tygodni przemienił się w umiowanego przywódcę partii i narodu. Można było od tego dostać zawrotu głowy.

Trzeba przyznać, że jemu się w głowie nie przewróciło. Uchroniły go przed tym wrodzona skromność i brak ambicji wodzowskich.

W przeciwnieństwie do Organisty, słynącego z wrogiego stosunku do inteligencji, Zdziwiony Ptak odnosił się z najwyższym szacunkiem do ludzi, których uważał za mądrzejszych od siebie. Kierujący procesem odnowy partyjni intelektualiści odnajdywali w nim entuzjastycznego i żarliwego wykonawcę wypracowa-

nych przez siebie koncepcji. Nie znaczyło to wcale, że był wykonawcą bezkrytycznym, ślepo posłusznym. Odbarzony sporą dozą zdrowego rozsądku i lepiej od inteligentkich strategów reformy orientujący się w nastrojach i potrzebach mas robotniczych - niejednokrotnie przeciwstawiał się propozycjom jego zdaniem nie dość uzasadnionym i poddawał je rzeczowej korekcie własnych przemyśleń. Pomimo swej skromności wierzył w posłannictwo, jakim obciążała go historia, i drżał z bezustannego lęku o przyszłość odnowy, której stał się głównym symbolem. Do rozpaczy doprowadzały go spory i nieporozumienia między radykalnymi intelektualistami partyjnymi a starymi nieostrożnymi działaczami robotniczymi. Przy uśmierzeniu tych "rodzinnych waśni" nie odwoływał się nigdy do prerogatyw wynikających z jego naczelnego stanowiska. Jedyną bronią, jaką się posługiwał w polemikach z towarzyszami, była perswazja. Potrafił perswadować całymi godzinami, całymi dniami. Niekiedy zapamiętywał się w swych perswazjach do tego stopnia, że w oczach pojawiały mu się najprawdziwsze łzy. Niektórzy towarzysze wysmiewali tę jego "czułość" - dość niezwykłą u doświadczonego działacza partyjnego pochodzenia proletariackiego, ale u wieksości wzbudzał szacunek i sympatię. Dzięki umiarkowaniu i delikatności przyszłemu współpracy w kierowniczym ośrodku reform w kraju za południową granicą układała się na ogół harmonijnie i z korzyścią dla budzącego się do nowego życia narodu. Jedynym dyscusem zakłócającym euforię owych pierwszych historycznych dni było niespokojne pytanie, gnębiące zarówno strategów i taktyków - odnowy, jak i miliony zwykłych obywateli: co powiedzą na to tanci? Jak ustosunkują się do reform w wasalnym kraju ortodoksyjni towarzysze z Centrali?

Przywódcy z południowej granicy, rozpoczynając wcielanie w życie swych reformatorskich zażęceń, nie pragnęli bynajmniej oszablać więzi łączącej ich kraj z Opiekunczym Mocarstwem. Wszyscy ci ludzie od najmłodszych lat mieli zakodowaną w sercach i umysłach miłość do Opiekunczego Mocarstwa i nie wyobrażali sobie po prostu dalszego pomyślnego rozwoju swego matczyńskiego kraju bez poparcia i wszechogarniającej opieki ze strony wschodniego kolosa, mieniącego się ojczyzną zwycięskiego proletariatu. Chcieli jedynie przewietrzyć i unowocześnić nie zmieniając ani od półwiecza biurokratyczny system rządzenia, na zrywany realnym socjalizmem. Wierzyli, że podejmowane przez nich dzieło reform ogarnie z czasem cały Blok Pokoju, przyczyniając się do ugruntowania ogólnej pomyślności.

Ale rzecznicy reform dobrze znali straszliwy konserwaryzm towarzyszy z Centrali i ich paniczny lęk przed jakimikolwiek zmianami. Niedźwiedzie pomruki niezadowolenia, dobiegające z północnej nadstolicy w odpowiedzi na pierwsze wieści o przeobrażeniach dokonujących się na zachodnich rubieżach Bloku Pokoju nie pozostawiały żadnych złudzeń co do stanowiska towarzyszy z Centrali. Doradcy Zdziwionego Ptaka po długich naradach doszli do przekonania, że jedynym sposobem na przełamanie oporów Centrali będzie solidarne wystąpienie w obronie reform także innych wasalnych krajów. Pierwsze konsultacje z sąsiadami wypadły pomyślnie. Jeden z bardziej liczących się bratnich przywódców dopuścił możliwość solidarnego wystąpienia pod warunkiem, że jako pierwszy zasopowie się za programem reform przywódcy Połeki. Nikogo ten warunek nie zaskoczył. Dzięki swemu zwycięskiemu powrotowi do władzy przed 12 laty Organizator wyrobił sobie autorytet najważniejszego i najbardziej niezależnego przywódcy w całym Bloku Pokoju. Zgodzono się, że bez jego czynnego współnictwa nie do pomyślenia byłoby osiągnięcie zamierzonego celu. Musiało więc dojść do spotkania w przygranicznej puszczynie.

W miarę przedłużania się "poufnej wymiany poglądów" w lesnym parku robi się coraz zimniej. Prawdę mówiąc, nie jest to żadna wymiana poglądów, lecz nie ustający ani na chwilę żywiołowy monodram, odgrywany przez Zdziwionego Ptaka. Z nosem poczerwieniałym od mrozu, wymachujący jak skrzydłami drugimi rękami, jeszcze bardziej pętsi niż na początku - przywódca z południowej granicy uruchamia cały swój dar przekonywania, aby przebić się przez obecność, odgradzając go od polskiego gospodarza. Pragnie go zarazić wzniosłością i

euforia jaką on sam i jego kraj przeżywają od miesiąca. Ciągłe mówią, rozpała się coraz bardziej. Argumenty rzeczowe miesza z uczuciowymi. Domaga się od polskiego przywódcy poparcia. Trumaczy mu, jak bardzo to pomoc jest potrzebna. W jego namiętnym monologu zaczynają pobrzmiwać tony błagalne. Drobnyymi, szybkimi kroczkami zabiega drogą ciężko stąpającemu Organście. Pieszczotliwie głaszczą rękaw jego futra. O cóż właściwie chodzi? O ogłoszenie paru liberalnych dekretów w duchu reform z za południowej granicy. Czyż naród występujący z planem mogącym wpłynąć na poprawę życia w całym Bloku Pokoju nie zasługuje na ten prosty akt solidarności? Przy zaufaniu, jakim cieszy się w swym kraju polski przywódca, nie powinno to nastęrczać żadnych trudności. A skutki mogą być wielkie! Wielkie!...

Z uszami wtulonymi w wysoko postawiony kołnierz futra, ze zmrużonymi oczami i nieprzenikloną twarzą, wsłuchuje się polski przywódca w ten syreni śpiew. Zdziwiony Ptak mówi tak szybko, że treść niektórych słów blokowej kacyiny nie dociera do świadomości słuchającego. Ale to nie ma znaczenia. Wszystko, o czym opowiada gość z za południowej granicy, znane jest Organście doskonale z jego własnych doświadczeń. Kiedy słucha relacji z zdarzeń jakie rozgrywających się w obcym kraju, rozkręca mu się w pamięci film upajających przeżyć sprzed dwunastu lat. Nagłe zwolnienie z więzienia. Tryumfalny powrót do władzy. Warszawski Plac Defilad. Trudne do ogarnięcia wzrokiem rozkołysane morze ludzkich głów. Jak werbel bojowy przetecza się po tłumach jego pseudonim z lat okupacji. Skandująco nieskończoną ilość razy. I to cudowne potuzcie, jakiego nie zaznał przed nim żaden z komunistycznych przywódców - rozkoszna świadomość pełnego utożsamienia z narodem.

Od fioletowych roziskrzonych gór zawiewa mroźnym wiatrem. Organista mocniej się wtula w futrzany kołnierz, ale przykry ziąb prznika go do kości, zatyka mu płuca, powoduje nieprzyjemny ucisk w okolicy serca. Musi na chwilę przystanąć.

- Co on taki pewny siebie? - myśli z nagłą złością o tokującym w upojeniu zagranicznym gościu. - Zapomniał widać, w jakim żyje świecie!

Uważa, że ma nad gościem wielką przewagę, bo z własnych doświadczeń wie, że euforia trwa krótko, a dalszy ciąg jest znacznie mniej przyjemny.

Na trasie codziennych pieszych spacerów Organisty, między jego warszawską rezydencją a miejscem urzędowania w Komitecie, nazwanej przez niego "ścieżką zdrowia", stoi, a raczej stał do niedawna kramik ze starymi książkami. Właściciel kramiku, popularny w całej dzielnicy przygłup "pan Czesio", każdego dnia, w ciągu kilku lat nie patrząc na poddenerwowane spojrzenia "ochroniarzy" czuwających nad bezpieczeństwem przywódcy, celebrował na jego cześć jednoosobowe pochwalne demonstracje. Kiedy Organista zbliżył się do straganu, "pan Czesio" podrywał się na baczność, obnażał swój wygolony guzowaty czerep i salutując "do puste! głowy" - cały w radosnych uśmiechach - grzmiał pełnym głosem: witamy kochanego pana sekretarza! Niech pan żyje i nami rządzi sto lat!

Organista polubił te huczne powitania i włączył je na stałe do swego porządku dziennego. Uznał je za naturalne przedłużenie tego, co działo się na październikowym Placu Defilad.

A potem, zupełnie niedawno, przed czterema lub pięcioma miesiącami radosne demonstracje powitalne nagle ustały. Pierwszego dnia mogło się to wydawać przypadkiem, w następnych dniach stało się widocznym, że przypadkiem nie jest. Odtąd, ilekroć mijał ze swą eskortą antykwarski kramik, natykał się tylko na plecy "pana Czesia", straszliwie zajętego jakimś czynnościami porządkowymi, jakimś nerwowym przeczuciem książkowych staroci z miejsca na miejsce. Nie było się o ludzi: pan Czesio przestał go zauważać!

Obeszko go to tak bardzo, że zamiechał pieszych spacerów po "ścieżce zdrowia". Odgrodził się od pana Czesia kuloodporną szybą rządowego mercedesa. Po jakimś czasie, kiedy brak ruchu począł mu zakłócać procesy trawienne, burchnął od niechcenia komuś kompetentnemu, że niechlujny stragan antykwarski wcale nie upiększa willowej dzielnicy miasta. Następnego dnia pan Czesio ze swym kramikiem zniknął jak zdmuchnięty. Zabezpieczony przed przykrościami

wrogich demonstracji przywódcą mógł powrócić na swą "ścieżkę zdrowia". Ale wspomnienie pozostało. Obmierzałe, gryzące. Zmuszające do denerwujących rozrachunków z samym sobą...

Po krótkim wytochnieniu dostojni rozmówcy podejmują przerwana przechadzka. Jedną debatę odzyskuje utracony rytm. Tylko ucisk w sercu Organizisty nadal nie ustępuje.

Jak to się stało? Jak mogło do tego dojść, że naród, który tak go kochał, teraz się od niego odwraca?! Sama intryga Generała Policji nie potrafiłyby tego zdziałać. Organizista trzeźwo oceniał możliwości swego zbuntowanego protektora i nie traktował zbyt poważnie mitu, na gwalt fabrykowanego przez jego subalternów. Nie odebrało mu także miłości narodu owo niefortunne wystąpienie w Pałacu Przyjaźni. To, co wtedy powiedział, nie mogło mu przecież zaszkodzić w oczach takich chociażby ludzi, jak pan Czesio. A jednak pan Czesio odwrócił się od niego.

Prawda, że ludzie Generała Policji robili co mogli, żeby pomniejszać go w opinii narodu. Ale odnosiło to skutek tylko dlatę, że istniała już sytuacja sprzyjająca takim poczynaniom. Czuję, że już od lat stopniowo, niepostrzeżenie, narastała wokół niego atmosfera rozczarowania i niezadowolenia. Zaczęło się to bardzo dawno, zaraz po powrocie do władzy, na szalejącym z entuzjazmem Flakem Defilad. Kiedy dziesiątki tysięcy gardeł wykrzykiwały z nadzieją jego imię, dziesiątki tysięcy oczu wpatrywały się w niego z całkowitą oddaniem i najszczerzą miłością - zdjął go nagle strach, gdyż zrozumiał, że te tłumy oczekują od niego znacznie więcej, niż mógł i chciał im ofiarować.

Potem, zgodnie z obowiązującym rytuałem, pojechał do Opiekunckiego Mocarstwa, aby zweryfikować swój powrót do władzy i uzyskać błogosławieństwo dla dalszych poczynañ.

Cóż to była za podróż! Od Warszawy do wschodniej granicy na każdej, najbliższej nawet stacyjce burzliwe manifestacje na jego cześć, śpiewano "Sto lat, sto lat niech żyje nami!", sciskano jego ręce, obsypanyo go kwiatami i podarunkami dla wnuków. Wołano: "Tylko się nie daj, Kochany, i wracaj jak najprędzej!". Tak żywiołowo okazywanej miłości do Władzy nie oglądała Polska od maja 1935 roku, kiedy przewożone z Warszawy na Wawel trumny ze zwłokami marszałka Piłsudskiego.

I znowu doznawał sprzecnych uczuć. Prawił się z rozkoszą w tej nie udawanej miłości narodu, a jednocześnie w duchu polemizował gorzko z wzywającymi go głosami: "Wybijcie to sobie z głów, moi drodzy, tego, co wy chcecie, z pewnością wam stamtąd nie przywiozę!".

W Stolicy Bloku Pokoju powitano go gniewnie i nieufnie. Towarzysze z Centrali nie byli przyzwyczajeni do wasalnych przywódców, zawiązujących swe stanowisko nie nominacji uzgodnionej w najwyższych instancjach blokowych, lecz rzeczywistej woli narodu. Poza tym nie ustabilizowana sytuacja w Polsce budziła w Centrali najwyższy niepokój.

Ale Organizista udało się przełamać wroga nieufność. Po wysłuchaniu jego stanowiska towarzysze z Centrali zrozumieli, że ten wybraniec narodu będzie w pełni i w pełni pewnym jak nominanci blokowi, że nie naruszy on w niczym zasadniczych praw obowiązujących w Bloku Pokoju. Że ich lęki i niepokoje są tylko jego lekami i niepokojami.

W jednej tylko sprawie był Organizista nieustępliwy. Żądał pozwolenia zaprowadzenia tradycyjnej struktury wsi polskiej. - Jeżeli chcemy jeść - powiedział - musimy zostawić ziemię chłopom. - Po krótkich wahaniach udzielono mu tego pozwolenia. Sytuacja ogólna była tego rodzaju, że chcąc nie chcąc musiało go zaakceptować.

Do kraju powrócił jako zwycięzca. Mówiono mu, że w rozmowach z Centralą wykazał taką samą twardość, jaką ongiś w rozmowach z carami wykazywali ministrowie Ksawery Lubiecki i margrabia Aleksander Wielopolski. Ponieważ w swym prywatnym życiu nie miał zbyt wiele czasu na studiowanie historii, sądził, że najważniejszych wyjaśnień. Po ich wysłuchaniu umiechnął się kwaśno i z pewnym ciekawym

ganem porównanie zasprobował. Byli jednak i tacy /oczywiście intelektualistów/, którzy w żaden sposób nie chcieli go uznać za zwycięzcę. Uważali, że sprawę Centrali pokpią, że nie wykorzystał historycznej szansy, że mógł uzyskać znacznie więcej. O tych myślał z nienawiścią: "wa łbach im się poprzewracało, czego jeszcze chcą, może przywrócenia wielkiej własności ziemskiej albo wprowadzenia biskupów do komitatu centralnego partii?".

Po pierwszym okresie ogólnonarodowej euforii przystąpił do kieźniania fałi, która zniosła poprzednią ekipę rządzącą, a pozostawiona samej sobie mogła w bardzo krótkim czasie zmyć z kolei jego samego. Dla uczestników październikowych manifestacji zaczął się okres wielkich rozczarowań.

Najpierw uciszył - jak to określał - rozrulanych pismaków i niesfornych studentów. Później zabrał się do rozsamakowanych w zdobywcach Października robotników. Było to trudne i ryzykowne, ale i z tym sobie poradził. Nowe prawo o samorządzie robotniczym zostało sformułowane tak chytrze, że nawet towarzysze z Centrali byli z niego zadowoleni. Poklepywali go łaskawie po plecach i winszowali socjalistycznej mądrości.

Ale, na Boga, nie robił tego przecież dla towarzyszy z Centrali! W swoim rozumieniu działał z nakazu dziejowej konieczności, robił to dla swego narodu, dla państwa, w najbardziej uzasadnionym interesie polskiej racji stanu. Tylko lekkomyślni, niewdzięczni Polacy nie chcieli tego zrozumieć.

Najdłuższe i najcięższe boje staczać musiał z intelektualistami. Obeszyjną nienawiść, jaką przed kilkudziesięciu laty wyniósł był z celi więziennej, rozszerzyła się z czasem na całą elitę inteligencji polskiej, niezależnie od pochodzenia, poglądów czy uprawianych zawodów.

Działał mu na nerwy ci wszyscy profesorowie, bezczelni dziennikarze wtrącający się w nieswoje sprawy, wiecznie protestujący moralizatorscy literaci! Istnieli tylko po to, żeby mu się sprzeciwiać, żeby przeszkadzać mu w pracy dla państwa, żeby siać w kraju niepokój. Postępował też sobie z nimi bez zbyteknych ceregieli.

W sposób bezprzykładnie obraźliwy - tak później mówiono - odprawił od siebie najwybitniejszych publicystów i socjologów kraju, którzy napraszali się mu ze swymi dobrymi radami.

Ślawnego na cały świat profesora ekonomii, schorowanego inwalidę, który osmieszył się skrytykować gospodarczą politykę rządu, potraktował tak brutalnie, że ów uciekł w popłochu z jego gabinetu, pozostawiając tam swoją inwalidzką łaskę, po którą już nigdy się nie zgłosił.

Znanego z patriotyzmu literata nazwał publicznie wrogiem ojczyzny. W jego najgłębszym przekonaniu byli wrogami ojczyzny ci wieczni malkontenci i siewocy niepokojów, wywyższający się nad robotniczo-chłopską władzę, zapominający czyj chleb jedzą. Występowali przeciwko niemu, a więc przeciwko ludowemu państwu, a więc przeciwko ojczyźnie.

Kiedy jeden z jego najbliższych współpracowników z lat okupacji, ostatni intelektualista jakiego przy sobie tolerował, wyraził pogląd, że bez wysoko kwalifikowanej inteligencji państwem rządzić nie można, wpadł w taki szal kłóci, że rzucił w niego szklanką z gorącą herbatą.

Nie potrzebował tych przemadzalców! Im byli bardziej wykształceni i wygadani, tym mniej im ufał. Nie potrzebował ich! Sam wiedział najlepiej, jak trzeba prowadzić naród do lepszej przyszłości.

Wymniawali go, że buduje "siermiężny" socjalizm. Niechaj sobie będzie siermiężny! Był byż uczciwy, prowadzony po gospodarsku bez żadnych długów, bez życia nad stan - jak prowadzony był niegdyś jego warzacht ślusarski.

Ale przeszkadzali mu! Rzucali kłody pod nogi! Kradli! Kłamał! Stare, zdezolowane mechanizmy gospodarcze nie umiały już pracować uczciwie. Nie chcieli się poddawać nakazom zdrowego, robotarskiego rozsądku. Ale c ich wymianie czy choćby unowocześnieniu bał się nawet myśleć. Zbyt dobrze pamiętał zachłanne spojrzenia szalejących tłumów na październikowym Placu Defilad. Jeden nieostrożny ruch, a wszystko mogło wylecieć w powietrze.

Pozbawiony z własnej wsty, samodzielnie myślących doradców, zdany na coraz posłuszniejszych, ale i coraz bardziej nieudolnych wykonawców - gubił się

w bezskutecznych poszukiwaniach przyczyn zła, nie zdając sobie sprawy z tego, jak ogromny udział w powodowaniu zła ma jego własne postępowanie.

Nie mając zaufania do nikogo, sam chciał wszystko sprawdzić i poprawić. Na jego żądanie zwołano mu do gabinetu całe tony akt i papierzyzak. Wgłębiał się w szczegółowe sprawozdania z terenu, starając się oddzielić w nich prawdę od kłamstwa. Zestawiał cyfry bilansów, które nigdy nie chciały się ze sobą zgadzać. Zagłębiał się po uszy w tysiącu małych spraw, którymi zajmować się nie powinien, wskutek czego ogólne zarządzanie państwem chromało coraz bardziej. Rzecz prosta, że wykorzystywali to ludzie Generała Policji w swej podstępnej walce o władzę.

Z ciągłych zmartwień i przepracowania przestał sypiać. Nocami nachodzili go coraz absurdalniejsze pomysły uzdrowienia śle funkcjonującej gospodarki. Kiedyś ubrał sobie, że wszystkiemu winne są... konie. Było ich za dużo. Zebrały ogromne ilości cennej paszy, nie prawie nie dając w zamian. W najbar-dziej kawaleryjskim kraju świata konie zostały uznane za element antypaństwo-woy i na krótko zawisła nad nimi groźba totalnej zagłady. Na szczęście to mu wyperswadowano, ale inne pomysły były niewiele lepsze.

Jego gwałtowny temperament, młotający się w zaklętym kręgu niemożności, coraz częściej wyładowywał się w wybuchach nieprzytomnego gniewu. Kiedy nie podobało mu się coś w telewizji, rzucał w telewizor wszystko, co miał pod ręką. Podobnie poczynił sobie z aparatami radiowymi. Ludzie zaczęli się go panicznie bać. Nikt nie ośmielał się przedstawiać mu niekorzystnych meldunków z terenu. Podwładni schodzili mu mleczkiem z drogi, często ukrywali się przed nim. Ustała jakakolwiek krytyka jego zarządzeń. Między sobą po cichu matrzano się z niego, wruszano ramionami, ale robiono posłusznie, co kazał. Wy-rastał wokół niego mur przemilczeń i fałszów, odgradzający go coraz szczel-niej od społeczeństwa. Ponieważ nie dostrzegał w tym wszystkim własnej winy, nabrzmiewało w nim poczucie niezaskłużonej krzywdy. Coraz częściej zalił się na niewdzięczność Polaków. Pokochał w tym czasie amerykańskiego aktora Gary Coopera za jego rolę w filmie *W s a m o p o ż u d n i e*. Była to historia o sprawiedliwym szeryfie, walczącym samotnie z gangiem bandyckim, który opa-nował miasteczko. Kazał sobie wyświetlać ten film wiele razy. Widział w nim wierne odbicie własnej sytuacji. To on był sprawiedliwym szeryfem, skazanym na samotną walkę z otaczającą go bandą kłamców, nierobów i żajdaków.

Z zewnątrz dociera podniecony głos zagranicznego gościa. Kastrojony na najwyższy diapazon, z oczami wilgotnymi z uniesienia, Zdziwiony Ptak zapamię-tale wywodzi swoje racje. Zapewnia, że towarzysze z Centrali ugną się wobec solidarnego wystąpienia państw wasalnych. Zrozumieją w końcu, że chodzi także o ich własne dobro. Ze proponowane zmiany staną się dla nich arcywygodnym warsztatem eksperymentalnym do wypracowywania Wielkiej Reformy dla całego Bloku Pokoju, z Opiekunskim Mocarstwem włącznie. Że...

Organista słucha tych zapewnień i z trudem powstrzymuje się od ironiczne-go parsknięcia.

- Cóż to za nieprawdopodobna naiwność! Żył tak długo wśród nich i tak zu-pełnie ich nie zna!

Przypomina mu się pufny raport, który odebrał niedawno od swego ambasa-dora w Opiekunskim Mocarstwie. Kiedy w wachcudniej nadstolicy nadeszły pierw-sze wiadomości o "rozróżach reformistycznych" na południu, jeden z towarzyszy z Centrali w napadzie alkoholowej szczerości miał do kogoś powiedzieć: gły-byśmy chcieli u nas przeprowadzić to, co oni proponują, w przeciągu miesiąca poderżnięto by nam gardła!

Organista się przypada do gustu ta zwiężła męska diagnoza.

Oto w czym rzecz! A czy w Polsce jest inaczej? Wygadany gość z południa domaga się wydania kilku liberalnych dekretów? Dobry sobie! Niechby tylko trochę popuścić, a od razu ruszą do swego niszczycielskiego dzieła profesorowie, literaci i dziennikarze. Demagogicznymi hasłami rozkożysz łatwowiejne masy i rozleje się po zakładach pracy i po ulicach kontrrewolucja, maskowana robot-



niczym drelichem. Nadejście wtedy chwila Generała Policji albo jakiegoś innego naprędce sfabrykowanego zbawcy. Jego zaś wyrzucił na śmietnik, jak raz już wyrzucili. A przecież tylko on - wierzył w to z całej duszy - tylko on potrafił szlachną ręką doprowadzić do lepszej przyszłości ten lekkomyślny, zamarchizowany naród.

Przykry ucisk serca wreszcie ustępuje. Zapominając o swej astmie, z rozkoszą wdycha potężny haust mroźnego powietrza. Teraz już wie na pewno, że nie tylko nie poprze reform proponowanych przez Zdziwionego Ptaka, ale przeciwnie: wszelkimi dostępnymi środkami przyczyniać się będzie do zduszenia, do zadepnięcia zarzewia niebezpiecznego pożaru, który usiłują wzniecić za południową granicą zdrańcy intelektualiści.

Pozegnanie przywódców dwóch bratnich krajów wypadło mniej serdecznie niż ich niedawne przywitanie. Tym razem obyko się bez uścisków i pocałunków. Organizista - znowu zdyszany od rosnącego mrozu i skrzywiony jakby się opił octu - mamrotał pod nosem, że propozycja solidarnego wystąpienia wydaje się mu niezmiernie interesująca. Jednakże sprawa jest zbyt poważna, aby mógł sam o niej decydować. Musi się poradzić z towarzyszami z kolegiального kierownictwa. Zaręczył, że rzecz będzie rozpatrzona dogłębnie, z braterską życzliwością.

Gość z południowej granicy zrozumiał, że jego rzeczowe argumenty i namienne perefracje nie zdąży się na nie. Polski przywódca odmawiał swego poparcia dążeniom wolnościowym sąsiadów, co w konsekwencji wykluczało także pomoc dla nich ze strony innych bratnich krajów. Z ogromu poniesionej klęski Zdziwiony Ptak zdał sobie w pełni sprawę dopiero w drodze powrotnej, kiedy każdy przebywany kilometr przybliżał go nieuchronnie do przykrych konieczności złożenia sprawozdań z lesnej rozmowy - towarzyszą z kierownictwa partii i rządu.

Odmowa Organizisty rzuciła złowieszczą cień na świetlaną wizję przyszłości. Wszystko, co dotyczyło, wydawało się jasne, proste i możliwe do osiągnięcia, teraz potwornie się ekomplikowało i straszliwie przeszkodami nie do przebycia. "Bohatera z przypadku" przypomniło brzemień odpowiedzialności, przerastające jego siły. Poczuli się naraz bardzo umęczony i bardzo stępy. Całym sercem zaangażował do niedzielnych meczów hokeja na lodzie w spokojnym prowincjonalnym mieście.

W połowie drogi do zmartwienia i zdenerwowania rozboleł go brzuch. Po zacięciu prozków usmierzejących zapadł na krótko w ciężki narkotyczny sen. W którejś chwili przyemliło mu się, że najeżdża na niego ogromny czarny czołg. Ocknął się z krzykiem przerażenia. Siedzący obok kierowca daremnie próbował odgadnąć, do kogo odnosiły się słowa jego niezuspłonie jeszcze rozbudzonego szefa:

- Nie, tego mi nie zrobią! Tego nie mogą mi zrobić!

W przeciwieństwie do Zdziwionego Ptaka, Organizista powracał z lednego spotkania w nastroju jak najlepszym. Był przekonany o słuszności swego stanowiska, chwalił się za wstrzemięliwość i miał poczucie dobrze spełnionego obowiązku wobec własnego kraju i całego Bloku Pokoju. "Co innego, gdyby zwrócono się do mnie z taką propozycją przed dwunastu lety, kiedy miałem za sobą cały naród - szłał swe ostatnie skrępuły. "Ale teraz?... Generał czeka tylko na taką okazję. Zakatwiłby mnie raz dwa". O partnerze lednego spotkania myślał niechętnie i z lekceważeniem. Wspominał jego nadmierną uczuciowość, przesadny optymizm i wilgotniejące oczy. "Zupełny mięczak! I takiemu zachciewa się zbawiać świat". Bez współczucia wyobrażał sobie przyjęcie, jakie zgoutują powracającemu z pustymi rękami partyjni intelektualiści programujący dzieło odnowy za południową granicą. "Ja moich zawsze chwyciłom za mordę" - pomyślał z satysfakcją. "A tamten słucha swich we wszystkim. Niech więc pije, co sobie nawarzył". Wizja Zdziwionego Ptaka tłumaczącego się przed swoimi przemądrzałkami tak Organizistę ubawiała, że głośno się roześmiał.

Humor popsuł mu się dopiero przy wjeździe do Warszawy, kiedy na ciemnym niebie dostrzegł z daleka krwistą świstakę Pałacu Przyjaźni, nazywaną przez warszawskich dowcipniaków "periódem carycy Katarzyny". Nie znowił Pałacu Przy-

jażni od czasu, kiedy w jego największej sali dał się napuścić na owo fatalne w skutkach "przemówienie antysyjonistyczne". Znowu dźgnął do boleśnie tryumfalny uśmiezek Generała Policji. Zwalżył się na niego od razu wszystkie koszmary zatruwające mu życie w ostatnich latach i miesiącach. Intrygi frakcji generalackiej. Protesty intelektualistów. Otaczająca go znowa kłamstwa i zło-dziejstwa. Knowania rudego sekretarza. Odwrócony plecami pan Czesio. Nie zgadzające się cyfry bilansów. Miliony żarłocznych koni, rujnujących gospodarkę kraju. "Tamtó przemówienie to był ostatni gwóźdź do mojej trumny - pomyślał w narastającej panice. - Wyrwali mi cugle z rąk. Jak mogłem do tego dopuścić: Psiakrew!... Psiakrew!..."

Jednakże nawet w tym przejściowym upadku ducha nie nawiedziło go zbawcze olśnienie, że tamto przemówienie w Pałacu Przyjaźni było mało znaczącym potknięciem w porównaniu z gigantycznym, brzemennym w najbardziej dalekosiężne następstwa błędem, jaki popełnił odrzucając propozycje przedstawione mu w przygranicznym lesie.

W wypadku Organizisty takie olśnienie było niemożliwe. Nie należał do mięczaków, co raz powziąwszy decyzję, skłonni są dopuszczać do siebie osłabiające ją wątpliwości. To był cholernie twardy człowiek.

Warszawa, grudzień 1982 r.

\* \* \* \* \*

TOMASZ JASTRUB

M I A S T O

Ulice mojego miasta moje ulice  
Tam pies gdy podnosił nogę  
Łączył się z drzewem strumieniem ścieka  
A wiatr rozwiewał brązowy zapach wiosów  
Już zapomnianej dziewczyny

Tam widać jeszcze odciski gąsienic czołgów  
Na asfalcie Października  
I stóp przechodniów którzy szli  
Oddawać swoją kraw węglerskim powstańcom;

A na końcu jest ślepy korytarz  
Którym bieglem grudniową nocą  
Trzymając zamiast wici czarny sopel lodu

Ulice mojego miasta już nie moje ulice  
O zmięszczeniu składane w kostkę  
Na więziennym taborecie  
Piętrowe łóżka mieszkań  
Gdzie śpiimy z kolczastym drutem  
W zaciśniętych głoniach

O świecie miasto rozkłada się  
Jak pomięty list gończy  
Z moim imieniem i nazwiskiem

A ja czy to ten kto się przemyka  
Od okopu do okopu  
Trzymając w zębach nowonarodzony wiersz  
Czy ten co siedzi w samotni  
Z głową zaciśniętą w pięść

F R O N T

A więc od jutra  
Ma być wzmocniony  
Front wychowawczy

Dajemy naszym dzieciom  
Kanapki na drogę  
Poprawiamy nerwowo tornistry

I patrzemy jak idą  
Zupełnie same  
Na pierwszą linię

### Z O M O

Powyciągali nieszczęśliwe ludzkie zwierzęta  
Z dziur sabitych deskami  
Ze szkła stłuczonej butelki  
Dali gas karabin pałką  
I puścili na ulice  
Biegną za mięsem naszych pleców  
Za miłą kosią, ciemienia  
W kufkach ich piersi  
Kołysze się Matka Boska  
Z martwym dzieckiem w rąkach

### U C I E C Z K A

Uciec i zostawić ten kraj  
Odwrocony sinymi plecami do Europy  
Poczuć wolność w chmurach i wyżej  
Potem dać się prowadzić pasem startowym  
Lotnisk Kolonii i Paryża  
Nastawić oba policzki  
Pod miękko uderzenia obcej mowy  
Pomyśleć zostawiłem swoją ojczyznę  
Lecz do niej wrócę potem iść  
Ulicami tamtych miast wśród  
Uśmiechniętych wystaw chorych na ślinotok  
I czuć cały czas w okolicy przysadki  
I skrzyżowania Wisły z szosą krakowską  
Nieme spojrzenie spod zaropiących powiek  
Na których stoją szpetne ceglane domy  
I słychać płacz dzwoni  
Z drewnianej wieży wiejskiego kościoła

wrzesień 1982 r

\* \* \* \* \*

HANNAN APEHDT

M A S Y /1/

Nie ma nic bardziej charakterystycznego dla ruchów totalitarnych w ogóle a dla osób sławy ich przywódco w szczególności niż zdumiewająca szybkość, z jaką zostają zapomniani i zdumiewająca łatwość, z jaką można ich zastąpić. To, czego Stalin dokonywał latami drogą zaciętych walk frakcyjnych i daleko idących ustępstw poczynionych przynajmniej na rzecz imienia swojego poprzednika - w celu uprawomocnienia siebie jako politycznego spadkobiercy Lenina - jego następcy osiągnęli bez podobnych koncesji, choć Stalin miał trzydzieści lat na uwiecznienie swego imienia i mógł posługiwać się aparatem propagandowym nieznanym w czasach Lenina. To samo dotyczy Hitlera, który za życia wywierał urok, jakiemu rękoma nikt nie mógł się oprzeć /2/, a który dziś, po swojej klęsce i śmierci jest tak dokładnie zapomniany, że jego nazwisko odgrywa najwyższą jakąś szacunkową rolę w neofaszystowskich i neohitlerowskich ugrupowaniach powojennych Niemiec. Nietrwałość tę niewątpliwie można częściowo przypisać przyzwoleniowi; niestałości nas i temu, że słowa od nich zależy, ale w większym stopniu wynika ona z obsesji nieustannego ruchu prądów totalitarnych które mogą pozostawać przy władzy tylko dopóty, dopóki są w ruchu i pobudzają do ruchu wszystko dookoła. Zatem w pewnym znaczeniu sama ta nietrwałość wystawia pochlebne świadectwo zmarłym przywódcom, skoro udało im się za-

/1/ Rozdział z książki *The Origins of Totalitarianism* - 1950.

/2/ "Magiczny urok", jaki Hitler wywierał na swoich słuchaczy, wielokrotnie był opisywany, ostatnio przez wydawców *Hitler's Tischgespräche*. Bonn 1951 /Wyd. amer.: *Hitler's Table Talk New York 1953*; cytaty pochodzą z wydania oryginalnego/. To oczarowanie "działym magnetyzmem, który promieniował z Hitlera w tak nieodparty sposób" - wynikało z pewnością "z fanatycznej wiary w siebie tego człowieka" /wstęp Gerharda Rittersa, s. 14/, z jego pseudo-autorytatywnych opinii o wszystkim pod słońcem i z okoliczności, że jego zdanie - czy dotyczyło zgubnych skutków palenia tytoniu czy polityki Napoleona - zawsze mogło stać się częścią uniwersalnej ideologii.

Oczarowanie jest zjawiskiem społecznym: urok, jaki Hitler wywierał na swoje otoczenie, rozumiemy lepiej, pamiętając o towarzystwie, który się otaczał. Społeczeństwo jest zawsze skłonne beskrytycznie uważać kogoś za tego, za kogo się podaje, zatem postrzeleniem udający geniusza zawsze ma pewne szanse powodzenia. W nowoczesnym społeczeństwie, z cechującym go brakiem krytycyzmu, skłonność ta jest nasiloną, zatem każdy, kto nie tylko ma jakieś przekonania, ale głosi je tonem niezachwianej pewności, niełatwo utraci swój prestiż, niezależnie od tego, jak często popełniałby rażące błędy. Hitler, który poznał współczesny chaos przekonań z własnego doświadczenia, odkrył, że beznadziejnej huśtawki między holdowaniami różnym opiniom a "przekonaniem... że to wszystko bzdury" /s. 281/ najłatwiej uniknąć trzymając się jednej z wielu obiegowych postaw z "niezachwianą konsekwencją." Przerazająca dowolność treści tego fanatyzmu ma wielki urok dla społeczeństwa, bowiem na czas trwania wiary uwalnia się ono od chaosu opinii, jaki samo nieustannie wytwarza. Ten "dar" fascynacji ma jednak tylko towarzyską wartość; jest tak widoczny *Tischgespräche*, bowiem tam Hitler prowadził grę towarzyską i nie mówił do ludzi podobnych sobie, ale do generał w Wehrmachcie, którym w większym lub mniejszym stopniu należało do "towarzystwa". Przekonanie, że sukcesy Hitlera oparte były na jego "władzy wywierania uroku", jest całkowicie błędne; gdyby miał tylko takie uzdolnienia, nigdy by nie wykonywał poważnej roli w polityce.

szczepić swoim podwładnym szczególnie wirus totalitarny, bowiem jeżeli jest coś takiego jak osobowość czy umysłowość totalitarna, to ta niezwykła zdolność przystosowania należy do jej wybitnych cech. Dlatego też byłoby błędem wnioskować, że niestałość mas i ich skłonność do zapomnienia świadczy, że są wyłączone z totalitarnego obrotu, który niekiedy utożsamia się z kultem Hitlera czy Stalina; może być zupełnie przeciwnie.

Byłoby jeszcze większym błędem zapomnianie wskutek tej nistrwałości, że reżimy totalitarne, póki są u władzy, i przywódcy totalitarni, póki żyją, "rządzą poparciem mas i na nim polegają" - do końca /3/. Dojście do władzy Hitlera było legalne w kategoriach rządów wiekzowości /4/ i ani on, ani Stalin nie mógłby utrzymać przywództwa licznej ludności, przetrwać wielu kryzysów wewnętrznych i zewnętrznych i stawić czoła wielu zagrożeniom, wynikającym z nieustannych walk wewnątrzpartyjnych, gdyby nie cieszył się zaufaniem mas. Ani procesy moskiewskie, ani likwidacja frakcji Kłmentia byłyby możliwe, gdyby mas nie poparły Stalina i Hitlera. Szeroko rozpowszechnione przekonanie, że Hitler był po prostu agentem niemieckich przemysławców, a Stalin wygrał walkę o spadek po Leninie tylko za pomocą podstępnego spisku, to legendy, którym sprzeciwia się wiele faktów, a przede wszystkim niezaprzeczalna popularność obu przywódców /5/. Nie można również ich popularności przypisywać zwycięstwu perfidnej i kłamliwej propagandy nad niedoświadczeniem i głupotą. Bóź propaganda ruchów totalitarnych, poprzedzająca reżimy i im towarzysząca, jest zawsze tyle samo otwarta co kłamliwa, i przyszli władcy totalitarni zwykle zaczynają swoją karierę od przechwalania się dawnymi zbrodniami i planowaniami nowych. Hitlerowcy "byli przekonani, że czynienie zła w naszych czasach jest niezdrową siłą atrakcyjną" /6/, a zapewnienia bolszewików, czynione w kra-

3/ Zob. pouczające spostrzeżenia Carltona J.H.Hayesa /The Novelty of Totalitarianism in the History of Western Civilisation w: Symposium on the Totalitarian State, 1939. Proceedings of the American Society T.82. Philadelphia 1940/.

4/ Była to rzeczywiście "pierwsza w historii wielka rewolucja, której dokonano przez zastosowanie w chwili zdobycia władzy istniejącego formalnego porządku prawnego" /H.Frank, Recht und Verwaltung. 1939, s. 6/.

5/ Najlepszym opracowaniem Hitlera i jego kariery jest książka Alana Bullocka Hitler: A Study in Tyranny. London 1952 /przekład polski: Hitler. Studium tyranii. Tłum. T.Evert. Warszawa 1969/. Należąc do angielskiej tradycji biografii politycznych, skrupulatnie wykorzystuje wszelkie dostępne materiały źródłowe i podaje pełny obraz ówczesnej sytuacji politycznej. Publikacja ta prześcignęła bogactwem materiału znakomite książki Konrada Heidenau - przede wszystkim Der Fuehrer: Hitler's Rise to Power. Boston 1944 - które jednak nadal zachowują ważność w zakresie ogólnej interpretacji wydarzeń. Jeżeli chodzi o sylwetkę Stalina, to książka Borisa Souvarina'a, Stalin. A Critical Survey of Bolshevism. New York 1939, jest nadal podstawowym dziełem. Stalin: A Political Biography. New York 1949, Izaaka Deutschera jest niezastąpiona dzięki bogactwu materiału dokumentacyjnego i znakomitej orientacji w wewnętrznych walkach w partii bolszewickiej; wadą jej jest interpretacja porównująca Stalina z Cromwellem, Napoleonem i Robespierrem.

6/ F.Borkenau, The Totalitarian Enemy. London 1940, s. 231.

ju na użytek zewnętrzny, że nie uznają zwykłych norm moralnych, stały się podwaliną propagandy komunistycznej; poza tym doświadczenie nie przekonuje nas ciągle na nowo, że wartości propagandowa złych uczynków i ogólna pogarda dla norm moralnych nie opiera się tylko na własnej korzyści, którą uważa się za najistotniejszy czynnik psychologiczny w polityce.

Siła przyciągająca, jaką zło i zbrodnia wywiera na umysłowość motłochu, nie jest niczym nowym. Zawsze motłoch przyjmował "czyń przemocę pełnym uznania komentarzem: może to i podłe, ale bardzo sprytne" /7/. Niepokojącym czynnikiem sukcesu totalitaryzmu jest raczej prawdziwa bezinteresowność jego zwolenników: można zrozumieć, że hitlerowiec czy bolszewik nie będzie zachwiany w swoich przekonaniach z powodu zbrodni na ludziach, którzy nie należą do ruchu, czy są nawet jego wrogami, ale zdumiewające jest, że nie załamuje się ideowo, gdy bestia zaczyna pożerać własne dzieci, ani nawet kiedy sam staje się ofiarą prześladowań, gdy zostaje oskarżony fałszywie i skazany, kiedy zostaje wyrzucony z partii i zesłany do łagru czy obozu koncentracyjnego. Przeciwnie, ku zdumieniu całego cywilizowanego świata bywa nawet skłonny pomagać w swoim śledztwie i w uzasadnieniu kary śmierci dla siebie, jeżeli tylko nie zostanie naruszony jego status członka ruchu /8/. Byłoby naiwnością branie tej upartej stałości przekonań, nieczułej na wszelkie rzeczywiste doświadczenia i ślepej na bezpośrednią własną korzyść, za zwykły przejaw żarliwego idealizmu. Idealizm, czy to nierozumny, czy heroiczny, zawsze wynika z jakiejś jednostkowej decyzji i przekonania, a także podlega wpływom doświadczenia i argumentacji /9/. Fanatyzm ruchów totalitarnych, w całkowitym przeciwieństwie do wszelkich form idealizmu, kończy się w chwili, kiedy ruch pozostawia swoich uczestników własnemu losowi, bowiem zabija w nich jakiegokolwiek pozosta-

/7/ Cytat z niemieckiego wydania Protokółów mędrców Syjonu: Die Zionistischen Protokolle. Mit einem Vor- und Nachwort von T. Fritsch. 1924, s.29.

/8/ Jest to niewątpliwie specjalność rosyjskiej odmiany totalitaryzmu. Warto zauważyć, że już we wczesnych procesach zagranicznych inżynierów w Związku Sowieckim przychylności dla komunizmu była wykorzystywana jako argument na rzecz samookarżenia: "Przez cały czas władze nalegały, abym się przyznał do aktów sabotażu, których nigdy nie popełniłem. Odmawiałem. Powiedziano mi wówczas: Jeżeli jesteś sympatykiem władzy sowieckiej, jak twierdzisz, udowodnij to czynem; władza potrzebuje twojego wyznania winy". /A.Ciliga, The Russian Enigma. London 1940, s.153/.

Teoretyczne uzasadnienie takiego postępowania podał Trocki: "Możemy działać szczerze tylko z partią i przez partię, bowiem historia nie zna innego sposobu, aby mieć szczerść. Anglicy mają powiedzenie «My country, right or wrong» ..., my z o wiele lepszym uzasadnieniem historycznym możemy powiedzieć, że niezależnie od szczerości czy jej braku w konkretnych przypadkach, jest to moja partia" /B.Souvarine, op.cit., s. 361/.

W konsekwencji oficerowie Czerwonej Armii nie należący do ruchu musieli być sądzeni przy drzwiach zamkniętych.

/9/ Hitlerowski autor, Andreas Pfennig, odrzuca tezę, że SA-manni walczyli o "ideał" wiedzeni "idealistycznymi pobudkami". Ich "podstawowa pobudka pojawia się w czasie walki" /Gemeinschaft und Staatswissenschaft, Bd 96. Cytat zaczerpnięty z książki Ernsta Fraenkla, The Dual State. New York 1941, s.192/. Z obszernej literatury wydawanej w formie broszur przez główny ośrodek szkolenia ideologicznego /Haupt-Schulungssamt/ SS wynika, że starannie unikano wyrazu "idealizm". Nie idealizmu wymagano od członków SS, ale "całkowitej konsekwencji logicznej we wszystkich sprawach dotyczących ideologii i bezwzględnej prowadzenia walki politycznej" /W.Best, Die deutsche Polizei. 1941, s.99/.

kości przekonani, które mogłyby przetrwać klęskę samego ruchu /10/. Natomiast pozostając w ramach organizacyjnych, póki ruch trwa, sfanatyzowani członkowie są niedostępni ani dla doświadczania, ani dla argumentu; utožsamienie się z ruchem i doskonały konformizm najwidoczniej zabija w nich zdolność do wyciągnięcia wniosków z doświadczania nawet tak krancowych, jak tortury czy strach przed śmiercią.

Ruchy totalitarne stawiają sobie i osiągnęły cel, którym jest organizowanie mas, nie klas, jak czyniły to oparte na zasadzie korzyści stare partie kontynentalnych państw narodowych, i nie obywateli, mających opinie na temat postępowania w sprawach publicznych i mających w tym interes, jak czyniły partie krajów anglosaskich. Podczas gdy wszystkie ugrupowania polityczne zależą od swojej względnej popularności, ruchy totalitarne polegają na czystej sile liczby do tego stopnia, że wydaje się niemożliwe urzeczywistnienie panowania totalitarnego, nawet przy sprzyjających okolicznościach, w krajach o stosunkowo niewielkiej ludności /11/. Po pierwszej wojnie przeszła przez Europę fala głęboko antydemokratycznych, prodyktatorskich ruchów na wprost totalitarnych lub totalitarnych; ruchy faszystowskie rozeszły się z Włoch do prawie wszystkich krajów Europy Środkowej i Wschodniej /czeska część Czechosłowacji stanowi znanymi wyjątek/, lecz nawet Mussolini, który tak lubił termin "państwo totalitarne", nie usiłował ustanowić totalitarnego panowania na pełną skalę /12/, a zadowolili się dyktaturą i rządami monopartyjnymi. Podobne dyktatury nietotalitarne powstały w przedwojennej Rumunii, Polsce, w państwach bałtyckich, na Węgrzech, w Portugalii i frankistowskiej Hiszpanii. Hitlerowcy dysponujący niezawodnym wyczuciem takich różnic, z pogardą wytykali ukłonności swoich faszystowskich sprzymierzeńców, zaś ich szczerzy podziw dla rządów bolszewickich w Rosji /i partii komunistycznej w Niemczech/ był hamowany tylko pogardą dla ras wschodnioeuropejskich /13/. Jedynym człowiekiem, dla którego Hitler czuł

/10/ W tym zakresie powojenne Niemcy dają wiele pouczających przykładów. Było zaskakujące, że amerykańskie oddziały murzyńskie nie były pod żadnym względem przyjmowane wrogo, mimo indoktrynacji rasowej przeprowadzonej na wielką skalę przez hitlerowców. Jednak również zdumiewająca była "okoliczność, że Waffen-SS w ostatnich latach niemieckiego oporu przeciwko aliantom nie walczyły «do ostatniego»" i że ta elitarna hitlerowska formacja "po ogromnych stratach poniesionych w poprzednich latach, o wiele większych niż proporcjonalne straty Wehrmachtu, w ostatnich tygodniach zachowywała się jak każda jednostka sformowana z zaciągu wśród cywili i poddała się beznadziejności sytuacji" /K.O.Paetel, Die SS, "Vierteljahreshefte für Zeitgeschichte" 1954, nr 1/.

/11/ Podporządkowane Moskwie rządy wschodnioeuropejskie panują w imieniu Moskwy i działają jako agenci Kominternu; stanowią one przykład rozszerzania się ruchu totalitarnego kierowanego przez Moskwę, a nie rodzimego chowu. Jedynym wyjątkiem jest prawdopodobnie Jugosławia Tity, który zerwał z Moskwą najpewniej wskutek przekonania, że zalecane metody totalitarne mogłyby go kosztować znaczny odsetek ludności Jugosławii.

/12/ Dowodem nietotalitarnego charakteru dyktatury faszystowskiej we Włoszech jest zaskakująco mała liczba i względna łagodność kar wymierzonych przez tępcem politycznym. Podczas szczególnie aktywnych lat, od 1926 do 1932 roku, specjalne trybunały dla przestępstw politycznych wydały siedem wyroków śmierci, 257 kar więzienia ponad dziesięć lat, 1360 poniżej 10 lat i skazały wielu innych na wygnanie; ponadto 12 000 osób zostało aresztowanych a następnie niewinnych, co było zupełnie nie do pomyślenia w warunkach terrorku hitlerowskiego czy bolszewickiego. /E.Kohn-Bramstedt, Dictatorship and Political Police: The Technique of Control by Fear. London 1945, s.51 i nast./

/13/ Hitlerowscy teoretycy polityczni zawsze zwracali uwagę, że "etycznego państwa Mussoliniego i ideologicznego państwa Weltanschauungsstaat/



"szlachetny szacunek", był "genialny Stalin" /14/, a choć na temat Stalina i jego dokonań rosyjskich nie mamy /i chyba nigdy nie będziemy mieli/ tak bogatych materiałów źródłowych jak w wypadku Niemiec, to i tak od czasu wystąpienia Stalina na XX Zjeździe wiemy, że Stalin miał zaufanie do jednego tylko człowieka, a był nim Hitler /15/.

Hitlera nie można wymieniać jednym tchem" /G.Neesse, Die verfassungsmässige und rechtliche Gestalt und der Einpartei, "Zeitschrift für die Gesamte Staatswissenschaft" Bd. 98: 1938/.

Goebbels tak pisał o różnicy między faszyzmem a narodowym socjalizmem: "Faszyzm nie jest ... w niczym podobny do narodowego socjalizmu. Podczas gdy ten ostatni sięga głęboko do korzeni, faszyzm jest całkowicie powierzchowny" /The Goebbels Diaries 1942-1943, Wyd. L.Lochner. New York 1948, s.71/. "Duże/ nie jest rewolucjonistą jak Hitler czy Stalin. Jest tak związany z własnym narodem, że brak mu szerokości spojrzenia międzynarodowego rewolucjonisty i instygatora" /ibid., s.468/.

Himmler wypowiadał taką samą opinię w przemówieniu wygłoszonym w 1943 roku na spotkaniu dowódców: "Faszyzm i narodowy socjalizm to dwie gruntownie odmienne rzeczy, ... nie ma żadnego w ogóle porównania między faszyzmem a narodowym socjalizmem jako ruchami duchowymi, ideologicznymi". /E.Kohn-Bramstedt, op.cit., Appendix A./

Na początku lat dwudziestych Hitler uznawał pokrewieństwo między narodowym socjalizmem a komunizmem: "W naszym ruchu połączyły się dwie skrajności: komuniści z lewicy oraz oficerowie i studenci z prawicy. Były to zawsze najbardziej aktywne elementy. ... Komuniści byli idealistami socjalizmu..." /K.Reiden, op. cit., s.147/. Röhm, komendant SA, jedynie powtarzał obiegowe przekonania, kiedy pisał w końcu lat dwudziestych: "Wiele rzeczy dzieli nas od komunistów, ale mamy szacunek dla szczerości ich przekonań i gotowości ponoszenia ofiar dla sprawy, i to nas z nimi łączy" /E.Röhm, Die Geschichte einer Hochverrats, 1933, s.273/.

W czasie ostatniej wojny hitlerowcy chętniej uznawali za równych Rosjan niż jakikolwiek inny naród. Hitler przemawiając w maju 1943 roku na konferencji Reichsleiterów i Gauleiterów "zaczął od stwierdzenia faktu, że w tej wojnie walczą państwa burżuazyjne, nie dorównujące nam wykształceniem i postawą. Państwa dysponujące ideologią mają przewagę nad państwami burżuazyjnymi. ... Na wschodzie mamy do czynienia z przeciwnikiem, który również hoduje ideologię, chociaż fałszywiej..." /Goebbels Diaries, s.355/. Ocena ta była oparta na przesłankach ideologicznych, nie militarnych. Gottfried Nessel /Partei und Staat, 1936/ podał oficjalną wykładnię walki o władzę, pisząc: "Dla nas zjednoczony front systemu rozciąga się od Niemieckiej Narodowej Partii Ludowej /czyli skrajnej prawicy/ do Socjaldemokratów. Partia Komunistyczna była wrogiem spoza systemu. Zatem w pierwszych miesiącach 1933 roku, kiedy los systemu był już przypieczętowany, musieliśmy jeszcze stoczyć decydującą bitwę z komunistami" /s.76/.

Hitlers Tischgespräche, s.113. Znajdujemy tam również liczne dowody na to, że wbrew niektórym legendom powojennym, Hitler nigdy nie miał zamiaru bronić "Zachodu" przeciw bolszewizmowi, ale zawsze był gotów sprzymierzyć się z "czerwonymi" w celu zniszczenia Zachodu - nawet w toku wojny z Rosją Sowiecką. Zob. zwłaszcza s.95, 108, 113 i nast., 158, 385.

Wiemy dziś, że Stalina wielokrotnie ostrzegano przed bliskim staniem Hitlera na Związek Sowiecki. Nawet kłótnie zowiecki attaché wojskowy w Berlinie podał mu dokładną mapę hitlerowskiej inwazji, Stalin nie chciał

Otóż we wszystkich tych mniejszych krajach europejskich dyktatury były poprzedzone ruchami totalitarnymi, czyli okazało się, że totalitaryzm był zamiarem zbyt ambitnym, że choć znakomicie posłużył do zorganizowania mas, póki ruch nie zdobył władzy, to następnie ograniczone rozmiary kraju zmusiły totalitarnego przywódcę mas do przyjęcia bardziej swojskich wzorów dyktatury klasy czy partii. Rzecz w tym, że kraje te nie panowały nad zasobami ludzkimi wystarczającymi do wprowadzenia totalnych rządów z nieodłącznymi od nich wielkimi stratami ludnościowymi /16/. Nie mając większych nadziei na podobój bardziej zaludnionych obszarów, tyrani tych małych krajów zmuszeni byli do jakiegoś staroświeckiego umiarkowania pod groźbą utracenia ludności, którą mieli pod swoim panowaniem. Temu też można przypisać, dlaczego hitleryzm, przed wybuchem wojny i ekspansją na Europę, pozostawał tak daleko w tyle za swym rosyjskim odpowiednikiem w konsekwencji i bezwzględności; nawet naród niemiecki nie był wystarczająco liczny, aby mogła się w pełni rozwinąć ta najnowsza forma rządów. Dopiero gdyby Niemcy wygrały wojnę, poznałyby pełną skalę możliwości totalitarnej władzy i pełny rozmiar strat, które by wywołała nie tylko w "niższych rasach", ale i wśród samych Niemców, co można wywnioskować z dochowanych planów Hitlera /17/. W każdym razie dopiero w czasie woj-

wierzyć, że Hitler mógłby pogwałcić traktat /Zob. Chruszczow, S p e c h o n S t a l i n, tekst według Departamentu Stanu, "The New York Times" 5 czerwca 1956/.

/16/ Następujące liczby podane przez Souvarine'a /op. cit., s.669/ stanowią przekonujący dowód: "Według Waleriana Kriwickiego, który korzystał z niezawodnego źródła tajnych danych, jakim jest GPU, «ze 171 milionów mieszkańców spisanych w 1937 roku pozostało tylko 145, zatem blisko 30 milionów zaginęło.»" A to, musimy pamiętać, stało się po rozkułtaceniu z początku lat trzydziestych, którego koszt wyniósł około 8 milionów istnień ludzkich. /C o m m u n i s m i n A c t i o n. Washington 1946, s.140/.

/17/ Większą część tych planów, w oparciu o oryginalne dokumenty, można znaleźć u Leona Poliakov'a /B r é v i a i r e d e l a H a i n e, Paris 1951, rozdz. 8; przekład amerykański pt. H a r v e s t o f H a t e, Syracuse 1954; cytujemy tu z francuskiego oryginału/, ale tylko te, które odnoszą się do wyniszczenia narodów nie-germańskich, zwłaszcza słowiańskich. To, że hitlerowska machina zniszczenia nie zatrzymałaby się nawet przed narodem niemieckim, wynika z niemieckiej ustawy o zdrowiu zaprojektowanej przez samego Hitlera. Zamierza w niej "odizolować" od pozostałej ludności wszystkie rodziny, w których występują choroby serca lub płuc; ich eliminacja fizyczna byłaby oczywiście następnym punktem programu. To, jak również kilka innych ciekawych zamierzeń dla zwyciężek powojennych Niemiec, zawarte są w okólniku do komendantów okręgu /Kreisleiter/ Hesse-Nassau w postaci sprawozdania z odbytej w głównej kwaterze Hitlera dyskusji dotyczące "kroków, które należy podjąć przed ... i po zwycięskim zakończeniu wojny". /Zbiór dokumentów w N a z i C o n s p i r a c y a n d A g g r e s s i o n, Washington 1946, t.7, s.175/. Do tego samego planu należały zamiar wprowadzenia "generalnego prawodawstwa dotyczącego elementów obcych", które miało zalegalizować i rozszerzyć "instytucjonalną władzę" policji, to jest prawo do umieszczenia w obozach koncentracyjnych ludzi niewinnych. /P.Werner, S S - S t a n d a r t e n f ü h r e r, "Deutsche Jugendrecht" 1944, s.4/.

W związku z tą "negatywną polityką populacyjną", która w zamiarach eksterminacyjnych niewątpliwie dorównuje bolszewickim czystkom partyjnym; trzeba pamiętać, że "ten proces selekcji nie może się zatrzymać" /H.Himmler, Die S c h u t z s t a f f e l w: G r u n d l a g e n, A u f b a u u n d W i r t s c h a f t s o r d n u n g d e s n a z i o - n a l s o z i a l i s t i s c h e n S t a a t e s, Nr 7b/. "Walka Ehh-rera i jego partii polegała na nieosągalnej przedtem selekcji. ... Se-

ny, kiedy podboje na wschodzie objęły już wielkie masy ludzi i umożliwiły powstanie obozów zagłady, Niemcy były w stanie ustanowić prawdziwie totalitarne rządy. /Natomiast prawdopodobieństwo powstania rządów totalitarnych jest przerazające duże w krajach tradycyjnego wschodniego despotyzmu, w Indiach i w Chinach, gdzie występuje niemal niewyczerpany materiał do utrzymania w ruchu maszynierii totalnych rządów, skupiającej siły i niszczącej ludźmi, i gdzie poza tym typowe dla człowieka pozbawionego więzów społecznych poczucie zbędności - w Europie całkowicie nowe zjawisko towarzyszące od początku XIX wieku masowemu bezrobociu i przyrostowi ludności - przestawiało się od stuleci w pogardzie dla wartości życia ludzkiego. / Umiarkowanie czy stosowanie mniej krwiożerczych metod rządzenia trudno przypisać obawie przed buntem; wyludnienia własnego kraju było o wiele większą groźbą. Tylko wtedy, kiedy wielkie masy ludności są zbędne lub można się bez nich obyć bez rujnujących skutków wyludnienia, możliwa jest totalitarna forma rządów w odróżnieniu od ruchu totalitarnego.

Warunki sprzyjające narodzinom ruchów totalitarnych pojawiają się zawsze wtedy, kiedy istnieją masy, które z tego czy innego powodu nabierają chęci do posiadania organizacji politycznej. Masy nie są powiązane świadomością wspólnych interesów i brak im tej szczególnej klasowej przejrzystości, ujawniającej się w określonych, ograniczonych i możliwych do uzyskania celach. Nazwa "masa" jest właściwa tylko wtedy, kiedy mamy do czynienia z ludźmi, których, albo wskutek ich liczebności, albo obojętności, albo połączenia jednej z drugą, nie można skupić w żadnej organizacji opartej na wspólnych interesach, w partii politycznej, radach miejskich czy stowarzyszeniach fachowych albo związkach zawodowych. Potencjalnie masy występują w każdym kraju i tworzą większość złożoną z tej wielkiej liczby ludzi neutralnych, którymi obwołują się, którzy nie wstępują do żadnej partii i z reguły nie biorą udziału w wyborach.

Dla powstania ruchu hitlerowskiego w Niemczech, i dla ruchów komunistycznych w Europie po 1930 roku /18/, charakterystyczne było to, że rekrutowali one swoich członków z tej masy pozornie obojętnych ludzi, z których inne partie zrezygnowały jako ze zbyt ospałych lub ograniczonych. W rezultacie większość zwolenników tych nowych ruchów stanowili ludzie, którzy nigdy przedtem nie pojawiali się na scenie politycznej. Pozwoliło to na wprowadzenie zupełnie nowych metod w propagandzie i na odporność wobec argumentacji i przeciwników politycznych; ruchy te nie tylko lokowały się poza cały system partyjny i w poczuciu wobec niego wrogiej, ale przyciągały członków dotychczas nietkniętych, "nie zapluty" przez ten system. Nie potrzebowali zatem odpyrać argumentów przeciwnika i konsekwentnie dobierały metody, których wynikiem była raczej śmiałość niż przekonanie, które upowszechniały raczej terror niż argumenty. Niekonsekwencje przedstawiano jako wynik z głębokich, naturalnych, społecznych lub psychicznych źródeł, pozostających poza zasięgiem jednostki, a zatem jako przerastające władzę rozumu. Byłoby to obciążeniem, gdyby ruchy owe rzeczywiście podejmowały współzawodnictwo z innymi partiami, ale było inaczej, gdyż miały do czynienia z ludźmi mającymi powody, aby nienawidzić jednakowo wszystkich partii.

lekcja ta i walka została pozornie zakończona 30 stycznia 1933 roku. ... Führer i jego stara gwardia wiedzieli, że prawdziwa walka dopiero się zaczęła" /R. Ley, Der Weg zur Ordnungsbürg. Verl. d. Dt. Arbeitsfront. "Nie do sprzedaży"/.

/18/ Frans Borkenau prawidłowo opisuje sytuację: "Komuniści mieli bardzo skromne sukcesy, kiedy próbowali pozyskać wpływ wśród mas z klasy robotniczej; ich zasadnicza baza, jeżeli jakąś mieli, była coraz dalsza od proletariatu". /Die neue Komintern, "Der Monat" 1949, s. 4/.

Powodzenie, z jakim ruchy totalitarne spotkały się u mas, oznaczało koniec dwu złudzeń rządzonych demokratycznie krajów w ogóle, a europejskich państw narodowych i ich systemu partyjnego w szczególności. Pierwsze głosiło, że większość ludzi przyjmując czynny udział w rządach i że każdy obywatel jest zwolennikiem tej czy innej partii. Otóż ruchy totalitarne dowiodły, że politycznie neutralne i obojętne masy łatwo mogą stać się większością w kraju rządzonym demokratycznie, a zatem funkcjonowanie demokracji umożliwiające reguły przestrzegane tylko przez mniejszość. Drugim złudzeniem demokracjonalnym, rozproszonym przez ruchy totalitarne, było lekceważenie tych obojętnych mas jako siły politycznej; przekonanie, że nie one nie znaczą, że są rzeczywiście neutralne i tworzą tylko nieme tło dla politycznego życia narodu. Otóż ruchy totalitarne dowiodły tego, czego nie był w stanie wykrzyć żaden instrument opinii publicznej, a mianowicie, że rząd demokratyczny opiera się w tym samym stopniu na milczącym przyzwoleniu i tolerancji obojętnych i niemych odłamów ludności, co na wypowiedających się i widocznych instytucjach i organizacjach politycznych kraju. Zatem kiedy ruchy totalitarne wtargnęły do parlamentu za swoją pogardą dla rządów parlamentarnych, to tylko pozornie były niekonsekwentne; w rzeczywistości udało im się przekonać ogół ludności, że większość parlamentarna są fałszywe i nie muszą odzwierciedlać rzeczywistości politycznej kraju, przez co podważyły dobre samopoczucie i pewność rządów, które również bardziej wierzyły we władzę większości niż we własne konstytucje.

Często spostrzegano, że ruchy totalitarne korzystają ze swobód demokratycznych i ich nadużywają, aby je znieść. Nie jest to po prostu dowodem dialektycznej przebiegłości ich przywódców ani działającej naiwności mas. Swobody demokratyczne mogą wywodzić się z równości wszystkich obywateli wobec prawa, jednak nabierają znaczenia i funkcjonują organicznie dopiero wtedy, kiedy obywatele należą do grup i są przez nie reprezentowani, albo tworzą hierarchię społeczną i polityczną. Załamania się systemu klasowego, jedynego rozwarstwienia istniejącego w europejskich państwach narodowych, istotnie stanowiło "jedno z najbardziej dramatycznych wydarzeń w najnowszej historii Niemiec" /19/ i było tak samo korzystne dla powstania hitlerizmu, jak brak rozwarstwienia społecznego wśród niezmiernie wielkiej rosyjskiej ludności wiejskiej /owego "wielkiego bezwładnego ciała pozbawionego świadomości politycznej, niemal niedostępnego dla idei pobudzających do uszlachetniających działań" /20/ / dla obalenia przez bolszewików demokratycznego rządu Kierieńskiego. Stosunki panujące w przedhitlerowskich Niemczech wskazyują na niebezpieczeństwo kryjące się w rozwoju zachodniej części świata, kiedy z zakończeniem drugiej wojny światowej to samo dramatyczne załamanie systemu klasowego powtórzyło się we wszystkich prawie krajach europejskich, i kiedy rozwój zburzeń w Rosji wyraźnie zapowiada kierunek, jaki mogą przybrać nieuniknione rewolucyjne zmiany w Azji. Praktycznie biorąc, nie będzie wielkiej różnicy, czy ruchy totalitarne przyjmą model hitlerowski czy bolszewicki, czy zorganizują masy w imię rasy czy klasy, czy będą powoływały się na prawa życia i natury czy na dialektykę i ekonomię.

Obojętność na sprawy publiczne i neutralność w sprawach politycznych nie stanowi jeszcze wystarczającej przesłanki powstania ruchów totalitarnych. Konkurencyjne i zachłanne społeczeństwo mieszczańskie wywołało spatię i nawet wrogosc wobec życia publicznego nie tylko, a nawet nie w pierwszym rzędzie, w warstwach społecznych wyszukiwanych i wyłączonej od czynnego udziału w rządach krajem, ale przede wszystkim we własnej klasie. Po długim okresie fałszywego wstydu, kiedy mieszczaństwo zadawało się rolę dominującej klasy społecznej bez aspirowania do rządów politycznych, które bez sprzeciwu pozostawiało arystokracji, nastąpiła epoka imperialistyczna, w czasie której bur-

/19/ W. Ebenstein, The Nazis and the State. New York 1943, s. 247

/20/ Według słów Maksyma Gorkiego /Souvarine, op. cit., s. 290/

żużaja stawała się coraz bardziej wroga wobec istniejących instytucji państwowych i zaczęła domagać się sprawowania władzy politycznej i organizować się w celu jej zdobycia. Zarówno początkowa apatia, jak i późniejsze domaganie się monopolu na dyktatorskie kierowanie sprawami zagranicznymi kraju, wywołały się ze sposobu życia i filozofii życia tak silnie i wyłącznie ze środkowanej wokół sukcesu lub niepowodzenia jednostki w bezwzględny współzawodnictwie, że obowiązki i odpowiedzialność obywatelską odczuwano jako niepotrzebne uszczuplanie jej ograniczonego czasu i energii. Takie postawy mieszczańskie są bardzo pożyteczne w formach dyktatury, w których "silny człowiek" bierze na siebie kłopotliwą odpowiedzialność za prowadzenie spraw publicznych; jednak stanowią prawdziwą zawadę dla ruchów totalitarnych, które mieszczańskiego indywidualizmu nie znoszą tak samo jak każdego innego indywidualizmu. Apatyczne odłamy rządzonego przez mieszczaństwo społeczeństwa, choćby niechętnie podjęciu obywatelskiej odpowiedzialności, utrzymują swoje osobowości w stanie nienaruszonym, choćby dlatego, że w innym razie nie mogłyby mieć nadziei na przetrwanie konkurencyjnej walki o życie.

Decydujące różnice między dziewiętnastowiecznymi organizacjami motłochu a dwudziestowiecznymi ruchami masowymi są trudne do uchwycenia, porównań współcześnie przywódcy totalitarni nie różnią się wiele psychicznie i umysłowo od dawniejszych przywódców motłochu, których normy moralne i zasady polityczne ogromnie zbliżyły ich do mieszczaństwa. Skoro jednak indywidualizm był cechą charakterystyczną zarówno mieszczańskiego stosunku do rzeczywistości, jak i postawy motłochu, ruchy totalitarne mogą słusznie głosić, że były pierwszymi prawdziwie antymieszczańskimi partiami; żaden z ich dziewiętnastowiecznych poprzedników, ani Stowarzyszenie 10 Grudnia, które pomogło zdobyć władzę Ludwikowi Napoleonowi, ani brygady rzeźników ze sprawy Dreyfusa, ani czarna sotnia rosyjskich pogromów, ani ruchy ponadnarodowe, nie doprowadzały swoich członków do całkowitego zatracenia indywidualnych dążeń i ambicji, a nawet nie uświadomiły sobie, że organizacja może wywołać trwałe zniszczenie jednostkowej tożsamości, a nie tylko na moment zbiorowej bohaterkiej akcji.

Stosunki między opanowanym przez mieszczaństwo społeczeństwem klasowym, a masami powstałymi wskutek jego upadku, nie są takie same jak między mieszczaństwem a motłochem, który był produktem ubocznym produkcji kapitalistycznej. Masy łączy z motłochem tylko jedna cecha, a mianowicie, że stoją poza całym systemem społecznym i normalnym przedstawicielstwem politycznym. Masy nie przejmują, jak motłoch - choć ten w wynaturzonej postaci - norm i postaw klasy dominującej, ale odzwierciedlają i w jakiś sposób zniekształcają normy i postawy wszystkich klas wobec spraw publicznych. Normy moralne człowieka pozbawionego więzów społecznych determinuje nie tylko, a nawet nie przede wszystkim, określona klasa, do której kiedyś należał, ale raczej panująca atmosfera i przekonania milcząco podzielane przez wszystkie klasy społeczeństwa.

Przynależności do klas, choć nie tak sztywnej i nigdy tak bezwzględnie nie determinowanej przez pochodzenie społeczne, jak w wypadku kast i stanów społeczeństwa feudalnego, nabywało się na ogół przez urodzenie, i tylko niezwykle uzdolnienia lub szczęście mogły ją zmienić. Pozycja społeczna przesądzała o uczestniczeniu jednostki w sprawach publicznych, i z wyjątkiem wypadków nadzwyczajnych, kiedy jednostka miała działać tylko jako członek narodu, niezależnie od przynależności klasowej czy partyjnej, nigdy bezpośrednio nie stykała się ze sprawami publicznymi ani nie czuła odpowiedzialności za ich tok. Związki z przynależnością do jakiejś klasy znaczenia w społeczności zawsze towarzyszyło kształcenie i ćwiczenie jej członków w polityce traktowanej jako praca, jako płatna /czy, jeżeli mogli sobie na to pozwolić, bezpłatna/ służba w rządzie i przedstawicielstwo klasy w parlamencie. Okolicznością, że większość ludzi pozostawała poza wszelkimi partyjnymi czy innymi organizacjami politycznymi, nikt się nie przejmował, co odnosiło się jednokowo do wszystkich klas. Inaczej mówiąc, przynależność do klasy, jej ograniczone grupowe zobowiązania

i tradycyjne postawy wobec rządu przeszkadzały wzrostowi liczby obywateli, którzy czuliby się indywidualnie i osobiście odpowiedzialni za rządy krajem. Apolityczność ludności państw narodowych wysza na jaw dopiero wtedy, kiedy system klasowy załamał się, kryjąc jednocześnie całą sieć widocznych i niewidocznych nici, które wiązały ludzi z organizmem politycznym.

Załamanie się systemu klasowego oznaczało automatycznie katastrofę systemu partyjnego, głównie dlatego, że partie, będące partiami interesów, nie mogły już reprezentować interesów klasowych. Ich dalsze trwanie miało pewne znaczenie dla członków byłych klas, którzy beznadziejnie wierzyli, że będą mogli odzyskać swój dawny status społeczny, i którzy trzymali się razem, nie dlatego, że mieli wspólne interesy, ale dlatego, że mieli nadzieję je odwrócić. Wobec tego propaganda partii nabierała charakteru coraz bardziej psychologicznego i ideologicznego, a ich sposób działania stawał się coraz bardziej obronny i nostalgiczny. Ponadto, nie uświadamiając sobie tego, partie straciły tych neutralnych zwolenników, którzy nigdy nie interesowali się polityką, w przekonaniu, że po to są partie, żeby dbały o ich interesy. Zatem pierwszą oznaką katastrofy kontynentalnego systemu partyjnego była nie dezercja starych członków partii, a ich porażka w rekrutowaniu członków z młodszego pokolenia i utrata milczącej zgody i milczącego poparcia ze strony nieorganizowanych mas, które nagle otrząsnęły się z apatii i poszły tam, gdzie widziały sposobność do wyrażenia swojego nowego gwałtownego sprzeciwu.

Upadek ochronnych murów klasowych przekształcił uśpioną większość zwolenników wszystkich partii w jedną wielką, nieorganizowaną, bezkształtną masę rozszcieczonej jednostek, których nic nie łączyło poza niejasną świadomością, że nadzieje członków partii są skazane na zatrącie i że zatem bardziej szanowani, wymowni i reprezentatywni członkowie społeczeństwa byli głupcami, a wszystkie istniejące siły były nie tyle przewrotne, co jednakowo głupie i oszukańcze. Ma powstania tej nowej przerażającej solidarności nie miało znaczenia, czy bezrobocie nie nienawidził istniejącego stanu i jednej z działających sił - w postaci partii socjaldemokratycznej, wywłaszczony drobny posiadacz - w postaci partii centrowej czy prawicowej, a byłby członkiem klasy średniej - w postaci tradycyjnej skrajnej prawicy. Liczebność tej masy generalnie niezdawalonych i zrozpaczonych ludzi wzrosła znacznie w Niemczech i w Austrii po pierwszej wojnie, kiedy inflacja i bezrobocie dołączyły swój rozkładający wpływ do skutków porażki wojennej; masy te pojawiły się w znacznej liczbie we wszystkich państwach nowopowstałych i popierały radykalne ruchy we Francji i we Włoszech po drugiej wojnie światowej.

W tej atmosferze katastrofy społeczeństwa klasowego ukształtowała się psychika człowieka pozbawionego więzi społecznych. Okoliczność, że z jednostką, lecz abstrakcyjną systematycznością ten sam los spotkał wielką ilość jednostek, nie przekształca im uważać siebie za indywidualnych pechowców, a świata za szczególnie niesprawiedliwy. To egotyczne rozgoryczenie, choć jednakowe u wszystkich odosobnionych jednostek, nie wytworzyło jednak więzi, mimo że działało w kierunku zatarcia indywidualnych różnic, bowiem nie było oparte na wspólnym interesie ekonomicznym, społecznym czy politycznym. Egotyzm szedł zatem w parze ze znaczącym osłabieniem instynktu samozachowawczego. Bezinteresowność w sensie poczucia własnego braku znaczenia, własnej zbyteczności przestała być wyrazem jednostkowego idealizmu, stała się natomiast zjawiskiem masowym. Stare powiedzenie, że biedni i uciemnieni nie mają nic do stracenia prócz swoich kajdan, przestało się stosować do ludzi pozbawionych więzi, bowiem tracąc zainteresowanie własną pomyślnością, stracili o wiele więcej niż kajdany biedy, przestało wianowicie istnieć źródło wszystkich rozpaczy i trosk, które nekają ludzi życie. W porównaniu z ich bezinteresownością mnich chrześcijański wydaje się człowiekiem pogrążonym po uszy w sprawach doczesnych. Himmler, który świetnie znał mentalność swoich podkomendnych opisał nie tylko SS-mamów, ale całą warstwę, z której się rekrutowali, kiedy mówił, że nie interesowały ich "powszednie sprawy", ale tylko "kwestie idea-

logiczne w wymiarze dziesięcioleci czy stuleci; ludzie wiedzą, że pracują nad wielkim zadaniem, które pojawia się raz na dwa tysiące lat" /21/. Olbrzymie zgromadzenia jednostek wytwarza umysłowość, która, jak Cecil Rhodes przed czterdziestu laty, rozumieje w kategoriach kontynentów a czuje w kategoriach stuleci.

Wybitni europejscy uczeni i politycy przewidywali już od początków XIX wieku powstanie człowieka pozbawionego więzi i nadejście epoki mas. Cała literatura na temat zachowania i psychologii mas ukazywała i rozszerzała znana jeszcze starożytnym wiedzę o pokrewieństwie między demokracją a dyktaturą, między rządami motlochur a tyranią. Przygotowała ona pewne politycznie świadome i politycznie nadwrażliwe odziany zachodniego świata intelektualnego na pojawienie się demagogów, na łatwowierność, przesadność i brutalność. Ale choć wszystkie te przewidywania w pewnym sensie się sprawdziły, utraciły swoje znaczenie w obliczu tak niespodziewanego i nieprzewidywanego zjawiska, jak radykalne wyzbycie się egoizmu /22/, cyniczna czy apatyczna obojętność wobec śmierci czy innych klęsk osobistych, żarliwa podstępność na najbardziej abstrakcyjne pojęcia traktowane jako praktyczne wskazówki życiowe, i ogólna pogarda dla choćby najbardziej elementarnych prawideł zdrowego rozsądku.

Wbrew przewidywaniom masy powstały nie wskutek postępującego zrównania warunków życiowych i powszechności oświaty z towarzyszącym jej obniżeniem wymagań i spłyconiem treści. /Ameryka, klasyczny kraj równości warunków i powszechnej oświaty ze wszystkimi jej niedostatkami, mniej zatknął się z psychologią mas niż jakikolwiek inny kraj świata./ Wkrótce się okazało, że ludzie o wysokiej kulturze byli szczególnie podatni na wpływ ruchów masowych i że wyrafinowany indywidualizm na ogół nie stanowił przeszkody, a przeciwnie, okoliczność sprzyjającą zatraceniu własnej osobowości, co wywoływały ruchy masowe. Rzucający się w oczy fakt, że indywidualizm i kultura nie zapobiega tworzeniu się postaw masowych, był tak niespodziewany, że przypisywano to rozkładowi moralnemu czy nihilizmowi współczesnej inteligencji, rzekomo typowemu dla intelektualistów wstrętomu do siebie oraz charakterystycznej dla ducha "wrogości wobec życia" i niechęci do vitalności. Jednakże tak oczerniani intelektualści byli tylko najjaśniejszym przykładem i najwymowniejszymi rzecznikami zjawiska o wiele ogólniejszego. Rozbicie mas i skrajny indywidualizm poprzedzał ruchy masowe, które o wiele łatwiej niż towarzyskich, społecznych członków tradycyjnych partii przyciągały ludzi całkowicie niezorganizowanych, typowych "samotników", zawsze odłamujących się z przyczyn indywidualnych uznania więzów czy zobowiązań społecznych.

W rzeczywistości masy powstały z odłamków silnie rozczłonkowanego społeczeństwa, którego konkurencyjną strukturą i wynikające z niej osamotnienie jednostki łagodziła wcześniej jedynie przynależność do określonej klasy. Naczelną cechą członka mas nie jest brutalność i zacośpanie, ale osamotnienie i brak normalnych więzi społecznych. Jest czymś najzupełniej naturalnym, że owe masy, wywodząc się ze zdominowanego przez klasy społeczeństwa państwa narodowego, społeczeństwa, którego pełnienia były kłajstrowane uczuciem narodowym, w pierwszym odruchu bezralności wynikłej z nowego położenia skłaniały się w kierunku szczególnie radykalnego nacjonalizmu, przejmowanego przez przywódców

/21/ Przemówienie Himmlera na temat "Organizacji i obowiązków SS i policji" ogłoszone w National-politischer Lehrgang der Wehrmacht vom 15-23 Januar 1937. Cytowane za Nazi Conspiracy. T.4, s.616 i nast.

/22/ Gustave Lebon /La psychologie des Foules, 1895, rozdz. 2 paragraf 5/ wspomina o osobliwej bezinteresowności mas.

mas wbrew własnym instyngtom i celom, z przyczyn czysto demagogicznych /23/.

Ani nacjonalizm etniczny ani buntowniczy nihilizm nie jest cechą charakterystyczną ani właściwością ideową mas, jak było w wypadku motłochu. Mimo to najbardziej utalentowani masowi przywódcy naszych czasów wyrosli z motłochu, a nie z samych mas /24/. Biografię Hitlera czyta się jak przykład podreżnikowy, Stalin zaś wywodzi się z konspiracyjnego aparatu partii bolszewickiej z właściwym jej połączeniem wykołajeńców z rewolucjonistów, Pierwsza partia Hitlera, niemal wyłącznie złożona z wyrzutków, wykołajeńców i awanturników, rzeczywiście stanowiła "uzbrojoną cyganerię" /25/, która była odwrotnością społeczeństwa mieszczańskiego, i którą wobec tego mieszczaństwo niemieckie powinno było użyć z powodzeniem do własnych celów. W rzeczywistości mieszczaństwo było tak samo porwane przez hitlerowców, jak grupa Röhma i Schleichera w Reichswehrze, również przekonana, że Hitler, którego używała jako prowokatora, czy SA, które jej służyły do militarnej propagandy i paramilitarnych ćwiczeń, będą działali jako jej agenci i pomogą jej w ustanowieniu dyktatury wojskowej /26/. I mieszczaństwo, i grupa Röhma-Schleichera pojmo-

/23/ Założyciele partii hitlerowskiej wspominali o tym niekiedy, zanim jeszcze Hitler zdobył władzę jako "partia lewicy". Ciekawe jest zdarzenie, które miało miejsce po wyborach parlamentarnych w 1932 roku: "Gregor Strasser wytknął Fuhrerowi, że przed wyborami narodowi socjaliści w Reichstagu mogli utworzyć większość w centrum, a teraz obie partie razem nie dysponują połową parlamentu; ... Ale z komunistami, odparł Hitler, nadal mamy większość; nikt nie może rządzić bez nas" /K.Heiden, op. cit., s.94, 495/.

/24/ Carlton J.H.Hayes /op. cit./, który nie odróżnia motłochu od mas, uważa, że totalitarni dyktatorzy "wywodzą się raczej z mas niż z klas".

/25/ Stanowi to jądro teorii Konrada Heidena, którego analiza ruchu hitlerowskiego jest dotychczas nieprześcigniona: "Z ruin martwych klas powstaje nowa klasa intelektualistów, jako najbardziej bezwzględna czołówka ludzi mających najmniej do stracenia i stąd najsilniejszych: uzbrojona cyganeria, dla której wojna jest domem a wojna domowa ojczyzną" /op. cit., s.100/.

/26/ Spisek generała Reichswehry Schleichera i przywódcy SA Röhma przewidywał poddanie wszystkich formacji paramilitarnych pod komendę Reichswehry, która od razu zasililiby się milionami ich członków. To prowadziłoby automatycznie do dyktatury wojskowej. W czerwcu 1934 Hitler zlikwidował Röhma i Schleichera. Wstępne rozmowy rozpoczęły się z całkowitą zgodą Hitlera, który użył powiązań Röhma z Reichswehrą, aby niemieckie wojsko wprowadzić w błąd co do swoich rzeczywistych zamiarów. W kwietniu 1932 roku Röhm poświadczył w jednym z procesów Hitlera, że wojskowy charakter SA spotkał się z pełnym zrozumieniem Reichswehry. /Dokumentacja spisku Röhm-Schleicher podaje N a z i C o n s p i r a c y, T.5, s.456 i nast. oraz K.Heiden, op. cit., s.450/. Sam Röhm z dumą opisuje swoje rozmowy z Schleicherem, które według niego rozpoczęły się w 1931 roku. Schleicher obiecał w razie trudności podporządkować SA Reichswehrze. /Die Memoiren des Stabshef's R ö h m. Saarbrücken 1934, s.170/ Wojskowy charakter SA, nadany przez Röhma i konsekwentnie zwalczany przez Hitlera, pozostał w słownictwie organizacji nawet po zlikwidowaniu frakcji Röhma. W przeciwieństwie do SS członkowie SA zawsze uważali się za "przedstawicieli wojskowej woli Niemiec", i dla nich Trzecia Rzesza była "społeczeństwem militarnym utrzymanym na dwu podstawach: na partii i na Wehrmachcie" /Handbuch der SA. Berlin 1939; V.Lutze, Die Sturmabteilungen: Grundlagen, Aufbau und Wirtschaftsordnung des nationalsozialistischen Staates, m.74/.



ła ruch hitlerowski we własnych kategoriach, w kategoriach filozofii politycznej Motłochu /27/, i nie dostrzegała ani autentyczności, spontanicznego poparcia mas na rzecz nowych przywódców motłochu, ani ich prawdziwych uzdolnień do tworzenia nowych form organizacyjnych. Motłoch jako przywódca tych mas przestał być agentem mieszczaństwa czy kogokolwiek innego z wyjątkiem samych mas.

Okoliczność, że ruchy totalitarne w mniejszym stopniu opierają się na bezkształtności masowego społeczeństwa niż na szczególnym charakterze rozczłonkowanych i podzielonych na jednostki mas, najlepiej można dostrzec w porównaniu hitleryzmu z bolszewizmem; ruchy te zostały zapoczątkowane w całkowie odmiennych warunkach. W celu zmiany Leninowskiej rewolucyjnej dyktatury w pełne rządy totalitarne, Stalin musiał najpierw sztucznie stworzyć do rozczłonkowane społeczeństwo, które w Niemczech przygotowały hitlerowcom okoliczności historyczne.

Zaskakująco łatwe zwycięstwo rewolucji październikowej nastąpiło w kraju, gdzie despotyczna i scentralizowana biurokracja rządziła bezkształtną masową ludnością, której nie zorganizowały ani pozostałości wiejskich stanów feudalnych ani słabe, dopiero powstające, miejskie klasy kapitalistyczne. Kiedy Lenin powiedział, że nigdzie na świecie nie było tak łatwo zdobyć władzy i tak trudno ją utrzymać, uświadamiał sobie nie tylko słabość rosyjskiej klasy robotniczej, ale też anarchiczne warunki społeczne, które sprzyjały nagłym zmianom. Pozbawiony instynktu przywódcy masowego - był miernym mówcą i miał upodobanie do publicznego wyznawania i analizowania własnych błędów, co sprzeciwia się regułom choćby najprostszej demagogii - Lenin od razu podchwycił wszystkie możliwe zróżnicowania, społeczne, narodowe, zawodowe, które mogły wprowadzić jakąś strukturę, i chyba był przekonany, że w takim rozwarstwieniu leży ocalenie rewolucji. Zalegalizował anarchiczne wywyższenie obszarników przez masy wiejskie, przez co utwierdził po raz pierwszy i chyba ostatni w Rosji tę wywołaną klasę chłopską, która od rewolucji francuskiej była najsilniejszym oparciem zachodnich państw narodowych. Usiłował wzmacnić klasę robotniczą przez popieranie niezależnych związków zawodowych. Zezwalał na niesmiałe pojawianie się nowej klasy średniej w wyniku nowej polityki gospodarczej po zakończeniu wojny domowej. Kolejne zróżnicowanie wprowadził organizując, a niekiedy wynajdując, największą możliwie ilość narodowości, popierając rozwój świadomości narodowej i uświadamiania historycznych i kulturowych odrębności wśród najprymitywniejszych nawet grup etnicznych Związku Sowieckiego. Niewątpliwie w tych czysto praktycznych kwestiach politycznych Lenin postępował raczej zgodnie ze swoim niezawodnym instynktem państwowym niż marksistowskimi przekonaniem; w każdym razie jego polityka dowodzi, że bardziej przerażał go brak struktury społecznej i wszelkiej innej niż możliwość rozwoju skłonności odśrodkowych w świeżo usamodzielnionych narodowościach czy nawet wyłonienie się nowego mieszczaństwa ze świeżo powstałej klasy średniej i chłopstwa. Niewątpliwie Lenin poniósł największą klęskę, kiedy, z wybuchem wojny domowej, najwyższa władza, którą początkowo zamierzał skupić w rękach, ostatecznie przeszła w ręce biurokracji partyjnej; ale nawet ten obrót rzeczy, choć tragiczny dla rozwoju rewolucji, nie musiał prowadzić do totalitaryzmu. Dyktatura monopartyjna dodała tylko do wyłaniającego się już rozwarstwienia społecznego kraju jeszcze jedną klasę, to jest biurokrację, która według socjalistycznych krytyków rewolucji "była posiadaczem państwa jak prywatnej własności" /Marks/ /28/. W chwili śmierci Lenina droga jeszcze

/27/ Złazszcza autobiografia Röhna stanowi prawdziwe dzieło klasyczne w tego rodzaju literaturze.

/28/ Wiadomo, że antystalinowskie odłamy partii opierały swoją krytykę kierunku rozwoju Związku Sowieckiego na tym sformułowaniu Marksa i nigdy poza nie nie wykroczyły. Powtarzające się "czystki" wśród biurokracji sowieckiej, równoznaczne z likwidacją jej jako klasy, nie przeszkodziły im w upatrywaniu w biurokracji dominującej i rządzącej klasy w Związku Sowieckim. Oto opinia Sakowskiego napisana w 1930 roku na wygnaniu na

nie była zamknięta. Wyżapanie się klasy robotników, chłopów i klas średnich nie musiało prowadzić do walki klas charakterystycznej dla europejskiego kapitalizmu. Rolnictwo nadal można było rozwijać na zasadzie kolektywnej, spółdzielczej i prywatnej, a gospodarka narodowa mogła jeszcze przyjąć model socjalistyczny, model kapitalizmu państwowego czy wolnej przedsiębiorczości. Realizacja żadnej z tych możliwości nie zburzyłaby automatycznie nowej struktury kraju.

Wszystkie te nowe klasy i narodowości stały na drodze Stalina, kiedy zaczął przygotowywać kraj do rządów totalitarnych. Aby doprowadzić do powstania rozczłonkowanych i bezkształtnych mas, musiał najpierw usunąć resztki władzy, rad, które, jako naczelny organ reprezentacji narodowej, nadal odgrywały pewną rolę i zapobiegały absolutnym rządom hierarchii partyjnej. Zatem najpierw podkopał rady ludowe przez wprowadzenie komórek bolszewickich, które stały się jedyną bazą rekrutowania wyższych funkcjonariuszy w centralnych organach /29/. Do 1930 roku zanikły ostatnie ślady dawnych instytucji wspólnotowych, zastąpionych przez silnie scentralizowaną biurokrację partyjną, której tendencje rusyfikacyjne niewiele różniły się od polityki carskiej, z tą różnicą, że biurokraci nie bali się powszechnej umiejętności czytania i pisanja.

Następnie bolszewicy zabrali się za likwidację klas, co ze względów ideologicznych i propagandowych rozpoczęli od klas posiadających, od nowej klasy średniej w miastach i od chłopów na wsi. Wskutek połączenia swojej liczebności z majątkiem chłopów stanowili wówczas najsilniejszą potencjalnie klasę w Związku i dlatego ich eliminowanie było bardziej gruntowne i okrutniejsze niż likwidacja jakiegokolwiek innej grupy; zostało zaś dokonane przez sztuczne wywołanie głębsi głodowej i przez deportację pod pozorem wydziaszczania kulałów i kolektywizowania wsi. Likwidacja klasy średniej i chłopskiej została zakończona na początku lat trzydziestych; ci, którzy nie znaleźli się wśród milionów martwych czy milionów wywiezionych do niewolniczej pracy, przekonali się, "kto tu jest panem", nauczyli się, że ich życie i życie ich rodzin nie zależy od współobywateli, ale wyłącznie od kaprysów władzy, wobec których byli całkowicie osamotnieni i pozbawieni pomocy ze strony własnej grupy społecznej. Trudno ściśle określić, czy to na podstawie statystyki, czy dokumentów źródłowych, moment, kiedy kolektywizacja stworzyła połączone wspólnymi interesami

Syberii: "Na naszych oczach powstała i nadal się tworzy wielka klasa dyrektorów, z wewnętrznymi podziałami, rosnąca przez staranną kooptację oraz bezpośrednie i pośrednie nominacje. ... Elementem, który jednoczy tę nową klasę, jest, również nowa, forma prywatnej własności, a mianowicie władza państwowa" /cytowane z Souvarinem, op. cit., s.564/. Analiza ta jest całkowicie trafna, jeżeli chodzi o stan sprzed epoki Stalina. Rozwój stosunków między partią a radami, który ma decydujące znaczenie dla rozwoju rewolucji październikowej, analizuje Izaak Deutscher /The Prophet Armedi Trotsky 1879-1921. 1954/.

/29/ W 1927 roku 90% składu rad wiejskich i 75% ich przewodniczących nie było członkami partii; rejonowe komitety wykonawcze składały się w 50% z partyjnych i w 50% z bezpartyjnych, a w centralnym komitecie rad 75% delegatów było członkami partii /M.Dodd, Bolshevism w: Encyclopedia of Social Sciences/.

W jaki sposób członkowie partii w radach, głosując "zgodnie z zaleceniami otrzymanymi od etatowych funkcjonariuszy partyjnych", zniszczył system rad, szczegółowo opisuje Alfred Rosenberg /A History of Bolshevism. London 1934, rozdz. 6/.

nowe chłopstwo, które dzięki swojej liczbowej i ekonomicznie kluczowej roli w gospodarce kraju znów stało się potencjalnym zagrożeniem dla władzy totalitarnej. Ale dla tych, którzy wiedzą, jak odczytywać totalitarnie "materiały źródłowe", moment ten nadzedł dwa lata przed śmiercią Stalina, kiedy zamierzał rozwiązać kołchozy i przekształcić je w większe jednostki. Nie dożył wykonania tego planu; tym razem ofiary byłyby jeszcze większe, a chaos wywołany w całej gospodarce jeszcze bardziej katastrofalny niż likwidacja pierwszej klasy chłopskiej, ale nie ma powodu wątpić, że plan ten mógł się powieść; nie ma klasy, której nie można by znieść, jeżeli się wymorduje wystarczającą ilość jej członków.

Następną klasą, jaka miała zostać wyeliminowana, byli robotnicy. Jako klasa byli o wiele słabsi i stawiali o wiele mniejszy opór niż chłopi, ponieważ spontaniczne usunięcie właścicieli fabryk w czasie rewolucji, w przeciwnieństwie do wywłaszczenia posiadaczy ziemskich, zostało od razu udaremnione przez rząd, który skonfiskował fabryki jako własność państwa, pod pretekstem, że i tak państwo jest własnością proletariatu. System stachanowski, wprowadzony na początku lat trzydziestych, rozbił całą solidarność i świadomość klasową wśród robotników, z początku poprzez bezwzględną konkurencję, a potem przez czasowe umocnienie arystokracji stachanowskiej, której dystansowanie się od prostych robotników było odczuwane o wiele ostrzej niż przedział między robotnikami a zarządem. Proces ten zakończył się w 1938 roku wprowadzeniem książeczek pracy, które oficjalnie przekształciły rosyjską klasę robotniczą w gigantyczną organizację pracy przymusowej.

Ukoronowaniem tych przedsięwzięć było wyeliminowanie biurokracji, która pomagała przeprowadzać poprzednie likwidacje. Zajęło Stalinowi około dwu lat, od 1936 do 1938 roku, pozbycie się całej administracji i wojskowej arystokracji społeczeństwa sowieckiego; prawie wszystkie biura, fabryki, organy ekonomiczne i kulturalne, rząd, partia i agendy wojskowe przeszły w nowe ręce, kiedy "została zmieciona prawie połowa personelu administracyjnego, partyjnego i bezpartyjnego", a ponad 50% wszystkich członków partii i "przynajmniej jeszcze osiem milionów" zostało fizycznie zlikwidowanych /30/. Jeszcze raz wprowadzenie wewnętrznych paszportów, w których wszelkie przenoszenie się z miasta do miasta musiało być rejestrowane i legalizowane, zakończyło rozbięcie biurokracji partyjnej jako klasy. Jeżeli chodzi o sytuację prawną, biurokraci razem z funkcjonariuszami partyjnymi znajdowali się w tym samym położeniu co robotnicy; oni również stali się częścią nieprzeliczonej rzeszy rosyjskich pracowników przymusowych, a ich pozycja członków uprzywilejowanej klasy w społeczeństwie sowieckim należała do przeszłości. A ponieważ ta generalna czystka zakończyła się likwidacją najwyższych urzędników policyjnych - tych samych, którzy przede wszystkim byli organizatorami całej czystki - to nawet kadry GPU, które były wykonawcami terroru, nie mogły się łudzić, że jako grupa cokolwiek reprezentują, a już najmniej władzę.

Żadna z tych olbrzymich ofiar ludzkich nie była uzasadniona przez rację stanu w tradycyjnym znaczeniu tego słowa. Żadna ze zlikwidowanych warstw spo-

30/ Liczby te zaczerpnięte są z książki Wiktora Krawczenki I Chose Freedom: The Personal and Political Life of the Soviet Official. New York 1946, s. 278 i 303. Jest to, oczywiście, mocno wątpliwe źródło. Jednak skoro w odniesieniu do Rosji sowieckiej dysponujemy właściwie tylko wątpliwymi źródłami - musimy polegać wyłącznie na reportażach, wspomnieniach i lepszych czy gorszych analizach - możemy co najwyżej korzystać z wszelkich informacji, które rękują wysoki stopień prawdopodobieństwa. Niektórzy historycy uważają, że odwrotna metoda - korzystanie wyłącznie ze wszelkich materiałów wydawanych przez władze rosyjskie - jest bardziej niezawodna, ale są w błędzie. Właśnie oficjalne materiały zawierają wyłącznie propagandę.

kończących nie była wroga wobec władzy i nie byłaby wroga w dającej się przewidzieć przyszłości. Zorganizowana, aktywna opozycja przestała istnieć w 1930 roku, kiedy Stalin w referacie na XVI Zjeździe wyklął prawicowe i lewicowe odchylenia wewnątrz partii, a nawet te słabe grupy nie były chyba w stanie oprzeć się na którejs z istniejących klas /31/. Terror dyktatorski - różniący się od totalitarnego tym, że godzi tylko w rzeczywistych przeciwników, a nie tylko nieszkodliwych obywateli nie mających opinii politycznych - był wystarczająco surowy, aby zdusić wszelkie życie polityczne, jawne czy tajne, jeszcze przed śmiercią Lenina. Interwencja z zewnątrz, która mogła się sprzymierzyć z którymś z niezadowolonych odłamów społeczeństwa, przestała już stanowić zagrożenia, albowiem w 1930 roku rząd sowiecki został uznany przez większość państw i zawarł handlowe i inne umowy międzynarodowe z wieloma krajami. /Nie znaczy to, że Stalin wyeliminował taką możliwość ze strony samej ludności: wiemy, że Hitler, gdyby był zwykłym zdobywcą a nie konkurencyjnym władcą totalitarnym, miałby niezwykłą sposobność przeciągnięcia na swoją stronę przynajmniej narodu ukraińskiego.

Jeżeli likwidacja klas nie miała żadnego sensu politycznego, to dla gospodarki sowieckiej była ruiną. Skutki sztucznie wywołanej głodowej w 1933 roku dały się odczuć przez lata w całym kraju; wprowadzenie w 1935 roku systemu stacjonowskiego z jego nieograniczonym grubowaniem indywidualnej wydajności i całkowitym zlekceważeniem konieczności pracy zespołowej w produkcji przemysłowej, wywołało "chaotyczny brak równowagi" młodego przemysłu /32/. Wyeliminowanie biurokracji, to znaczy klasy zarządzających przemysłowych i inżynierów, w rezultacie pozawilo przedsiębiorstwa przemysłowe nawet tego nie-wielkiego doświadczenia i wiedzy technologicznej, której nowa rosyjska inteligencja techniczna mogła nabyć.

Równowagę pozycji politycznej poddanych należała do głównych trosk despotyzmów i tyranii od czasów starożytnych, ale takie zrównanie nie zadawała jeszcze rządów totalitarnych, bowiem nie narusza ono pewnych pozapolitycznych zbiorowych więzi, jak więzy rodzinne i wspólne zainteresowania kulturalne. Jeżeli totalitaryzm poważnie traktuje swoje rozszerezenie, musi dojść do momentu, w którym "kończy raz na zawsze z apolitycznością szachów", to znaczy z autonomiczną egzystencją jakiejkolwiek działalności. Miłośnicy "szachów dla samych szachów", trafnie przyrównani przez ich likwidatora do miłośników "sztuki dla sztuki" /33/, stanowią jeszcze niezupełnie rozczłonkowane elementy w społeczeństwie masowym, którego całkowicie jednorodna szaryzma należy do głównych warunków istnienia totalitaryzmu. Z punktu widzenia władców totalitarnych społeczeństwo przekonane do szachów dla samych szachów jest tylko o jeden stopień różne i mniej niebezpieczne od klasy rolników dla rolnictwa. Himmler całkiem trafnie określił członka SS jako człowieka nowego typu, który nigdy w żadnych okolicznościach nie zrobi "niczego dla czystej przyjemności" /34/.

/31/ Referat Stalina na XVI Zjeździe oskarżył odchylenia o to, że stanowią "odwierciedlenie" oporu klasy chłopskiej i drobniomieszczańskiej w szereżach partii. /L e n i n i z m, 1933, T.2, rozdz. 3; D z i e ł a, T.12. Warszawa 1951, s.359/. Wobec tego zarzutu opozycja była zdumiewająco bezbronna, bowiem ona sama, a zwłaszcza Trocki, "zawsze dążyła do ujawnienia walki klas kryjącej się pod walką kilki" /B.Souvarine, op. cit., s. 440/.

/32/ W.Krawczenko, op. cit., s.187.

/33/ B.Souvarine, op. cit., s.575.

/34/ Kodeks SS sformułowany przez samego Himmlera zaczyna się słowami "nie ma takiego zadania, które by istniało dla siebie samego". /G. d'Alquen, Die SS w: S c h r i f t e n d e r H o c h s c h u l e f u r P o l i t i k, 1939/. Broszury wydawne przez SS do wewnętrznego użytku raz po raz zwracają uwagę na "absolutną konieczność zrozumienia darem-

Rozczłonkowanie mas w społeczeństwie sowieckim zostało dokonane przez zgrzeszne stosowanie i ciągle ponawianie czystek, które z reguły poprzedzały fizyczną likwidację grupy. W celu zerwania wszelkich więzów społecznych i rodzinnych, czystki były przeprowadzane w taki sposób, że groziły tym samym losem ofierze i wszystkim ludziom jej bliskim, od znajomych do najbliższych przyjaciół i krewnych. Konsekwencją prostej i pomysłowej zasady "winy przez znajomość" była sytuacja, w której oskarżenie człowieka zmieniło natychmiast jego przyjaciół w najzaciętszych wrogów; w celu ratowania własnej skóry zeznawali bez nacisków i spieszyli z doniesieniami popierającymi nieistniejące dowody jego winy; była to oczywiście jedyna droga, aby udowodnić, że zasługują na zaufanie. Co do przeszłości, próbowali wykazać, że ich znajomość czy przyjaźń z oskarżonym była tylko pretekstem do szpiegowania go i zdemaskowania jako sabotażysty, trockisty, szpiega i faszysty. Skoro kryterium zasługi "stanowiła ilość denuncjacji najbliższych przyjaciół" /35/, to jasne, że elementarna ostrożność nakazywała unikanie wszelkich bliższych kontaktów, jeżeli to było możliwe, w prawie pewnym przypadku przyszłych kłopotów, wszystkie osoby, które mogły mieć nie tylko niskie pobudki w denuncjacji, ale nieodczynną potrzebę doprowadzenia przyjaciela do zguby w celu uratowania własnego życia. Wreszcie, dzięki doprowadzeniu tej zasady do najdalejzych i najbardziej fantastycznych krańców, władcom bolszewickim udało się stworzyć rozbite i rozczłonkowane społeczeństwo, jakiego nawet w przybliżeniu nigdy nie znaleźliśmy i jakie mogłoby może powstać jedynie w wyniku jakichś gwałtownych katastrof czy kataklizmów.

Ruchy totalitarne to masowe organizacje rozbitych, odosobnionych jednostek. W porównaniu z wszystkimi innymi partiami i ruchami ich najbardziej rzucającą się w oczy cechą zmienną jest wymaganie zupełnej, nieograniczonej, bezwarunkowej i niewzruszonej lojalności od każdego członka. Żądanie to stawiają przywódcy ruchów totalitarnych jeszcze nawet przed zdobyciem władzy. Poprzedza ona zwykle totalną organizację kraju pozostającego już pod ich władzą, a wynika z ideologicznej tezy, że ich organizacja we właściwym czasie osarnie całą rasę ludzką. Tam jednak, gdzie rządów totalitarnych nie poprzedzał ruch totalitarny /a tak, w przeciwieństwie do Niemiec hitlerowskich, było w Rosji/, ruch ten musi być zorganizowany później, zaś warunki do jego powstania muszą być stworzone sztucznie, aby zupełna lojalność - psychologiczna podstawa totalnej dominacji - była w ogóle możliwa. Tego rodzaju lojalności można oczekiwać tylko od całkowicie odosobnionej istoty ludzkiej, która, bez jakichkolwiek innych więzów społecznych z rodziną, przyjaciółmi, kolegami czy choćby ze zwykłymi znajomymi, czerpie poczucie własnego miejsca w świecie tylko z przynależności do ruchu, z członkostwa partii.

Żołna lojalność staje się możliwa tylko wtedy, kiedy wierność zostaje oczyszczona z całej konkretnej treści, która może być podstawą do ewentualnej zmiany zdania. Ruchy totalitarne, każdy na swój sposób, zrobiły co mogły, aby oczyścić programy partyjne ze szczegółowej, konkretnej treści, z tego, co odziedziczyły z wcześniejszych, nietotalitarnych stadiów rozwoju. Niezależnie od tego, jak radykalnie mógł być sformułowany, każdy konkretny cel polityczny, inny niż otwarte czy okrojone domaganie się panowania nad światem, każdy

ności wszystkich, co jest celem samym w sobie" /Die Reichsführer SS und Chef der deutschen Polizei i. b. d., "tylko do wewnętrznego użytku policji"/.

/35/ Praktyka ta była obszernie dokumentowana. Walter Kriwicki w książce *In Stalin's Secret Service*, New York 1939 /Był szagantem Stalina, Paryż 1964/ przypisuje jej wprowadzenie bezpośrednio Stalinowi.

program polityczny, mówiący o zagadnieniach bardziej szczegółowych niż "kwestie ideologiczne o doniosłości mierzonej w skali stuleci", stanowi zawsze dla totalitaryzmu. Największe osiągnięcie Hitlera w organizacji ruchu hitlerowskiego, rozwijanego stopniowo z grupy nieznanonych i nierównoważonych członków typowo nacjonalistycznej małej partycyki, polegało na tym, że uwolnił ją od dawnego programu, choć go nie zmienił ani nie anulował, ale po prostu nie wspominał o nim ani nie anulował, ani nie omawiał jego punktów, których względne umiarkowanie w treści i frazeologii stało się bardzo szybko nieaktualne /36/. Żądanie Stalina w tej dziedzinie - i zresztą w innych - było nieporównanie większe; socjalistyczny program partii bolszewickiej był o wiele bardziej kłopotliwym ciężarem /37/ niż dwadzieścia pięć punktów ekonomistyczno-amatorskiego i nierównoważonego polityka /38/. Stalin jednak, po zlikwidowaniu frakcji partyjnych, uzyskał ten sam wynik dzięki nieustannemu zwrotom linii partyjnej i nieustannej reinterpretacji i adaptowaniu marksizmu, co wyjątkowo do doktryny z całej treści, ponieważ nie można już było przewidzieć, jaki kierunek czy jaką działalność będzie usasadniała. Okoliczność, że najpełniejszą wykładnię w dziedzinie marksizmu-leninizmu nie stanowiło żadnej wskazówki dla działania politycznego, że, przeciwnie, można było stosować się do linii partyjnej tylko wtedy, jeżeli co rano powtarzało się to, co Stalin oznajmił poprzedniego wieczora, musiała dać w wyniku ten sam stan umysłu, to samo czujne postępowanie, niezakończona przez żadną próbę zrozumienia sensu wykonywanych czynności, które wyrażało pomysłowe hasło Himmlera dla SS-mannów: "Mój honorem jest lojalność" /39/.

Brak czy nieznanomość programu partyjnego sama w sobie nie musi być znamiem totalitaryzmu. Pierwszym, który uważał programy i platformy za bezużyteczne świstki i kłopotliwe obietnice nie licujące ze stylem i rozmachem ruchu, był Mussolini ze swoją faszystowską filozofią aktywizmu i czerpania natchnienia wyłącznie z momentu historycznego /40/. Sama żądza władzy, po-

/36/ Hitler otwarcie oznajmił w Mein Kampf /I wyd. niemieckie 1925-1927, pełne wyd. amerykańskie New York 1939/ Ks. II, rozdz. 5, że lepiej mieć program nieaktualny niż pozwolić na dyskusję nad programem. Wkrótce miał to oznajmić publicznie: "Skoro przejdziemy rządy, program sam się pojawi. ... Najpierw musi nastąpić niewyobrażalna fala propagandy. To jest działanie polityczne, które nie będzie miało większych związków z innymi aktualnymi problemami". /K. Heiden, op. cit., s. 203/

/37/ Souvarine, naszym zdaniem niesłusznie, dowodzi, że już Lenin zlikwidował funkcjonowanie programu partyjnego: "Nic nie mogło wyraźniej ukazać, że bolszewizm jako doktryna istnieje wyłącznie w umyśle Lenina; od chwili swojej frakcji ... bowiem ludzi tych łączył bardziej temperament i dziedzictwo Lenina niż ideologia". /op. cit., s. 85/.

/38/ Program partii narodowo-socjalistycznej Gottfrieda Federera ze słynnymi dwadziestoma pięcioma punktami odgrywał większą rolę w literaturze o ruchu hitlerowskim niż w samym ruchu.

/39/ Trudno oddać znaczenie tego hasła, sformułowanego przez samego Himmlera. Jego niemieckie brzmienie, "Meine Ehre heißt Treue", implikuje całkowite poświęcenie i posłuszeństwo, które przekracza znaczenie samej tylko dyscypliny czy osobistej wierność. Książka Nazi Conspiracy, której przekłady dokumentów niemieckich i literatury hitlerowskiej są niezastąpione, choć, niestety, nierówne, oddaje hasło SS przez "Mój honor oznacza wierność" /T. 5, s. 146/.

/40/ Mussolini był chyba pierwszym przywódcą partii, który odrzucił formalny program i zastąpił go natchnionym przywództwem i samym działaniem. Za taką praktyką kryje się przekonanie, że aktualność naszego ruchu jest główną podstawą inspiracji, którą program partii tylko by hamował. Filozofia faszystowska właściwie lepiej wyrażał "aktualizm" Gentilego niż "arty Socjalizm". Por. również hasło F a s z y s m /w/ E n c y k l o p e d i a o f t h e S o c i a l S c i e n c e s. Program z 1921 roku

łączona z pogardą dla "gadaliwego" ujawniania tego, jak zamierzają z niej skorzystać, jest charakterystyczna dla wszystkich przywódców motłochu, ale nie dorasta do wymagań totalitaryzmu. Prawdziwym celem faszyzmu było tylko zdobycie władzy i ustanowienie "elity" faszystowskiej jako niekwestionowanego rządu kraju. Totalitaryzm natomiast nigdy nie zadowolona się rządzeniem środkami zewnętrznyymi, to znaczy przez państwo i aparat przemocy; dzięki swojej szczególnej ideologii, i roli jaka jej przypada w sparacie przymusu, totalitaryzmu odkrył środki opowania i terroryzowania ludzi od wewnątrz. W tym znaczeniu likwiduje on dystans między rządzącymi a rządzonymi, i osiąga stan, w którym władza i rządzi władzy w naszym rozumieniu nie odgrywa żadnej roli, co najwyżej, wtórną rolę. W istocie przywódca totalitarny nie jest niczym więcej ani niczym mniej niż funkcjonariuszem mas, którym przewodzi; nie jest żadnym wladzą osobnikiem, narzucającym despotyczną i nieograniczoną wolę swoim podwładnym. Będąc tylko funkcjonariuszem, może zostać w każdej chwili zastąpiony, i zależy w takim samym stopniu od "woli" mas, którą jest wcieleniem, w jakim masę zależą od niego. Bez niego masom brak by było zewnętrznej reprezentacji i pozostałby amorficznym stadem; bez mas przywódca jest nikim. Hitler, który w pełni uświadamiał sobie tę wzajemną zależność, wyraził ją pewnego razu w przemówieniu skierowanym do SA: "Wszystkim, czym jesteście, jesteście przeze mnie; wszystkim, czym jestem, jestem tylko przez was" /41/. Mamy zbyt wielką skłonność do lekceważenia takich oświadczeń czy do błędnego przekonania, że działanie w ruchu totalitarnym polega na wydawaniu i wykonywaniu rozkazów, co zbyt często występowało w tradycji politycznej i historii Zachodu /42/. Jednak koncepcja taka zawsze zakładała istnienie kogoś dowodzącego, kto myśli i chce, a następnie narzuca swoją myśl i wolę - drogą przekonywania, autorytetu czy przemocy - grupie pozabawionej myślenia i woli. Natomiast Hitler był zdania, że nawet "myślenie ... istnieje tylko dzięki wydawaniu i wykonywaniu rozkazów" /43/, przez co nawet w teorii zlikwidował rozdział między myśleniem a działaniem oraz między rządzącymi a rządzonymi.

Ani narodowy socjalizm, ani bolszewizm, nigdy nie proklamowały, ani nie ogłaszały, że ich cele zostały osiągnięte wraz z przejęciem władzy i opowaniem maszyny państwowej. Ich koncepcja polegała na czymś, czego nie mogło osiągnąć żadne państwo ani żaden aparat przemocy, jedynie Ruch, który niestannie gdzieś dąży; polegała ona na trwałym opowaniu każdej z osobna jednostki we wszystkich dziedzinach jej życia i w każdej z tych dziedzin osobno /44/. Zdobyć władzę drogą przemocy nie jest nigdy celem samym w sobie, ale tylko środkiem do celu, zdobycie zaś władzy w jakimś określonym kraju jest tylko pożądanym etapem przejściowym, ale nigdy końcem ruchu. Osiągaliśmy celem ruchu jest zorganizowanie w swoich ramach największej możliwej ilości ludzi oraz postawienie ich i utrzymanie w stanie dążenia; cel polityczny, który mógłby okrzepać koniec ruchu, po prostu nie istnieje.

#### Thun. IX

został sformułowany, gdy ruch miał za sobą dopiero dwa lata istnienia, i zawierał głównie jego nacjonalistyczną filozofię.

/41/ E. Bayer, Die S.A. Berlin 1938. Przek. w Nazi Conspiracy T.4, s.783.

/42/ Po raz pierwszy w Politicus Platona, s.305, gdzie działalność jest pojmowana w kategoriach archein i praittein - polecenia w szczególności działania i wykonywania tego rozkazu.

/43/ Hitlers Tischgespräche, s.196.

/44/ Mein Kampf, Ks.I, rozdz. 11. zob. też np. D.Schwarz, Angeriffe auf die nationalsozialistische Weltanschauung, "Aus dem Schwarzen Korps" 1936, nr 2. Odpiara on oczywiste zarzuty, że narodowy socjalizm po zdobyciu władzy nadal mówi o "walce": "Narodowy Socjalizm będąc ideologią /Weltanschauung/, nie porzuci swojej walki dopóty ... aż sposób życia każdego Niemca będzie zgodny z jego podstawowymi wartościami, a te kształtują się co dzień od nowa".

Drogi Hajtanie właśnie twój protest  
te gasty w niernajlepszym gościu  
rozdarty kontusz piersi wystawiona  
na kopniaki wychodzących głowa  
odrzuciona w tył jak to później przedstawi pewien malarz  
u ścian żołnierze w obcych mundurach  
i król lekko zniesmaczony narodowym melodramatem  
do którego później będą wracać pamięcią spiskowcy i dziewice w czerni  
Traugutt Rafał Kalinowski jacyś studenci  
jacyś Żydzi z Żółtki umorusane łączniczki  
Ta twoja egzaltacja patos  
podczas gdy szło o uratowanie niektórych prowincji  
o zachowanie kadłuba tego co się dało realnie zachować  
Otóż ta twoja egzaltacja histeria  
na cóż mogły posłużyć  
Gdybyś był umył twarz w bufecie sejmowym  
i po słownej utarczce z marszałkiem Ponińskim  
wporządkowawszy rozszelstana garderobę  
wybiegł tylnymi drzwiami aby przepaść w błotnistych uliczkach Pragi  
być może udałoby się zapamiętać  
i trwać bez konsuleji u boku zachwonej Semiramidy  
dając rekruta na wojnę z Turcją płacąc daniny na budowę  
szkół kadecckich i mostów letnich pałacików parków Zagrów

\* \* \* \*

Jestem chłopak z okolic Skumielnej  
nie znam Beethovena Szekspira  
ani Mariana Lesia  
drugiego sekretarza KW  
który przejeżdża często obok mojego domu  
drogą do Rakki  
Gdy stwierdzono podejrzany guz rozpychający mi czaszkę  
udałem się na badania do Wylęcic i Krakowa  
Czekając na Pekasa rozmyślałem  
o kruchości istnienia  
o komarze  
o ukojeniu które znalazł Pescal  
proponując słynny sakiel



## SKAZANY NA BANICJĘ

/Rozmowa ze Stanisławem Nierzą - uczestnikiem moskiewskiego "procesu szesnastu", działaczem PSL, bliskim przyjacielem Wincentego Witosa./

### DOBRO TRZEBA TWORZYĆ

- O procesie moskiewskim - nie! Powiedziałem już pani. Musiałbym się zalic. Po co? Walczyłem? Walczyłem... Przegrałem? Przegrałem... Bieda zwyciężonemu - mawiali Rzymianie. Nie chcę by się nade mną litowano - pokonany, karany... Nie chcę siebie reklamować. W dokumentach procesu jestem wymieniony wśród tych "szesnastu" skazanych i skazanych przywódców polskiego podziemia. Wielu ludzi ze mną rozmawia i dziwią się: pan był w Moskwie? Nie wiedziałem...

- Ja natomiast rozmawiam z wieloma, którzy również się dziwią, bo w ogóle nie słyszeli o "procesie szesnastu". Jest to tym bardziej smutne, że spośród 16 skazanych żyje już tylko czterech.

- W Polsce żyje nas trzech. Antoni Pajdak - socjalista, Adam Bień - ludowiec i ja - drugi ludowiec. Byłem najmłodszy i przeżyłem. W Rosji trzech zmarło - jak podają źródła sowieckie. Inne sugerują, że ich zamordowano. Trudno powiedzieć. Mogli umrzeć, jak ktoś siedzi parę lat w więzieniu, zwłaszcza starszy pan, jak Jankowski. Nie wyjaśniona jest sprawa - dla mnie - Okulickiego. Miał 45 albo 46 lat. Dziesięć lat przetrwał w tym wieku - to jest nie. Wkrótce po wyroku, jak podano, zmarł śmiercią naturalną. Do Okulickiego Moskwa była bardzo uprzedzona. On to wiedział. Jego aresztowano w 1939 roku i siedział w obozie. Wyszedł. Miał żal, że skoro wyszedł, powinien trzymać się z daleka. Przyjechał do Polski. Była walka i zaangażował się po raz drugi. Był niepoprawny. Umarł. Niem tylko, że ludzie siedzieli w Polsce siedem lat - jak ja - inni osiem, dziewięć i żyli. Nogi i on żył w warunkach jakie mieliśmy w Moskwie: spacerki codziennie, jakieś jedzenie i po śledztwie można już się było w nocy przespać. Nie mordowali już nocami, żeby człowieka wyczerpać. Śledztwo trwało trzy miesiące i dawało fatalne skutki - absolutne wyczerpanie ludzi. Noce, noce... Po zakończeniu śledztwa zaprzestali. I w takich warunkach mógł Okulicki przeżyć. Pajdak - chory na serce - prawie dziesięć lat "jechał". Pięć lat odsiedział kary więzienia. A potem dłużej, że się stawiał, awanturował - wybuchowy był - posłali go dodatkowo na zsyłkę. Pojechał z muzykami i kryminalistami lasy trzebiń na Syberii. I uratował się. Wrócił w dobrej formie. Znalazł go przed wojną. Był adwokatem w Krakowie. Obrońcą stowarzyszenia służących, prześladowanych... Do dzisiaj aktywny, podpisywał wszystkie listy, protesty. W ubiegłym roku pobito go w bardzo brutalny sposób. Sprawców nie wykryto. Ma już po osiemdziesiątce. Bień jest trochę młodszy. Po powrocie - przed wojną był sędzią - poszedł do advokatury. Polityką się nie zajmował... Kiedyś na moim krakowskim protestie prokurator Żarowski chciał mnie skompromitować wobec zapelnionej publiczności sali sądowej, wskazując na mnie jako jednego z uczestników procesu moskiewskiego. Szybko zareagowałem, składając swoje wyjaśnienia: tak, byłem uczestnikiem tego procesu. Wcale się tego nie wstydzę. Zostałem skazany, karę odbyłem i wróciłem do pracy w Polsce. O cóż panu chodzi? Prasa krakowska określiła ten mój spór jako "pojedynek oskarżonego Nierzą z prokuratorem". Z kimże mam się dziś pojedykować? Prokurator przepadł, a ja wciąż z uporem trzymam się swego...

- Pana obecna działalność wskazuje na to, że z polityką wziął pan rozruch. Sam pan powiedział przed chwilą, że przegrał jako polityk.

- Dwa razy próbowałem się włączyć. W marcu 1945, w intencji podziemia. Skoń-

czył się ten epizod procesem moskiewskim. Drugi raz w PSL. Dostałem w 1947 dziesięć lat. I zawsze przekonywano mnie, że oni mają się. Gomulka powiedział: Mikołajczykowi w Moskwie nie kładcie się, my wam władzy nie oddamy! Popularność premiera Rządu Londyńskiego nie pomogła. Miliony, poruszenie, PSL - nie pomogło. Dlatego jestem poza życiem publicznym.

- Wincenty Witos w ostatniej swojej odezwie do "Braci chłopów", ogłoszonej na parę tygodni przed śmiercią pisał: "Budujemy więc to nasze Państwo na ruinach, zgłiszczach i popiołach, stawiamy gmach, w którym stale i niepodzielnie królować winny: Samodzielność, Wolność, Prawo i Sprawiedliwość. Zbyteczne byłoby podkreślać jak wielki przed nami stało zadanie. Albo będziemy wolnymi obywatelami suwerennego Państwa, albo niewolnikami przez świat pogardzonymi. Tu się nikt nie powinien uchylać od współpracy, odgrywać roli widza, ani być odsuniętym bez ważnych powodów". Zacytowałem ten fragment dlatego, iż właśnie Pan uważany jest za spadkobiercę, następcę i najbliższego Witosowi człowieka. Powyższe słowa to jakby testament Witos'a. Czy uważa Pan, iż właściwie realizuje zawartą w nim wolę?

- Tyle pytań. Po kolei więc. Faktycznie byłem i jestem związany z Witosem. Osiemnaście lat miałem, kiedy założyliśmy z kolegą koło młodzieży. W gimnazjum byłem. Po raz pierwszy widziałem Witos'a dwa lata później w Wierzchoszawicach, na dożynkach. Był gospodarzem. Masę ludzi z Polski przyjeżdżało. Był Reymont z żoną. W zorganizowaniu dożynek pomagał minister oświaty Grabski. Wtedy jeszcze nie byłem politykiem. Po raz pierwszy publicznie przemawiałem do Witos'a w 1932 roku, w Teatrze "Bagatela", w Krakowie. Było to po połączeniu Stronnictw - 1931 - w czasie procesu brzeskiego. Przemawiałem w imieniu ludowej młodzieży akademickiej. Moja narieczona, potem żona, wręczała Witosowi kwiaty. Wcześniej widziałem go zamachu stanu w 1926 roku demonstracje, pochody w Tarnowie. I było mi przykro, kiedy słyszałem przez z chłamek. A jeszcze przecież rok wcześniej widziałem Witos'a, kiedy był podejmowany w glorii i chwale.

Po tym wystąpieniu w 1932 roku coraz bardziej zbliżałem się do Witos'a. Proces brzeski. Witos wyjeżdża za granicę. Wówczas już współpracujemy. W 1935 po ukończeniu studiów zostałem sekretarzem Stronnictwa w Małopolsce. Wtedy byłem pracownikiem redakcji "Piasta", gdzie, jako prawnik, udzielałem porad prawnych. Pamiętać trzeba, że stanowiska w Stronnictwie nie były opłacane. Podczas pobytu Witos'a na tużaczce jeździłem do niego przez "zieloną granicę". Inni jeździli częściej. Ja nie mogłem. Miałem dużo pracy. Byłem bowiem także członkiem Naczelnego Komitetu Wykonawczego Stronnictwa, Rady Naczelnej i poniejszych komórek organizacyjnych. Witosowi zawiadziłem sprawozdania, odbierałem polecenia. Dostawałem je też inną drogą - od tych, którzy wracali. Czą ten okres walczyliśmy o jedność Stronnictwa. Na początku kwietnia 1939 roku Witos wraca do Polski, przez "zieloną granicę". Jako prawnik poradziliśmy mu, żeby się zgłosił do prokuratora w Krakowie i niech ten zdecyduje, czy Witos może być na wolności, czy też trzeba go zamknąć. Towarzyszyłem mu w tej drodze krzyżowej. Wywieźli go dla zasady do Kielc, ale po czterech dniach wypuścili. Był chory, musiał się leczyć. Odpoczął cztery dni w Rabce. Pierwsze wystąpienie Witos'a nastąpiło "na święconym" w Krakowie. Ja byłem gospodarzem. Potem objął władzę w Warszawie. Zbliżała się wojna. Witos przemawia na Święcie Ludowym w Tarnowie. Potem w Mościskach... 31 sierpnia umiera jego żona. Rzuciła spotkanie z Ratajem, Sikorskim i jedzie do umierającej w Wierzchoszawicach żony. Bo chłop - jakże więc żony nie pozegna. Mieliśmy się spotkać w Lublinie, za zapowiedzianą linią frontu. Gestapo aresztowało go 16 września. Wcześniej był ranny, bowiem zbombardowano pociąg, którym jechał za rzekomą linię frontu. Trzymali go blisko rok. Wrócił do Wierzchoszawic. W 1944 przyszedł pierwsze wezwanie z Londynu, żeby wysłać Witos'a samolotem za granicę. To było lipiec 1944 roku, Miał zostać zastępcą Raczkiewicza. My - ludowcy - urządziliśmy, że Witos nie pojedzie. Powodem był nie tylko wiek i choroba, ale i to, że Raczkiewicza zastępować nie może. Po raz drugi jesienią, Mikołajczyk

inni, nalegali, żeby jednak poleciał.

Kiedy w listopadzie Nikołajczyk wystąpił z Rządu, uciszyło się to wołanie. Witos-ukrywał się na jesieni poza domem. Jego órcę aresztowano i była w obozie.

24 marca 1945 przywiezłem Witosa do Wierchosławic i pojechałem na rozmowę z władzami sowieckimi. Miałem wrócić po tej konferencji i zdać mu sprawozdanie. Wyładowałem w Moskwie i wróciłem dopiero 12 sierpnia. Piętnastego przywiezłem Witosa do szpitala w Krakowie. Wiele osób go odwiedzało, między innymi metropolita krakowski Sapieha. 31 października nad ranem/czuwaliśmy na zmianę z moją żoną/ lekarka mówi do mnie: "niech mu pan zamknie powieki jako najbliższy". Skończyła się epoka Witosa. Byłem przewodniczącym Komitetu Pogrzebowego. Witos chciał być pochowany wśród swoich w Wierchosławicach. Chłopi i ludzie krzyczeli: na Wawel, na Wawel, bo równy królom. Przedstawiłem żądanie opinii publicznej Metropolicie - odmówił. Chłopi się wściekli. Poszli sami. Pochowaliśmy go w Wierchosławicach. Bierut wygłosił mowę... Sądzę, że popiersie, pomnik - to formy uczczenia Witosa. A Wawel? Nie pchał się między królów... Niektórzy mówią, że to moja wina, że nie spoczywa wśród królów. Nie chcę takiej reklamy dla Witosa.

Przyszedł Październik. Wybuchła sprawa Witosa: wydanie dzieł w Ossolineum itd., itd. Odnowa nazwiska Witosa. Potem zakaz. Dzieł nie było, bo "jeszcze nie oceniono roli Witosa". Mnie po Październiku namawiano, żebym wstąpił do ZSL. Odmówiłem. Postanowiłem powołać i z uporem odbudowywać pamięć Witosa. Zbierałem materiały po rozmaitych muzeach. Po przełomie 1970 roku udało się nam uzyskać zgodę na otwarcie Muzeum Witosa w Wierchosławicach. Budynki Witosa przerobiliśmy na muzeum. Teraz postawiliśmy pomnik. Chcemy odzyskać Uniwersytet Ludowy w Wierchosławicach. Upominamy się o wydanie jego dzieł... Malinowski obiecał, bo teraz jest kolejna odnowa Witosa.

Urobiono mi opinię, że jestem kontynuatorem linii Witosa. Wszystkim tłumaczę, że Witos był wyjątkiem. W przyrodzie i życiu społeczno-politycznym zdarzają się takie wypadki. Był geniuszem w znaczeniu: samouk stał się wielkością. Bez studiów. Ja miałem studia... Witos przy swojej pamięci nauczył się historii Polski - jej tragedii, wielkości i małości. I dlatego tak się włączył w odzyskanie niepodległości, a potem w kształtowanie jej wielkiej przyszłości.

Los Polski - rozumiał - to troska chłopska, bo chłopci najbardziej do ziemi przywiązani. Ziemię polską uprawiają, nie mają innego wyjścia. Inteligent pakuje się i jedzie za granicę. Tam może świetnie żyć. Chłop potrzebuje spokoju. Potrzebuje pewności, że jak zasieje, to zbierze. Potrzebuje szacunku dla swojej pracy. Tego nie było i nie ma. Górnik, hutnik, stoczniowiec ma swoje przywileje. A to, że chłop produkuje pszenicę, to jest jego obowiązek. Od tego są chamy. Stąd mój upór, żeby było to, co Witos napisał, to, co głosił: żeby chłop był równy innym. Ta nierówność była przed wiekami. Jest i dzisiaj. Jak przy maszynie stoi jest klasa panująca. Jak orze i przywozi - jest tylko chłopem. A przecież 70% robotników to chłopci. Nie ma zrozumienia i szacunku dla pracy na roli. O tę godność, o którą walczył Witos i ja uparłem się walczyć. Chciałbym, żeby szanowano chłopca za pracę tak szlachetną, jak tworzenie chleba naszego powszedniego... Chłopi nie chcą wojny. Chcą tylko odzyskać swoje prawa obywatelskie. Chcą zagwarantowania ziemi w Konstytucji. Chcą związku zawodowego. Nie walczą dziś o bezpośrednią władzę w Polsce, nie chcą mieć wpływ na sposób rządzenia. Chłop nie pójdzie do Warszawy, bo jest przywiązany do gospodarki i ta mu zmarnieje. To jest jego zawód.

Otóż taka była moja droga. Moje styki z tą drogą, po której Witos prowadził chłopów. Wszedłem do szeregu. Włączyłem się do pochodu wielkiego, który zaczął się w 1895 roku, od Rzeszowa. Uparłem się, że nie dam się zepchnąć z tej wielkiej drogi. Z uporem mówiłem i mówię: interesy chłopskie to interesy narodowe. Walczyłem i walczę o to, że chłopci nie są poza narodem. Narodowcy

byli z nazwy, a chłopci z natury rzeczy są Polakami. Dlatego chłopci nie musieli nazywać siebie Stronictwo Narodowe. Ale chłopci mówią o sobie: idzie naród do kościoła...

- W sensie moralnym jest Pan kontynuatorem linii Witosa. Jednakże po 1956 nie zgodził się Pan przyjąć legitymacji ZSL, ani nie próbował tworzyć innego stronictwa ludowego. Odsunął się Pan od współpracy. Jakże były te ważne powody, o których pisał Witos w odezwie, które nie pozwoliły Panu stać się przywódcą ruchu ludowego?

- Nie przyjąłem legitymacji ZSL i nie przyjmę. To byłaby akceptacja czegoś, czemu byłem przeciwny, teraz i zawsze. Co to jest ZSL? Nie potrzebuję pani tłumaczyć. Podobno ma pół miliona członków... Nie doszedłem do roli przywódcy w Ludowej Polsce po więzieniach. Po przemysleniu, że siła złamała naszą wielką siłę. Złamię każdego, kto będzie chciał poderwać i stworzyć małą siłę. Małą można zdeptać. Dlatego nie podjąłem się roli przywódcy. Tym którzy dzisiaj mówią: następca Witosa - mówię: nic podobnego. Nie będę wodzem, bo nikomu nie dam gwarancji, że wygramy walkę, którą chciałibyśmy prowadzić. A przywództwo na papierze mi nie odpowiada. Przywódca musi grę prowadzić. Musi mieć szansę, cień szansy wygrania. Potem może być, że przegra. Musi ponieść ryzyko, wziąć odpowiedzialność za ludzi, za przegraną. Ja wiem jak ludzie się boją. Nie chcą iść do więzień, nie chcą ginąć. Oświęcim, na przykład, otoczony drutami kolczastymi. Ludzie skazani na zagładę. Spotykali się, zbierali, rozmýsłali. Nie... tu druty, tam strażnik. Mogli powiedzieć: iluś zginie, ale ktoś ocaleje. Przed piecem stali - już nie było ratunku - ale czy któryś kopnął Niemca? Nie. Do końca miał nadzieję, że ocaleje.

- Przed wojną stawiał Pan, jako jeden z przywódców, na czele strajków. Nie bał się Pan wówczas ryzyka i odpowiedzialności?

- Przed wojną mieliśmy szansę. Strajk ogłosiliśmy legalnie. Brałem udział w uchwalaniu. I jako jeden z przywódców tego strajku nie miałem wyrzutów sumienia. Nie zakradaliśmy walki zbrojnej. Chcieliśmy tylko bojkot przeprowadzić, demonstrację, o swoje prawa się upomnieć. I dlatego policja strzelająca do ludzi, którzy głoszą: my nie chcemy rewolucji - popełnia morderstwo z premedytacją. My wołaliśmy: chcemy tylko głośno krzyczeć, krzywdy żądania zgłosić, uchwały podjąć. Ale kiedy idą masy, to dla policji groźba, bo mogą coś zrobić. I rozpędzają, i strzelają. Myśmy nie chcieli tych trupów...

Obronikiem się przeciwko przywództwu opozycji po Październiku. Nie chciałem pójść budować tego, w co nie wierzę. Chłopci mówią czasami: gdybyście tam poszli, kolego, to byście dużo dla nas zrobili. Przydzieliby byłoby, tamto... Nie mogłem. Nie mam koncepcji walki. Mam dużo bólu, smutku i nadziei. Wciąż coś próbuję zrobić o własnych siłach. I wzywam tych, którzy chcą, żeby samodzielnie, nie kłaniając się, nie uzależniając, tworzyli to, co dobre. Chyba wystarczy. Im więcej będą gadał - to zamąci się obraz tego wszystkiego.

- Nie dał się Pan w 1956 roku nakłonić do rehabilitacji. Czy obawiał się Pan, że zabrzęczą na Pańskim stole fałszywe pieniądze, a sumienie będzie szeptało: "... i dali mu 30 srebrników"?

- Przywrócono mi prawo do wykonywania zawodu adwokata. Otworzyłem więc skromną kancelarię chłopską. Zarobiłem na życie. Żonę miałem wspaniałą. Siedem lat przetrwała. Nauczyła się naprawiać peleryny i wychowała czworo dzieci. Jeszcze mi paczki do Wronek i na Mokotów przysyłała. Pierwszą posadę dostałem w spółdzielni za 600 złotych. Instytucje państwowe nie przyjęły mnie, wszak byłem karany. Potem przyjaciele załatwili mi drugą. Zapłaciłem zaległości. Dzieciom książek kupiłem. Żonie wreszcie pomogłem. Nakłeniano mnie do rehabilitacji. Płacili odškodowanie w wysokości od 100 do 120 tysięcy zł. Nie zgodziłem się. Mówili przyjacielom: jeżeli sobie te sto tysięcy za siedem lat podzielę na dziwkę, niewiele wyjdzie. Pieniądże przejdą, a ja będę miał głębk zamkniętą. Szedziałeś, aleśmy ci zapłacili. Nie mogą też być członkiem ZBONiD-u, bo okazanych nie przyjmują. Trzeba się zrehabilitować. Zostało

mas pięciu bez rehabilitacji. Nie jesteśmy w ZSL, ani w ZBOWiD-zie. Przeżyliśmy... Może ktoś powie, że to jakiś romantyzm przede mnie przemawia? Nie wiem. Ale wiem, że uparłem się po chłopsku myśleć, po Polsku żyć i dla Polski coś zrobić. Czy mi się to uda w podsumowaniu? Czy będę mógł odchodząc czud sadowolenie, że coś zrobiłem? Nie wiem. Otoczenie twierdzi, że nie zabrałem się, nie upodliłem. To mażo. To święci tak żyją. Polityk walczy do ostatniej chwili. Walczy o realizację swoich planów. Ja nie walczyłem o swój program. Nie szedłem na udry. Nie prowadziłem do ataku. Nie prowadziłem jawnej walki po więzieniu...

- Co to jest polityka?

- Polityka to troska o państwo. Tak rozumiałem politykę, czy chłopską, czy polską. Ma to być troska o wspólne, wielkie dobro. Gdyby obywatele sami troszczyli się jak Atenzycy. Zbierali się oni na rynku: trza mury poprawić, podatki nałożyć, kanalizację zrobić... Niestety wielu rozumuje, że polityka to jest troska o posady. Ludzie wołają: dajcie nam. A kto ma dać? Witos mówił: "... najpierw macie słuchać!" Dzisiaj o Polsce tak mażo się wie. Polska to partia. Poza partią nie widzi się Polski. Zła jest, bo partia źle rządzi. Mażo ludzi się troszczy, żeby było lepiej.

- Nie sądzi Pan, że jest to skutek edukacji społeczno-politycznej, a głównie ideologicznej?

- Zgoda. Zawsze bywało tak, że rządząca partia chciała narzucac. I dlatego bywała opozycja. Mądrość polega na tym, żeby dopuścić do wykadowania się w dyskusji i wykazania troski może ja bym lepiej tę Polskę urządzić, może ja bym lepiej jej służył. Brak takich możliwości powoduje tragedię. Nie można z góry wszystkiego narzucac. Kazać przyjąć i jeszcze wierzyć. Dlatego ludzie nie wierzą. Przed wojną bili, zamykali, Brześć robili, mordowali. To były przestępstwa wobec wolności obywatela, niezgodna z demokracją. W wolnym państwie! Gdzie moralność, gdzie prawo? Mnie ta świadomość, to historyczne widzenie przeszłości w trosce o przyszłość krapuje ręce. Mam powiedziec: tanci byli dobrzy. Kiedy tyle lat straciłem na walce z tantom. Trzynastcie lat walki za sanacji o przywrócenie prawa, o przywrócenie Konstytucji, o amnestię dla więźniów brzeskich... Tysiące wieńców... ja to wszystko widziałem i widzę. Niech pani powie, co ja mam robić? Ja to wszystko pamiętam...

Kiedy uświadamiam sobie ową niemożność, na duchu podnosi mnie to, iż nawet Kościół jest w stanie niemożności. Usiłuje On realizować ewangeliczne ideały na ziemi. Nigdy jednak nie sprawi tego, żeby był raj na ziemi. Tak sąm przepiękne ideały demokracji, wolności bezwzględnej nie dadzą się na ziemi zrealizować. Ale trzeba przynajmniej chcieć się do tego ideału zbliżyć, jak Kościół zbliża się do ideałów ewangelicznych. Dlatego wytrwałem na tej drodze. Dążenie do demokracji to wspólny cel narodu polskiego, w tym chłopa. Dlatego chciałbym, żeby chłopci zachowali tę godność Polaka. Żeby dali Polsce umiłowanie ziemi, umiłowanie wolności w oparciu o tę ziemię. Religię - już bezwzględnie dają.

Trzeba zrozumieć, że wiele ze społeczeństwa można wyciągnac dobrego, jeśli podejdziesz się z dobrym słowem. Jeśli się wezwie ludzi, umocni wiare, nie oszuka ich nadziei. Człowiek w wierze jest skłonny do wielkich poświęceń. Ta nasza grupa Wierchosławicka tyle wykazała pięknego charakteru, tyle poświęcenia... Ile tam trudu ludzie włożyli bezpłatnie. Nie tylko starzy ludowy. Doszło przeciw wielu młodych. Ile oni zrobili, ile robią na tym małym oddziałku. A tak by robili w całej Polsce. W Wierchosławicach robią w myśl zachęty i nakazu Witos. Gdyby władza miała takie poszanowanie wśród społeczeństwa, jakie miał Witos wśród chłopów, za pracę, którą włożył. Ani grosza od chłopów nie wziął. Nie oszukał go nigdy.

- Czy zgodzi się Pan z taką tezą, że wieś polska i chłop to ostoja niezależności, suwerenności i moralności tego społeczeństwa? Stalinizm nie zniszczył tego kośca, bo jednak nie skolektywizował wsi. Dzięki temu to społeczeństwo

czeństwo będzie miało zasób suwerenności ideowej i moralnej. Można straszyć inteligencję, ale z chłopami nie da się tego zrobić. Wiesz jest więc jakby o-tą polskości rozumianej jako indywidualizm i poszanowanie suwerenności. Przed wojną pachniałoby to chłopomanią. Za Stalina i do dzisiaj ma znaczenie duchowe.

- I o tę pozycję właśnie walczę. Będzie miał chłop ziemię, będzie wiedział jak żyć. Będzie miał chłop ziemię, będzie umiał nią gospodarzyć. Jak będzie miał polską ziemię, będzie myślał po polsku. I chcę widzieć chłopów polskiego na ziemi. To jest fundament pod Polskę. Wielu tego nie rozumie. Witos powiedział: POLSKA WINNA TRWAĆ WIECZNIE. Trzeba się tak starać, by Polsce był wie-ozny zapewnić. A tutaj się co chwila pali, co chwila załamania gospodarcze...

- Powiedział też Witos, mówiąc o Polsce wiecznej, zachowanie się nasze przy tym musi być pełne godności i Honoru.

- Tak, tak... Jakże się o tym nie pamięta. Dla świętego spokoju godzą się ludzie na wszystko. Głosują, odnaczenia przyjmują rozmaite, płaczą się, wysługują. Szawny kapelan legionowy, ksiądz Panaś - wierny pilsudczyk - kiedy zobaczył, co zrobiono, publicznie z piersi zdart Virtuti Militari. Upokarzało go łamanie prawa. Nie zdobył się na to po wojnie nikt z tych, którzy otrzymywali odnaczenia od Bieruta, Gomułki, czy Gierka. Trzymają, bo to 25 % do ren-ty. Mając lat 40 już zabiegają, skamla, żebrają, żeby te 25 % zdobyć. Proszę pani, na co ja komu jestem potrzebny ze swoimi marzeniami: Wolny Człowiek w Wolnej Polsce?

- Im więcej wolnych obywateli, tym wolniejszy kraj - nie sądzi Pan?

- E, tam... Ludzie się szanują, cenią swoje godności. Dlatego podziwiam Wito-sa. Zamykali go, tępili, biotem obrzucali, a on do końca walczył o tę god-ność człowieka, godność Polaka. Ta jego odezwa, którą pani cytowała, każde zdanie - to fundament pod przyszły ustrój Polski. Na prawdzie trzeba budować. Nie może być w państwie niewolników i rządzących. Nie kierować się nienawis-cią, ale rozsądkiem. To wszystko napisał. I dlatego o suwerennej Polsce moż-na mówić wtedy, kiedy będzie ją budował suwerenny, wolny człowiek. Podziwia-łem, że polski chłop - Witos - na tej drodze wytrzymał. Szedłem za nim, potem obok niego. Kiedy starsi odeszli, szedłem, szedłem wciąż. I dzisiaj z gromad-ką moich towarzyszy idziemy do Polski demokratycznej.

- Umówienie idei demokratycznej nie przeszkodziło Panu przed wojną uswad z "Wici" i Stronnictwa komunistów za to, że głosili ideę komunistyczną.

- Tak! Bo przecież jeżeli jesteś komunistą, a istnieje partia komunistyczna - to idź do niej. A oni pod naszym szyldem chcieli rozkładać swoje kramy. Pod naszą firmą mogli działać legalnie, a potem nasi szli do Berez. Dlatego pro-powowałem, żeby występowali dobrowolnie. A jeżeli nie, to pozabawialiśmy ich członkostwa na drodze uchwały. To nie dowód, że byłem za tym, żeby ten, czy ów nie był komunistą. Zawsze byłem za tym, żeby partia komunistyczna działała legalnie. W czasie wojny przygotowaliśmy projekty ustawy konstytucyjnej or-dynacji wyborczej. Przemawiałem za tym, żeby przewidzieć legalizację partii komunistycznej. Dlaczego? Doświadczenie wykazało, że przed wojną w tych pań-stwach, gdzie partie były legalne, nie było więzień, obozów. Miałem też pew-ność, że chłopci do komunistów nie przystaną. Wiedziałem, że będą się trzymali zasad demokracji. Wobec mnie nie zastosowano ich. Gdy chciałem po wojnie być demokratą i głosić zasady ludowe PSL-owskie, powiedziano: to jest zbrodnicza organizacja wrogów socjalizmu. Dlatego nas rozbito, zlikwidowano. Nigdy bym tego nie zrobił wobec komunistów, bo obraziłbym zasady demokracji. Demokra-cja, która powinna być epartą na sprawiedliwości, a nie pozwoli człowiekowi inaczej myśleć, nie jest demokracją.

- I wtedy bywa, że człowiek - obywatel skazuje się na wewnętrzną emigrację - czy tak?

- Był czas, że wewnątrz Alster przysłał do mnie ob-

laskawionego ludowca z propozycją spotkania i rozmowy o likwidacji mojej "wewnętrznej emigracji". Odrzuciłem propozycję, bo żyłem w Polsce, pracowałem zawodowo i dość szeroko społecznie. Mnie raczej skazano na banicję. Kiedyś było takie prawo: nie podawano ręki, kubka wody... Mnie właśnie zrobiono banitą. Po wyjściu z więzienia jeździłem i jeżdżę do dziś do swojej rodzinnej wsi Biskupiec koło Tarnowa. Mówił mi sołtys, że każdy mój przyjazd poprzedzał telefon z UB, z Tarnowa. Ostrzegano sołtysa: uważajcie, bo ten Mierzwa jedzie. Sołtys obiecywał zdwojenie uwagi i obaj śmialiśmy się z tego. W 1955 założyliśmy Komitet Budowy Szkoły w Biskupicach. Wybudowaliśmy w miejsce starej, austriackiej - piętrową. To było marzenie moich młodych lat. Potem wymyśliłem budowę Domu Ludowego. Stoi nieużyteczny, bo odpowiedzialny za to partyjny dyrektor szkoły nie jest zainteresowany pracą społeczną, a dodatkowego statutu nie dostał. Postawiliśmy też pomnik poległym. Tam nad Dunajcem była bitwa w 1919 roku. Zginęło około 200 osób. Odszkodzenie było w trzydziestą rocznicę bitwy. Pomnik w całości, łącznie z projektem, wykonany był społecznie. Zabroniono mi wygłoszenia mowy oraz kierowania otwarciem, bo przyjechał sekretarz z Tarnowa. Spychano mnie na pobocze społeczeństwa budującego socjalizm tylko dlatego, że nie zgodziłem się być najmitą.

W Biskupicach doprowadziliśmy też do tego, że w każdej chłopskiej zagrodzie jest wodociąg. A teraz doprowadzamy gaz. A w wielu wsiach, skąd pochodzą dygnitarze polityczni, nie zrobiono dokładnie nic. Oni budują wielki gmach, choć ten stale się wali. Oni tylko pomagają w budowie i za nic nie odpowiadają. Cisi i pokornego serca... doczekają się wysokiej emerytury.

Gdybym miał możliwość pracy w całej Polsce taką, jak mam w swojej rodzinnej wsi... Tam mi wierzą i kiedyś mnie wspomną: był taki z naszej wsi, pomagał nam... Przecież ta woda, ten gazociąg - to jest dobro. To taka ilustracja małego programu. Pomyśleć, ile dobra można było stworzyć za dwadzieścia lat. Ale dobro trzeba tworzyć. Zło rodzi się samo. Walka z nim zmusza człowieka do wysiłku, do tworzenia samego siebie.

Tekst drukujemy bez wiedzy autora.

\*\*\*\*\*

X X X

żeby można było  
umrzeć i potem  
wstać po wszystkim  
żeby można było zasnąć  
i obudzić się  
kiedy to minie

żeby można było zapomnieć  
i sięgnąć pamięcią  
kiedy już nikt w to  
nie uwierzy

żeby można było  
Cię zabrać  
i po wszystkim  
przywrócić Ci to  
co ocalałeś

17 XII 1981

DZIWNA WOJNA

moja ojczyzna  
stała się cmentarzem wojskowym  
nie chcę  
żeby moje ciało  
stało się grobem  
dzwonek do drzwi  
to jest teraz  
sygnał policyjny  
nie chcę przebudzenia  
drzemiącego we mnie

wyjście na dwór  
jest dziś daleką wyprawą  
nie chcę  
żeby jej końcem był  
nieznany kontynent  
każda odpowiedź na pytanie  
jest dziś wpadaniem  
w zręcznie zastawioną pułapkę  
nie chcę żeby zastawianie pułapek  
było dziś jedyną moją  
odповідzią

MARZEC 1982

wyszedłem z domu  
i jak dotąd na szczęście dla mnie  
nie powróciłem  
ktokolwiek wie gdzie jestem  
niech o tym  
na zawsze

~~zamieszka~~



POWROT J.J.L

staram się sobie wyobrazić  
ten moment kiedy dowiedział się  
widzę ten moment kiedy wsiadał do  
samolotu który porwał go w przestrzeń  
cukierki uśmiechnięta dziewczyna  
zapiąć pasy  
w samolocie ktoś już zapewne  
wszystkiego doglądał  
dotknął ziemi  
staram się sobie wyobrazić  
czy zdążył się z nimi  
zobaczyć  
zanim

X I X

byłoby czym się zachłystnąć  
ale te filtry nie  
przepuszczają powietrza

byłoby o czym mówić  
ale te zdania nie  
dopuszczają słów

byłoby na czym się oprzeć  
ale te ciosy nie  
mają sobie  
równych

byłoby komu wstać  
ale ta ciemność nie  
zna pojęcia czasu

byłoby o czym śnić  
gdyby nie zrywał nas  
wysoki dźwięk trąbki

byłoby z czego kpić  
gdyby wstali ci co upadli

byłoby po czym płakać  
gdyby to był koniec

PIĘŚĆ NAD PIĘSCIANAMI

na razie zostałem sam  
ale lada dzień  
przyjdzie tamtych czterech  
i zgodna będzie nasza praca  
dotąd ukrywałem się  
po cyprysowych gajach  
ale teraz pięść moją poczują  
wszystkie nożyce  
rzym stanie się garścią piasku  
którą przesypujemy między sobą  
ja i  
tamtych czterech

## PRZEMOC WIELKA I MAŁA

Ze słowem przemoc łączą się określone wyobrażenia. Budzą one uczucia, jakich doznajemy oglądając "Désastres de la Guerra" czy "Caprichos" Goyi. Są zawsze groźne, okrutne i krwawe. Występują jako zniszczona potęgi, która niszczy wszystko, co stawia jej opór i której nic nie zdoła się oprzeć. Chociaż zdajemy sobie sprawę, że przemoc jest tylko gwałtem wywieranym dla zdobycia władzy, czyli zjawiskiem całkowicie ludzkim, to wobec jej miążżącej przewagi skłonni jesteśmy ją uznać za jakąś odmianę żywiołu. Jest ona bowiem równie jak żywioł głucha na ludzkie skargi i ślepa na ludzkie przerażenie. Taka, prawie nadludzka, wizja przemocy staje przed oczami właśnie nam, mieszkańcom kraju, przez który przetoczyła się nie tak znowu dawno niosąca zagładę przemoc hitlerowska, aby po paru latach cofnąć się pod naporem innej przemoc, przemocy stalinowskiej. Równia bezlitosnej.

Jej okrucieństwo - podstępne, czujne, gotowe do zadania ogłuszającego ciosu - wszyscy mamy jeszcze świeżo w pamięci. Ta przemoc objawiła się bowiem niedawno. Wyskoczyła z zasadki zaledwie przed rokiem, kiedy polska próba odzyskania wolności zagroziła jednolitostwu imperium, które nas zagarnęło. Po pustych ulicach nocą przetoczyły się czołgi, zbrojne warty stanęły u wylotu ulic, patroli Sił Bezpieczeństwa wyłamywały drzwi mieszkań i wyprowadzały z nich mężczyzn i kobiety, jeszcze w białiznie, ale już w kajdanach, setki ludzi zwożono za druty "miejsce odosobnienia", milicjanci w hełmach, z przyłbicami, z tarczami w jednym ręku, z pistoletami maszynowymi w drugim, biegli za czołgami kruszącymi mury kopalni i strażkami o kilka kroków zamali opór górników. Kraj po kilku gestach obronnych wpadł w martwość "stanu wojennego".

Oszłomienie, z jakiego nie możemy się ocknąć dotychczas, tłumaczy się w znacznej mierze również i tym, że niewielu ludzi uświadamiało sobie, że ta przemoc, która zmiotła z powierzchni ziemi niepodległe Państwo Polskie, po dokonaniu swoich krwawych czynów wcale nie zasnęła na wysokim bizantyjskim tronie. Miała wprawdzie przyknięte powieki, ale tylko po to, żeby przez szparki oczu rzucać spojrzenia śladzące, czy któryś ze skopanych krajów nie usiłuje podnieść się na nogi. Wtedy wymierzała uderzenie, które starannie przygotowała od dawna.

W naszym wypadku posłużyła się pełnomocnikiem na podbity kraj, uposażonym we władzę cywilną i wojskową. Długo nie zatrze się nam w pamięci dyktarz, jaki się ukazał na ekranach telewizorów i po wybrzmieniu hymnu państwowego obwieścił wolę swoich mocodawców. W mundurze generalskim opartym na gorsecie ten mężczyzna o twarzy starszego chłopaka martwym i równym głosem zawiadamiał, że mieszkańcom tego obszaru przygranicznego, opatrzonego dla niepoznaki symbolem PRL, została za nieposłuszeństwo wymierzona surowa i sprawiedliwa kara. Byli im mianowicie odjęte nawet te nieliczne swobody, z których pod nadzorem konfidentów dotychczas korzystali. Odtąd nie wolno im było wychodzić nocą z domu, porozumiewać się przez telefon, spotykać się ze znajomymi, wyjeżdżać bez specjalnych przepustek do pobliskich miast, brać udział w jakichkolwiek spotkaniach, które mogłyby wskazywać na uprawianie działalności społecznej. Wszystkie bowiem organizacje grupujące ludzi dla porozumiewania się, choćby nawet dla wymiany znaczków pocztowych, uległy rozwiązaniu i przynależność do nich groziła surowymi karami.

Zaskoczenie tym, co się w Polsce stało 13 grudnia 1981 roku, nie byłoby również gwałtowne, gdyby Polacy nie byli tak spragnieni wolności i nie zachowywali się nią niemal do nieprzytomności już po pierwszych haustach. Dla ich wiedzy o rzeczywistości byłoby przydatniejsze, żeby nie tracili z oczu przemoc, przemoc nawet wtedy, kiedy zachowywała się spokojnie i stwarzała pozory, że odmierza swoje obycisaje.

Jakimże to ostrzeżeniem mogły być oznaki tak z pozoru odległe, jak choćby pomniki Stalina? Stawiano je aż do zupełnego poniechania kultu w miejscach szczególnie odwiednianych. Zostały mi w oczach posągi dyktatora wzniesione na wzniesłym wybetonowanym wzgórzu nad Wełtawą w Pradze i na jednej z centralnych stacji w Moskwie.

W Pradze posąg Stalina wyrażał, i wyrażał dobrze, tę fascynację, jakiej ulegało wielu Czechów przed dniem, kiedy zawisła na ich niebie czasze spadobronów i we wszystkich ważnych punktach strategicznych wyładowali radzieccy kokczkowie. Wielkim gestem wyciągniętej ręki, nachyleniem olbrzymiej postaci, komkomy Stalin zapowiadał rychłe opanowanie tego zachodniego świata, które to się ten zeuropeizowany lud wyrzekł, ale którego utraty nie mógł przeboleć. Przyszły zdobywca całej Europy przyrzekał Czechom powrót do odebranej im cywilizacji.

W Moskwie, na miejscu, pomnik Stalina wyglądał zupełnie inaczej. Nie mógł zdradzać zawiedzionych czy niespełnionych nadziei. Oglądałem ten monument wielkiego wodza, wyzwoliciela uciemnionych ludów - wraz z naszymi - oraz zbawcy ludzkości jeszcze za jego życia, bowiem religijność azjatycka nakazuje szcził świętych i monarchów jeszcze przed ich zgonem. Po zgonie bowiem człobitność może tylko przynieść pożytki innym, lecz im samym już się na nic nie przydaje. Aby stworzyć otoczenie godne wielkości bohatera, całą stację metra wyłożono różnokolorowymi płytami marmuru i jeszcze wzbogacono ozdobami z brązu. Co zaś do samej postaci, to... Kiedy zbliżył się do pomnika, stanęliśmy w milczeniu przed postumentem, nasz przewodnik, mizerny i chyba lichy opłacany funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa, uraczył nas niezapomnianą opowieścią. Przed paru dniami - zwiarył się z głębokim i nieudawanym przejęciem - miałem rzadką sposobność oprowadzania greckich postępowych intelektualistów z Aten. Otóż, kiedy znaleźli się tutaj, gdzie obecnie stoicie i rozejrzeli się wokół, jak i wy zechciacie się rozejrzeć, to oświadczyli... Zapewniam, że niego nie dodaje. Powtarzam tylko dokładnie ich słowa. Oświadczył zatem, że to, co macie teraz przed oczyma, znacznie przewyższa swoją wspaniałością i potęgą ich Akropol. Może również dlatego, że w świątyni na szczycie wzgórza nie zachował się posąg Zeusa, porażający wszystkich pielerzymów boską mocą, rozumem i władzością. My jesteśmy w lepszym położeniu. Posiadamy posąg Stalina. Popatrzcie! - Podnieśliśmy głowy idąc za jego wyciągniętą ręką. Posąg Stalina stał za załozem muru we wnęce otwierającej się tak nagle, że wyglądało jakby się zaczął w marmurowej jaskini. Lłozyl sobie dobre pięć metrów. Nie ulegało wątpliwości, że rzeźbiarz modelujący postać z zamieraniem serca starał się sprostać wielkiemu zadaniu, nie uchybiając w niczym obowiązującym pasadom socrealizmu. Kształtował dzieło socjalistyczne w treści i realistyczne w formie. Treścią był sam portretowany, co wówczas jeszcze przed ujawnieniem nieludzkich zbrodni tego polityka, określanych niewinną nazwą "błędów i wypaczeń", mogło budzić tylko powszechnie uznanie. Jeśli zaś chodzi o realizm ujęcia, to artysta zastosował się z gorliwością do przyjętego wyrazu, który tylko z trudem można by nazwał stylem. Nawet stylem wyciągniętego z trumny, po wielu latach całkiem już skostniałego, naturalizmu. Rzeźbiarz cały wysiłek włożył w to, żeby stać się nieosobowy, gdyż najdrobniejsza cecha własna mogłaby być mu poczytana za suchawą chęć zwrócenia na siebie uwagi. Toteż najwięcej troski okazywał w zabiegach imitacji. Użył parometrowemu surdutowi z zielonkawego brązu nadać podobieństwo do galowego munduru marszałkowskiego. Szczególnie powodzenie osiągał tam, gdzie naśladownictwo przedmiotu nie przedstawiało większych trudności. Gdyby nie litość, jaką budził dosyć żalony przewodnik z Bezpieczeństwa, można by znakomicie umoćnić jego zachwyt opowieścią o wspaniałych Zeuskisa. Jak tam ptaki przyfrwały, żeby dziobać malowane owoce, żeby spróbować, czy nie udałoby się oderwać wyrzeźbionego guzika lub sprawdzić dotknięciem umocowania epoletów. Natomiast to, co stanowi o sensie artystycznym posągu czyli głowa postaci musiała napawać rzeźbiarza panicznym lękiem. Nie odważył się nadać twarzy żadnego wyrazu w obawie, aby przypadkiem nie ujawnić którejś z cech występujących w rysach żywego Generalissimusa. To-

też twarz posągu była idealnie martwa i przez to tajemnicza i niedocieczona. Mimowoli stawała się idealną twarzą tej przemocy, która już dokonała okropności przechodzących ludzką wyobraźnię i nie przeczyła, że może jeszcze uciec się do następnych, wcale nie mniej przerażających.

Ta zwycięska przemoc, wystawiająca samej sobie patetyczne pomniki, pysznica się własną niepokonaną i nieprzemijającą potęgą, tylko lekko otarła się o nasz kraj w latach umacniania swojej władzy. Czymże naprawdę były cierpienia naszych chłopów, którym uroczyście nadano pańskie ziemie, aby po paru latach między wyżądać czołgami, wobec cierpień wielu milionów ohłupiałych rosyjskich, zaśmiecających trupami bezdroża syberyjskie w latach "rozkułaczania"? Albo czyż można porównać wyniszczenie naszej inteligencji z zagładą inteligencji rosyjskiej zamęczonej w Gułagach tak zmyślnie zagubionych, że wielu z tych obozów do dzisiaj nie zdołano odnaleźć? Oficerów wyróżniających się walecznością w armiach sojuszniczych, ściągniętych za poręczeniem "listu żelaznego" i katowanych miesiącami po więzieniach przez różnych Różańskich i Fejginów /wciąż pędzących wygodne życie na wysokich emeryturach/, można u nas liczyć na setki, gdy w Rosji znowu na setki tysięcy, jeśli nie na miliony. Wielka przemoc u nas nie ujawniła całej swojej mocy. Może dlatego, że stosuje swoje gwałty na miarę potrzeb. Otóż poskromienie Polski, oddanej jej w Janki, nie przekraczało takiej miary. Mogła ona być poddana systemowi bez sięgania po środki nadzwyczajne. Dosty szybko dojrzała do posłuchu wobec przemocy małej.

Nie od razu przychodzi mi na myśl, że ta głośnie, jawna, manifestująca swoją siłę przemoc wielka, która zaskakuje łoskotem czołgów w opustoszałych miastach, wymaga kolbami karabinów drzwi mieszkań, zapędza setki więźniów za druty kolczaste, katuje przetrzymywanych w piwnicach więzień, wcale nie działa we własnym interesie ani nie broni swojego panowania. Przemoc wielka nie panuje. Przemoc wielka służy. Służy karnie przemocy zwykłej, codziennej, pospolitej, ale wszechobecnej i wszechmocnej przemocy małej. Zarządzony przez Lenina terror odwetu w latach zdobywania władzy i stosowany przez Stalina terror czystek w latach jej umacniania miał na celu wprowadzenie tej małej przemocy we wszelkie dziedziny życia i zamiatania ulic po wypowiedaniu myśli. Groza naszej sytuacji polega na tym, że stan wojenny, dosyć żałosny naśladowca przemocy wielkiej, oddał nas znowu, jak to się dzieje od 38 lat, w brudne, lepkie i niedołężne ręce przemocy małej.

Łasy huczące od strażaków, szkoły zamieniane w więzienia, egzekucje w piwnicach, bezkarne zbrodnie Urzędu Bezpieczeństwa, wszystkie te przejawy działalności przemocy wielkiej w pierwszych latach powojennych skutecznie odwróciły naszą uwagę od złowrolego plenięcia się przemocy małej. Aniśmy się spostrzegli, kiedy umiejętnie wciągnięta ona w swoją służbę naprzód tysiące, a potem setki tysięcy ludzi. Związała ich z sobą i poddała swoim rozkazom przez powierzenie im stanowisk, odpowiedzialnych i dobrze płatnych, zupełnie nie odwołując się do zawodowych kwalifikacji. W trakcie niewiele lat powstała olbrzymia warstwa, zapewne nawet klasa, najrozmaitszych urzędników, zdolnych jedynie do bezmyślnego posłuchu, ale całkowicie niezdolnych do wykonania pracy społecznie użytecznej. Te nieprzeliczone, naprawdę nieprzeliczone, rzesze dyrektorów fabryk, naczelnych dyrektorów zrzesseń i zjednoczeń, naczelników wydziałów w KC i KW, oficerów politycznych, kierowników laboratoriów naukowych, wysokich urzędników Uczelni Akademickich, nie posiadających często wykształcenia podstawowego i ledwie umiejących się podpisać, utworzyło potężną armię najemników małej przemocy, gotową zębami i pazurami bronić swoich stanowisk. Wystarczyło im bowiem prymitywnej bystrości, aby powoływać się wciąż nie na umiejętności, ale na sprawiedliwość dziejową, która na bagnatach wywołenczej armii przyniosła im w darze rewolucję, aby wynagrodzić krzywdy wyrządzone niegdyś ich przodkom. Ta nowa warstwa czy klasa w miarę lat i rozrostu swoich szeregów doszła do przekonania, że to ona właśnie, posiadająca tysiącami pokoje urzędów i jeszcze potężniejsza od nich kohorta funkcjonariuszy partii, kierowniczej i społecznej, stanowi nowoczesną formę organi-

zacji ludzkiej czyli dzisiejsze państwo. Państwo to, czyli właśnie oni, zostało wyznaczone przez mądrą historię - rozum historii zwalniał ich od posiadania własnego rozumu - do prowadzenia poddania im narodu do ostatecznego celu ludzkości czyli do komunizmu.

Z zadziwiającą szybkością, zaledwie w ciągu kilku lat, wyrosło nowe drobnonieszczaństwo, jeszcze znacznie drapieżniejsze i bezwzględniejsze od dawnego. Tanto dawne, żyjące w zasobnym domu wielkiej burżuazji, musiało okazać wiele fachowych umiejętności i wiele skromnych cnót, aby udowodnić swoją przydatność. Na ogół zadowalało się dalszym miejscem przy stole. Parę razy tylko rzuciło się gwałtownie na takome dostatki i zdobywało sobie większy udział w zyskach, kiedy dorwało się do budowy imperiów Hitlera czy Mussoliniego. Nasze za ich przykładem korzysta z wygód, jakie swoim sługom i wyznawcom zapewnia państwo totalne. Jak dotychczas nie naraża się nawet na niebezpieczeństwa, z którymi przyszło się zetknąć budowniczym tysiącletniej Rzeszy. Tysiącletnie, jeżeli nie wiecnotrwałę pod koniec historii państwo komunistyczne, dotychczas nie stawiało swoich zwolenników przed taką próbą wierności. Wielka przemoc, ciągle czujna, zapewniła im wygodne i niestrudne życie. Mogli z całym poczuciem bezkarności oddać się swojej najsilniejszej i całkowite ich pochłaniającej pasji - niszczenia wszystkich, którzy są bardziej uzdolnieni, staranniejsz wykształceni i obdarzeni wyższą kulturą od nich.

Dzisiaj po blisko czterdziestu latach ich rządów można zdać sobie sprawę z bezmiaru spustoszeń, których dokonali. Oczywiście, przede wszystkim rzucają się w oczy te zniszczenia, które dotknęły świat materialny - miasta zabudowane więziennymi blokami, lasy leżące pokotem, rzeki zionące cuchnącymi wylęgami, ziemia zamieniona w pustynię. Znacznie jednak większe, chociaż mniej widoczne, są szkody wyrządzone światu duchowemu. Krzywd zadanych naszej kulturze łatwo się nie odrobi. Trzeba będzie na to długiej, cierpliwiej i mądrej pracy, czyli takich umiejętności, jakich w nadmiarze nie posiadamy.

Wprowadzony przed rokiem stan wojenny był dziełem przemocy wielkiej, usiłującej przywrócić w pełni władzę przemocy małej. Znowu, i to na długie lata, ma ona odzyskać swoje, od wielu dziesiątków lat niekontrolowane prawo do "błądów i wypaczeń" czyli, mówiąc po prostu, do głupoty, nieudolności, marnowania rozumnych wysiłków, a gdy to wszystko przekroczy ludzką cierpliwość - prawo do wymuszania posłuchu karabinami maszynowymi.

Dobrze jest zdawać sobie sprawę czemu służą apele do przebaczenia win, pojednania, zgody narodowej, słowem do budowania lepszej przyszłości. Ta lepsza przyszłość ma utrwalić na długie lata bezmyślne, bezradne i bezcelowe rządy przemocy małej. Sprawowane pod opieką przemocy wielkiej. Z czołgami ukrytymi w zaułkach ulic.

Nie wydaje się, żeby te zamiary miały się spełnić. Historia o czysto sprawias niespodzianki, jakich najbystrzej i najbardziej cynicznie politycy zupełnie nie umieją przewidzieć. Także i dlatego, że są cyniczni.

\*\*\*\*\*

\* \* \*

znowu dom ci w nas kradną po zdradziecku nocą  
teraz gwałcić cię będą na największych placach  
zankną w klatce żelaznej i przymuszają pełzać  
abyś tylko sięgała ich ośliniętych myśli

będą stawiać przed tobą stopy mis cynowych  
by cię słyszeć nie można w bełkocie tyrana  
dzieci w strachu powtórzą zgrzyt ponurej rot  
przerażone bo ciebie odejmą im zdrajcy

i nakadą ci kłamać jak sami są kłamcy  
zechcą z ciebie uczynić karlicę skrzekliwą  
by usłyszeć hosanna dla moskiewskich racji  
i zagłuszyć jazgotem lament na nizinie

przecież znajdziesz w nas azyl  
po wielkiwaj nagonce  
rzeko - mowo rodzinna  
krwi prostego człowieka

1 6 G R U D N I A 1 9 8 1

ponad ojozyczną cłowiane niebo  
wzeszło dziś na nim siedem ciemnych gwiazd  
siedem plam krwawych zostało na śniegu

znowu nie spali byś nie zaznał smu  
błazen się w barwy narodowe stroi  
i skrzeczy że od armii nie ma nic lepszego

żka ciężka stygnie  
w zaciąniętą pięść

#### N I E S Z C Z Ę S N Y

"Nareszcie wybiła nasza godzina  
- powiedziasz młody agent 13 grudnia -  
jedenaście lat temu w Gdańsku daliśmy lekcję  
lecz to było buntuje się znowu."

Nieszczęsny nie wie jeszcze  
że godzina dopiero nadchodzi

że naród patrzy dzisiaj  
milionami oczu  
a jutro ręk milionu  
sięgną po jego krtań

T O T U , , T O T A M

Przywieźli go o piętnastej. To była ostatnia szansa. W południe zabrali z Instytutu Renatę i Wilka. Ile czasu mogła im zabrać analiza kręgu najbliższych znajomych - dzień? dwa? Ale nie dlatego zgodził się, by go zabrala karetka z dwoma silnymi pielęgniarkami. - On chyba jest zmęczony tym pięciomiesięcznym życiem, stałe w tym samym rytmie "na raz". Bez przedtaktów i pustych nut. Bez chwili niespodowiedzialności za kogoś, za coś... Tak w każdym razie tłumaczyła doktor K. - żona.

W szpitalu, po załatwieniu koniecznych formalności /proszę zmierzyć temperaturę, jest pan chory... grypa? angina? Nie!, to w porządku, proszę na wagę. Może pan zostać w swoim ubraniu/ i umieszczeniu w sali, natychmiast zasną! Nie bardzo świadom miejsca i czasu przedknął coś z kolacji i mruknięciem odmówił drobnej dziewczynie proponującej herbatę.

Pierwsza noc nie została w nim żadnych śladów.

Obudzony, nieuważnie zjadł śniadanie i dał się zaprowadzić do pokoju lekarki. Jeszcze raz powtórzyli weraję choroby, przypomniała mu szczegóły, kolejne stadia wchodzenia w "strach" /nie mógł pan spać, wydawało się panu, że "Oni" są wszędzie.../. Podkreślając wątki ważne dla przebiegu choroby uśmiechała się blade, oho! bez przymusu. Ten wariant zniknięcia był gorzej od grudnia. Od początku. Próbował wykrzesać z siebie jakieś okruczy zyciorowsu, które mogłyby obudować zdarzeniami postawioną diagnozę. Po chwili przerwała mu. - Trzymajmy się lepiej suchego scenariusza. Tu są także inni lekarze... Zrozumiał, i dopiero teraz odpłynęły resztki smu przywołując uczucie tak dobrze ostatnimi miesiącami poznane - brak jakiegokolwiek azylu, konieczność stałej kontroli, gry. Kiedy wstawał, podeszła do krzesła. - Proszę się nie obawiać. Mamy i... w takich wypadkach już jakieś doświadczenie. - Kivnął głową, a wtedy dodała: - Proszę także uważać na chorych, podejrzewamy, że kogoś nam wstawili. A zresztą oni też nie wytrzymują i trafiają do nas. Gdy była przy drzwiach - jeszcze jedno: to jest lekki oddział, może pan być - kończyła z uśmiechem - zwyczajny.

Po badaniach /ciśnienie jakieś takie niskie, i krew się nie burzy w strzykawce. - Bardzo pan spokojny - to pielęgniarka, jasnowłosa, filmowa/ jeszcze raz zasnął, ale już inaczej, bez gwałtowności pierwszych godzin. Lekko poruszony za ramię wstał i zaproszony przez jakiegoś niskiego dziewczynka z przewieszoną przez szyję stułą zrobioną chyba z obrusa, siadł przy stoliku. Ktoś obok, z oczyma bez wzroku, cicho kłął kuchnię. Jeszcze inny, ze sklejonym papierosem złożonym z kilku popularnych, machnięciem ręki pokazał mu kierunek łazienki. Na korytarzu drobna dziewczyna w sukience w polne kwiaty przechylała głowę, jak nagle czymś zaciekawiony wróbel, wpatrywała się we wpięty w sweter opornik. Przyspieszając kroku zaczął go wyjmować.

Z drzemki w świetlicowym pokoju wyrwał go krzyk i szamotanina. - To Dorotka - usłyszał od grubego mężczyzny w wieku jego ojca - co wieczór to samo, chce wyjść, by nakarmić kota, który został sam w mieszkaniu. Masz kolego papierosa?

\* \* \*

Telefon. Usłyszał - Renata i Wilk zaniemogli. Trzymaj się. I cisza. Trzeba przedzić innych, tak jak i on będących w ruchu, to tu, to tam, tylko przez chwilę mógł zastanowić się: ktoś zaczął spać? może idą po pierwszo- lub trzeciomajowych zdjęciach? mogli zacząć wybierać drugi komplet z list 07, sierpniowych? a jeżeli poszli kolportażem? złapali ślad? Mogli wszystko...

\* \* \*

Drugiego dnia potrafił już dopasować niektóre twarze do imion, a wśród wszechobecnego cierpienia różne jego formy. Z zewnątrz nie było żadnych wiadomości, ale nie czekał na nie. Tak było w umowie - dopóki nie wyklaruje się, Maria, ani nikt z tych, którzy wiedzieli, gdzie jest, mieli nie przychodzić. Najprawdopodobniej za wszystkim. Snuli się jacyś szarzy, nieznaczeni, wszechobecni. Czas spędzał w świetlicowym fotelu udając, że czyta gazety. Zasnął o każdej godzinie i nleedwie w każdym miejscu. I to bez leków. W myśli umowy wyrzucił je. Analizy robił ktoś, komu wiedział... /Jedna z wyraźniejszych myśli tego przedpołudnia - znowu ktoś wie i od tej chwili, niepoznanej cieleśnie osoby zależy twoja wolność - ale odczyt się zwraca na takie myśli szczególnie uwagę./

Po obiedzie Wielebny Jerzy, ten od stuy i modlitewnika w półskórku, zabrał go do szpitalnej kawiarenki. Spytany, zamówił kawę i pięć ciastek, za dobry uczynek. - Nie jesteś symu łakomy? - pytał wyciągając całą drożdżówkę na raz. - Łakomstwo to piękna rzecz - odbiło mu się. Grzechem symu jest nie być pożądlwym. Grzechem przeciwko człowiekowi... Niech pan mu nie kupuje tyle ciastek - drobna dziewczyna, polne kwiaty, niesturalnie szerokie oczy. Wielebny ma okuszone serce i mózg. Tak, tak - potakiwał młaskając Wielebny. - Proszę poczęstować mnie papierosem, dziękuję! - Dorotka paląca? tego jeszcze nie było symu, jak sięgnę pamięcią, a drzęmią w niej dzieje dziejów, chaos i stworzenie. Na wieki wieków niech nam będą dzięki symu. Patrzył w te lekami poszerzone aż do granic spojówek źrenice. Nie mrugała rzęsami, widziała cokolwiek? nie?

Wieszorem rozmowa z lekarką, która została na dyżurze. - Do sąsiadów przywieźli zmasakrowanego chłopaka. Oboje nie drgnęli nawet, w tych sprawach byli zawodowcami. Jeszcze na początku, bardzo dawno temu, reagował gniewem. Później, redagując kronikę, ze zdziwieniem spostrzegł, że się przyzwyczają. "Ofiary" wpisywał w pamięci do rubryk - zyski i straty. - Twierdzą, że wpadł w szar i sam się pokaleczył. Na plecach. Zmusił się do pytania. Podniosła oczy - Tak! żyje. Wzięty chyba z trzeciego maja. I nagle gwałtowniej, niż mógł się spodziewać - niech pan powie, proszę, czy nie powinniśmy się zacząć bronić? W pytaniu nie było nadziei, że przekona ją do czegośkolwiek, była prośba o uspokojenie, zagadanie. - Rozumiem, wszyscy rozumiemy, że mamy być lepsi, nasza jest racja, a ich siła, to już kiedyś było. Przerwał, ale nie dała mu dokończyć. - Rachunkiem sił też mnie pan nie przekona. To nie jest sprawa taktyki, programu. To w nas nie ma takiego oporu. Niezgoda, o tak, ale bronić się, walczyć, ich łąpać za gardło... tego jeszcze nie umiemy. To jakaś psychiczna wstawka, którą nam założyli. Po tym co zrobili, co robią, najnormalniejszą reakcją bitych powinna być zemsta, gniew, a my... Proszę już iść, wydają pewnie leki. Do jutra.

Na korytarzu Dorota - Nie pojechałbyś nakarmić mojego kota? - i na pytanie w jego oczach - Nie znasz adresu? nie szkodzi, zaraz ci dam. I klucze. Zaczęła się śmiać. - Nie ma żadnego kota. Nikogo. Wymyśliłam, żeby czasami móc sobie pokrzyzczać. żeby wiedzieli, że wcale się nie chcą leczyć, żeby wiedzieli, że jeszcze jestem. Przekrzywiła głowę, piegowatą twarz, postrzępione kracze włosy opadły. - Jutro robimy jak zwykle podwieczorek; taka terapia, to teraz modne w psychiatrii, czytałam. Cześć.

\*\*\*

Telefon. Renata i Wilk zaniemogli. Cisza. Madzik powinien być teraz w drodze na skrzynkę z nakładem, Anelik i Reczek przy powielaczu, gdzieś między placem Komuny a Wschodnim, w wyzebraną paczką matryc. A Maria pewnie przepakowywała kolejną paczkę ze zrzutów... Jest przygotowana, teoretycznie, od pierwszego dnia, od ciszy w radiu, gwałtownego smukania po skali, i tych pierwszych słów...

• 42-53



Po śniadaniu pielęgniarka ze znaczkiem "Solidarności" w kołnierzyku bluzki - Pani Januszu! mógłby pan przez chwilę posiedzieć przy Babci? Jeszcze leci nie zaczęły działać, wszyscy na odprawie, a ja mam telefon? Pergaminowa, pozawijana twarz, bezbębne usta, szum niepodobnych do niczego słów - jajamja-jajamja... - Bóg wybaczta grzesznikom, ale czy oni wybaczą Jemu, że pozwolił zwiść ich, upaść, pochylić się - Wielebny Jerzy starannie piłował paznokcie - kto zna mrok grzechu, synu, kto chce się do mroku przyznać? Stał nad nimi. Mały, okrągły człowieczek z asymetryczną twarzą, przesuwając ziarna różniaka - Czy ona też jest na jego obraz i podobieństwo? Nim odpowiedział, Wielebnego wypożyczyła pielęgniarka - Doktor K. spóźni się. Wezwali ją... na rozmowę, już trzeci raz. Jak ona to wytrzymuje? Na jego pytanie - Jej.... przyjaciel jest w Jaworzu, a córka w śledztwie, za ulotki. A na nią samą mają haki za Towarzystwo Psychiatryczne... wszystko na raz. Cicho, cicho, Babciu - jajamjajajam - zaraz zaśnie.

Zagra pan w brydża? to może w szachy? a papieroska - Andrzejek dreptał korytarzem trzymając go za ramię - Wie pan, że jak wracam do domu, to ojciec mnie bije. On jest prawnikiem, studia kończył przed wojną, hoho, ja mam tylko maturę, w sześćdziesiątym drugim złożyłem, a on mnie pasem, że pieska nie chcę wyprowadzić. Taki ojciec. Pani Danusiu - już go zostawił, nagle ożywny - pani Danusiu, czy ja jeszcze mógłbym mieć narzeczoną?

Przeoglądał martwe gazety, całe szeregi nie nieszaczących słów, kolumny bezsensu, szpalty czegoś, czego nie ma. Doktor K. szybko przechodząc - niech pan wpadnie do mnie...

- Nic się nie dzieje. Normalnie - czy mogłabym wpłynąć na Beatę, żeby zaczęła sypać, przecież rozumiem, że to zmniejszy wyrok, na Janka, żeby podpisał, przecież wyjdzie i będzie mógł mi pomóc, a teraz będzie mi pomoc potrzebna. Już się przyzwyczaiłam. Ale nie o tym chciałam. Zaczynają nas sprawdzać. Szpitalny komendant-generał chciałby zweryfikować... chorych. Jego zawieszona gotowość pomocy kazała jej przestać kluczyć. Przygryzła wargi - Jeszcze w grudniu żona mówiła, że nie jest z wami najlepiej... w łóżku - dodała ciszej. Ale on już mówił i zmuszona do notowania, powtarzając słowa, dawała mu znać, że nie nadąża... jakieś wyczerpanie... tak, tak... jednocześnie silna potrzeba i strach... oczywiście... próby z innymi udane...

Muzyka z magnetofonu ryoczą. Ja lubię głośno - śmiał się Andrzejek - może pani ze mną zatańczy?

Pojadę do Algerii - Gruby Stefan promieniał - pojedą bić tych skurwysynów Francuzów. Zobaczyłbyś, kurwa, gdyby tu był tylko kawałek gwiera, jak bije na sto. Czterdzieści osiem punktów majmarniej. Zabojadów peozkami posyłałbym do nieba. Koloniści pierdoleni. Kolego, nie będziemy wolni dopóki nie wyzwolimy całego świata. Idź ty ubek - włączył się Darczek, niedokończony student - czasy ci się majątają. A ilu ześ naszych posłał pod trawkę, kupe, nie? To była walka kolego - oni nas też trzaskali, nie myśl sobie. Reakcjonisci pierdolemi. Londyn im się marzył, sanacja. Nic nie wiesz, szczaw, to i nie nie pamiętasz. Ale to była walka. - A w celkach, jak żecie akowców posuwali, nie powiesz mi ubek, że nie lubiesz takiej zabawy, nie? - Gruby Stefan zaczerwienił - kurwa, kurwa, sapał, ty szczaw nic nie wiesz, to były wypaczenia, ale nikt tego nie chciał. To wszystko pierdoleni żydzi. Ale żęmy ich przewycięzili, złamali. Mnie też wykończyli, wyrzucili z Urzędu, bez dziękuję. Na bruk. A człowiek po dwadzieścia godzin na dobę tyrał, ręce w ludzkim gównie naczał, żona mnie pozostawiała, a oni na bruk. Gdyby nie Partia, to bym zmarł. O kurwa... posapywał coraz ciszej. - Widziałeś pan - Darczek się rozkręcał - ubek-potwora do niczego nie chce się przyznać. Po Sierpniu chciałoby go wieszać. Żęmy się zgodwili, że smur miał ciągnąć Wacusi, no ten debil hydraulic, co się ciągle kiwa, jak gdzie siędnie, ale jak żonę dusił, drgawał, mnie miał, podobno zrobił to bez pudła... A z wieszania nici wyższy, bo Wielebny Intas doniósł i przemieśli kumpi na dziesiątkę. Za kratki. Mnie nie dostali, bo u Darczeka głowa pracuje.

Ktoś jeszcze zgłosił muzykę. Andrzejek obtańcowwał panią Danusię. Wstał

zapalić papierosa. Ktoś pociągnął go za rękaw - Chodź, pokażę ci coś. Dał się prowadzić. Bez ciekawości, bez niczego, nieco tylko zdziwiony żywością jej oczu.

Od windy prowadziła go splątany korytarzem piwnicznym, obok kawiarenki, za kuchnią i drzwiami z napisem - Klub, nagle pchnęła kolejne drzwi i znalazł się w pokoiku oplecionym rurami. Ty nie jesteś świr, i nim zdołał zaprzeczyć - Jak ktoś ma świra, świra takiego jak ja, to co dnia umiera, budzi się i umiera, zasypia i umiera. Stale w śmierci. Spróbował się uśmiechnąć, zdobyć na jakiś gest, słowo, ale ona nie przerywała - I to jest dobrze. Bo jak już jesteś w śmierci, robisz się inny, nie nie musisz, nikt ci nic nie może kazać. Jesteś silny. Przytuliła się. Drobną, w polne kwiaty, i nie mógł zobaczyć jej oczu.

Zasypiając widział, jak Wielebny modli się klęcząc w rogu łóżka, twarzą do ściany.

\* \* \*

Renata i Wilk zaniemogli, W taksówce - do Leszka wynieść resztki archiwum, i szybko do przedszkola zabrać Agnieszkę na łąkę, i dopiero wtedy powiedzieć Marii, że chyba trzeba będzie uruchomić szpital. Ucieszy się - narazicie się przekonają, doroslejesz, z nimi nie można czysto, to nie czasy dla świętego Franciszka, prawda...

\* \* \*

Przy pisuarze, Gruby Stefan znał muszli stękając - kolego, a nie jesteś przypadkiem w Partii? Tutaj sama hołota, człowiek by porozmawiał dialektycznie, uff, narazicie, ale wszyscy albo woluntaryzm, albo inne odchylenie.

W przejściu do zabiegowego Dorota - zobaczmy się po obiedzie? Kiwnął głową, na tak, na nie, sam nie bardzo wiedział. Zszedł na kawę i myśl - tutaj da się pracować, trzeba będzie sprowadzić książki, wreszcie może skończy od dawna czekający tekst do "Przeglądu", zabierze się za opracowywanie kolejnego etapu badań. W tym miejscu, w którym przerwał - dwunastego. Pochyliła się nad nim pielęgniarka ze znaczkim w kołnierzyku - Doktor K. pana prosi...

Lekarka była spięta. Poszarzała. Oichym głosem - wczoraj zabrali żonę, i na nogą pustkę w jego oczach, dodała żywiej - córeczka jest u pana mamy, adwokat zawiadomiony, Gieysztor i komisja prymasowska też. Zaczął się podnosić. Zerwała się - Nie! nie może pan wyjść, i zanim zaczął kręcić głową, przecież to i tak nic nie pomoże żonie, a pan odskoni słabe miejsce. Zawsze będą mogli na tym grać. Już stał. A ona ciągle spokojna - chodzi także o nasze bezpieczeństwo. Zatrzymał się w drodze do drzwi. Odgarnęła włosy - dobrze, zawiadomimy ich, że pan tutaj jest, że nie ma kontaktu z rodziną, żeby sprawdzili.

Przez moment uśmiechali się do siebie, jakby odprężeni, że jest to już za nimi. Gonicie pojedzie dopiero po południu, jak zwykle, inaczej byłoby niematuralne - zakończyła.

Ty jesteś nasz, symu - siedział w kącie i miał ochotę chwycić Wielebnego za stągę i gwałtownie pociągnąć - nasz. O nic nie pytasz, nie pochylasz się nad naszym cierpieniem, nie chcesz pomagać. A zazwyczaj bardziejj ukłonił chęć pomagać mniej ukłonił, ci, którzy nie rozumieją, tym, którzy zrozumieeli. Oni, machnął ręką w stronę Darczka, mówią, że się ukrywasz, ale to są wariaci, coś sobie ubzdurają i już...

Zjechała windą do piwnicy. Już czekała. Kazała mu klęknąć. W zagracoonym rogu, za grubą rurą, na posłaniu ze swetra spały dwa małe kotki... Tam - pokazała ręką na zamgloną przestrzeń za okratowanym oknem - zawsze się bałam, stale w zamkniętym pokoju, że ktoś, matka, ojciec, wejdzie i będą pytać. Jeszcze gorzej było w pracy, mogli mi wszystko kazać, czy chęć, czy nie. Wkręcała mu palce w włosy - Będziemy tutaj razem, a jak zechcesz to wyjdziemy,

albo nie... Ani szept, ani słowa, jakaś melorecytacja. Miał ochotę zasnąć, stopniowo coraz luźniejszy, wyjęty z reguł ciała, norm, kostiumów, praw, gier, decyzji... Tam bałam się, że nigdy już nie dadzą mi spokoju, a tu bałam się, że nigdy już nie wyjdę. A teraz już nie...

Zасыpiając ścisnął w dłoni lekarstwa, ale nie musiał podejmować decyzji, czy je wziąć, by spać bez snu, czy też nie, by rano mieć jasną głowę. Zapadł w sen równie gwałtownie, jak pierwszego dnia.

\* \* \*

Wyprowadzili go o jedenastej. Przyszło trzech. Lekarka oglądała dokumenty, kiwała głową, zapytana o salę pokazała ręką i odeszła do gabinetu ordynatora. Na korytarzu zatrzymało się kilka osób, patrzyli ciekawie, kiedy prowadzili go nieopierającego się. Na klatce spojrzął w okno, wydało mu się, że w przeciwnym skrzydle ktoś zamachał ręką, chciał się upewnić, ale wtedy przygotowani na wszystko ujęli go mocniej i pociągnęli schodami w dół.

Jeden, uśmiechnięty, o otwartej żywej twarzy został przesłuchać lekarzy i pielęgniarki. Potem kręcił się po salach, próbował rozmawiać z ludźmi. Później znikł. Dopiero po obiedzie znalazł go Andrzejek, kiedy jak co dnia szedł się onanizować. Leżał w pokoju splątanych rur. Kazała mu się schylić, że tam, w rogu, za kratami, schowane są jakieś dokumenty, i dopiero gdy zawiedziony podnosił się z klęczek, uderzyła.

\* \* \* \* \*

## KAZIMIERZ ORŁOS

## NIE PRZECHODŹ NA CZERWONYM

Starszy palacz zmianowy Czesław Kloc - siedemdziesiąt lat, czerstwy, o ruminanej twarzy - oraz jego zmiennik Kropiwnicki Józef - chudy czterdziesto-latek siedzą i czekają na Jałochę. W kotłowni osiedlowej gorąco, temperatura około trzydziestu stopni. Palacze dorzucają od czasu do czasu koks, sprawdzają barometry i rozmawiają o wojnie. Za okienkami - grudzień. Kloc wyjaśnia Kropiwnickiemu, co to znaczy "stan wojenny".

- Strajki, Józiu, strajki! Czy tak miało być? Kto szanuje robotę nie strajkował, a inni doczekali się. Generał uderzył pięścią w stół: dosyć! - I Kloc sam bije pięścią o kolano. Musi być porządek, inaczej na diabły pierony to wszystko pójdzie! Czy nie jest tak? - patrzy na siedzącego obok Kropiwnickiego.

Józek popija kawę ze starego termosu i bełkotliwie przytakuje. Jakby się zgadzał i nie zgadzał jednocześnie.

- Czy nie mam racji?

Jest dwudziesta trzecia zero pięć. Jałocha spóźnia się. Kloc przypomina sobie o godzinie policyjnej i klnie głośno. Ciężko wracać przez miasto, kiedy co parę kroków kontrolują. Wprawdzie palacze mają przepustki wystawione przez komisariat na Barskiej, ale puste miasto sprawia przykre wrażenie: przypominają się osady za Niemca.

Kropiwnicki gulgotce, powieki opadają - senność, żar bucha z pieców. Mija czas. Narazicie wpada Jałocha - zdyszany, błady, bez czapki. Żelazne drzwi z hukiem biją o ścianę. Kloc i Kropiwnicki zrywają się z ławeczki. Jałocha zamyka drzwi i biegnie pod stertę koksu. Rzucza na beton hydrauliczną torbę, z którą nie rozstaje się nigdy.

- Co jest, Janek? - woła Kloc.

Jałocha, ciężko dysząc, pada na kolana i rozgarnia koks. Wygrzebuje poszczególne dziurę. Potem z hydraulicznej torby dwie półlitrowki samogonu /pewno tego, który pędzą na działce szwagra/ i zagrzebuje byle jak, aż koks dzwoni o szkło.

- Co jest, Janek? - powtarza pytanie Kloc.

- Gonią mnie - mówi Jałocha. Krztusi się, kaszle i ciężko dyszy. Klęczy przed stertą koksu.

- Kto goni?

- Młioja.

- Coś przeszkrobał?

Jałocha nie może złapać tchu. Podnosi się z klęczek, kiedy słychać na schodach łoskot. Idą. Idzie kilku i zaraz walią w drzwi. Kopiają. Słychać głosy: - Tutaj, tutaj!

Żelazne drzwi po raz drugi biją o ścianę ciężko, aż drży fundament. Wtacza się trzeci. Czwartym, z automatem do strzału, zostaje na progu. Ci trzej od razu z krzykiem: - Który uciekał?

Orzeźki bez tarczy na czapkach z nausznikami i mundury ciemniejsze. - ZOM. Zaczynają biegać od ściany do ściany - zaglądają w kąty, pod piec, za koks. Chodzą między palaczami z pistoletami o kolbach z żelaznych prętów, białe pałki na brzuchach. Zdyszani /nieźle ich Jałocha przegonił/.

- Który uciekał?

Palacze milczą. Kloc z Kropiwnickim stoją nad ławką - Kropiwnicki ścisną termos z niedopitą kawą. Pot ścieka po twarzach. Jałocha błady, nad kupą koksu. Tamci stoją przy nim.

- Tyś uciekał? - krzyczy na najniższy. Ten na progu składa się z Pi-u.

- Panie władzo - słychać głos Jałochy - nie ruszałem się z miejsca. Jak Boga szczerze kocham!

- Tyś uciekał! - krzyczy mały zomowiec i lufą ciśnie Jałochę w brzuch.
- Przyflekuj mu, Stasiu - radzi wysoki funkcjonariusz.
- Panowie - odzywa się starszy palacz Kloc - o co wam chodzi? Wykonujemy pracę zmianową, spełniamy obywatelski obowiązek.
- Zomowcy jak na komendę odwracają się. Biegną do niego: - Tyś uciekał? Niski jakby zeza dostał ze złości. Patrzy na ścianę z plecami palaczy. - No, który uciekał? Gadaaj! - Lufę automatu peha w brzuch Kloca.
- Stary palacz cofa się o krok - dalej jest ławka. Traci równowagę i siada na niej.
- Synkowie, spokojnie. My wszyscy Polacy...
- Wysoki, z rudym zarostem na policzkach, ciągnie małego za rękaw: to ten - trąca lufą Kropiwnickiego. - Ten!
- Kropiwnicki zaczyna się jękać: - Panowie, nigdy w życiu. Ja tu siedzę od rana. - Także cofa się o krok. Niski łokciem wybiją żółty termos. Brząk - termos toczy się po betoniu. Rudy kopie kawałek szkła.
- Gadać, gadać!
- Synkowie - zaczyna znowu Kloc.
- Synkowie stoją nad palaczami /Kloc z Kropiwnickim siedzą na ławeczce/. Zalutuje wódką. Jakby wiało od nich: chłodem metalu, mrozem i czystą. Trzeci, który został obok Jałochy, krzyczy nagle: - Stasiu, to ten! Był bez czapki! Uszy ma czerwone!
- Niski z rudym biegną z powrotem. Chwytają za pałki.
- Panowie, nie bijcie! - Jałocha kuli się i cofa. Tamci idą za nim.
- Gdzie torba? - krzyczy niski.
- Jałocha pokazuje na kupę koksu. - Tam! Obok.
- Niski wraca - chwyta za pas. Idzie pod lampę i wysypuje na beton zawartość. Leci kilka śrub, nakrętki, papier ścierny, dwa kolanka od rur - głośno dzwonią /Jałocha pracuje po godzinach jako hydraulik/.
- Gdzie ulotki? - odwraca się mały zomowiec. Kucnął nad torbą.
- Panie- mówi Janek - żadnych ulotek nie miałem.
- To po coś uciekał?
- Panie, gdzie mi tam w głowie ulotki!
- Bierzem go - mówi niski do rudego. Kiwa na Jałochę trójpalczastą rękawicą.
- Zbieraj!
- Kloc i Kropiwnicki milczą. Jałocha kłęka na betoniu. Zbiera rozrzucone nakrętki, śruby, papier ścierny. Dwa kolanka. Wstaje ciężko.
- Synkowie, jak wy traktujecie prostego człowieka? - pyta starszy palacz Kloc. - Ja przeżyłem dwie wojny, walczyłem za Niemca...
- Co się nie podoba? - odwraca się mały zomowiec.
- Z człowiekiem tak nie można.
- Amen - mówi mały zomowiec. I do Jałochy: - Idziemy!
- Ja z wami - decyduje się Kloc. Pośpiesznie nakłada ocieplaną kurtkę. Na głowę wiska czapkę podobną do uszanek milicjantów /służbowe sorty/.
- Jak pan chcesz - niski rusza w kierunku żelaznych drzwi. Miał węglowy chrząści pod butami.
- Ty, Józek, dorzuć parę łopat! - wydaje polecenie Kloc. - Zaraz wracamy.
- Kropiwnicki podniósł przed chwilą rozbitą termos. Szkoło grzechocze w środku. Stoi przy ławce, obraca termos w palcach i milczy.

Przed blokiem czeka łazik-suka. Ze środka słychać głosy - gra radio. Kiedy rudy otwiera drzwi, widać czerwone punkciki papierosów. Zalutuje dymem i ciepłym zaduchem.

- Ty - zwraca się niski zomowiec do funkcjonariusza w środku - wezwij oficera z placu. Mamą ptaszka.

Stoją obok łazika. Wieje mroźny wiatr. Płatki śniegu topnieją na policzkach, lecą do oczu. Niski z wysokim przytupują. Jałocha trzęsie się z zimna.

- Zapnij płaszcz, Jasiu - radzi Kloc, ale do Jałochy nie dociera. Dzwoni zębami.

Dwóch z patrolu odchodzi: trzeci i ten, który ubezpieczał przy drzwiach. Niski postawił torbę na masce łazika. Ulica pusta. W blokach naokoło dużo ciemnych okien. Tramwaje i autobusy nie kursują. Dwudziesta trzecia czterdzięści pięć. Wymarłe miasto.

Nagle zza węgła słychać krzyk: - Chodź tu, skurwysynie! Ja cię nauczę! Zomowcy odwracają się jednocześnie. Widzą babę jak piec, w rozpiętym kożuchu, krępego mężczyznę i chłopaka z ogoloną głową. Mężczyzna z kobietą ciągną chłopca w kierunku suki. - Idziesz, idziesz?

Niski zainteresował się - rusza naprzeciw: - O co chodzi? Tamci przywiekli chłopca bliżej. Czternastoolatek - nieduży, wąty jak palacz Kropiwnicki. Dygoce z zimna i zdenerwowania.

- Co jest - pyta niski.

Baba jak piec /Kloc zna ją z widzenia: mieszka w bloku nad kotłownią/ krzyczy: - Panowie, zabieracie chuligana! Przychodzi do mnie z propozycją "ja się z tobą prześpię!" Łobuz uciekł z poprawczaka!

Chłopak usiłuje oswoodzić ręce - Mówiłem "czy można się przespać u pani?"

- Ze mną chciał spać, drań! Ze mną!

Krępy mężczyzna szarpie małolatka za ramię: - Mówiłeś tak? Mówiłeś?

- U pani.

- Z panią!

Wysoki i niski śmieją się. Niski mówi: - Weźmiemy, a jakże!

- Za co, panowie? Ja tutaj meldowany! - woła chłopak.

- Z poprawczaka uciekł, chuligan! - wykrzykuje kobieta.

- Mówiłeś tak? Mówiłeś? - Krępy mężczyzna popycha chłopca w kierunku wozu.

- W celu wyjaśnienia - mówi niski zomowiec i kiwa rękawicą o trzech palcach. Kloc dostrzega pod okiem smarkacza niebieską kropkę. Z ogoloną głową w drelichowym ubraniu i za dużych butach, stoi przed niskim i dygoce.

- Panie Władziu, ja u nich meldowany! To mój dom. Moja rodzina.

Niespodziewanie mazy zomowiec gnie się w ukłonie. - Prosimy pięknie!

- Automat dynda na pasie. Dłoń w trójpalczastej rękawicy wykonuje szeroki gest. I nagle, z tego pochylenia, jak kot skacze do przodu. Kloc z Jąchochą nie widzą dobrze, gdzie bije pięścią /w brzuch, w krocie?/. Cioc musi być silny, bo chłopak pada na chodnik. Słychać jęk i skowyt:

- Jesuniu!

Rudzielec zanosi się śmiechem: - Ty masz gest, Stasiu!

Po chwili podnosi chłopca za ręce i włoką do suki. Za duże buty szorują po chodniku. Widać gołe łydki.

- Otwierać! - woła niski. - Jest pacjent!

Kobieta w rozpiętym kożuchu i krępy mężczyzna odchodzą szybko. Jąchocha przestępuje z nogi na nogę. - Mój Boże - mówi palacz zmianowy Kloc. - Mój Boże.

- Ty masz gest! - śmieje się rudzielec. Mocno zabija rękami o plecy.

Po dziesięciu minutach podjeżdża Nyska. W środku przestronnie, pusto.

Przez uchylone drzwi wygląda oficer. Okragła czapka, krawat, na koźnierzyku srebrne naszywki. Tylko twarz wydaje się szara jak popiół. Pyta tak samo jak przed chwilą niski: - Co jest?

- Obywatelu poruczniku - niespodziewanie wpada mu w słowa Czesław Kloc /podchodzi do Nyski/ - palacz zmianowy Jąchocha Jan nie miał żadnych ulotek! Cechuje go obywatelska postawa i zrozumienie dla stanu wojennego. Jako spóźniony o pięć minut pracownik, nie zważając na światło przebiegł ulicę. To całe wykroczenie! - Kloc przerywa na chwilę, potem mówi dobitnie: - Przeżyłem dwie wojny, walczyłem z Niemca... - Zaczyna kaszkać.

Porucznik z szarą twarzą patrzy na niego zdziwiony, jakby chciał zapytać: a ten skąd się urwał? Wyciąga rękę do Jąchochy: - Dowód!

Przez uchylone drzwi pada światło na przynę śniegu obok Nyski. Kloc stoi po kostki w śniegu, rękę położył na masce.

Jąchocha wyciąga z wewnętrznej kieszeni płaszcza ceratowy portfel. Widać jak trzęsącymi się palcami szuka w przegródkach dokumentu. W końcu podaje porucznikowi. Z wozu wieje ciepłem. Słychać radio z łazika obok.

- Nazwisko? - pyta porucznik.
- Jałocha.
- Imię?
- Jan.
- Urodzony?
- Jałocha mówi: - Dwunasty, szósty, tysiąc dziewięćset czterdzieści piąty, w Grodzisku Mazowieckim.
- Imiona rodziców?
- Szymon i Rozalia.
- Miejsce zamieszkania?
- Ulica Wery Kostrzewy.
- Co jest w torbie? - pyta porucznik.
- Niski zomowiec kiwa na wysokiego: - Torba!
- Rudy przynosi. Oficer zagląda do środka. Krzywiąc się wyjmuje kolanko, kilka szrub, papier ścierny. Wrzuca z powrotem do środka. Niski zabiera torbę.
- Zwolnić - mówi porucznik. Macha ręką. Nie pyta o nic więcej. Zatrzaszkuje drzwi. Nyska odjeżdża znad przysmy śniegu. Tylko Czesław Klcc kaszle chwilę.
- Mały zomowiec rzuca hydrauliczną torbę pod nogi Jałochy /kolanka dzwonią w środku/. - Masz szczęście! Gdyby trafiło na majora... - Chyba klinie, ale nie słychać słów.
- Jałocha podnosi torbę, z którą nie rozstaje się nigdy. Jednocześnie z Klocem wracają na chodnik.
- Jedziem na Barską - mówi niski do Rudzielca. Podchodzą do łazika. Kiedy drzwi są otwarte, widać chłopaka z ogoloną głową /światło latarni oświetla wnętrze suki/. Leży przyciskając twarz do stalowej podłogi. Na ławeczkach nad nim siedzą funkcjonariusze w rozpiętych kurtkach. Jarzą się punkciki papierosów. Niski z rudym wsiadają do wozu. Automaty zarzucili na plecy. Palacze parzą, jak łazik odjeżdża, potem idą w kierunku bloku.
- Na drugi raz nie przechodź na czerwonym, Jasiu - pokasłuje Czesław Klcc.
- Władza tego nie lubi.
- Jałocha milczy.
- Nic się nie martw, chłepie - podszusza go stary palacz - samogonu nie wzięli!
- Jałocha pluje na chodnik. - Daj pan spokój, panie Czesławie. Same suki na ulicach i te patrole, patrole! Czego oni chcą od ludzi?
- Starszy palacz zmianowy Czesław Kloc nie odpowiada. Stają na chwilę przed wejściem do kotłowni. Czerwone światełka radiowozu gasną za rógiem. Naokoło ciemne okna bloków. Tylko wiatr hula nad miastem.

1982

\* \* \* \* \*

## TOWARZYSZ BEZ WYRAZU

Nie wystąpię z partii. Nie oddam legitymacji. Ani jednego z mozolnie wystylizowanych podań nie przepiszę na czysto, nie przedstawię egzekutywie. Napisałem ich tyle, że starczyłoby na książkę. Egzekutywo! Ten początek, jakże w swej prostocie doskonały, ileż kosztował mnie trudu, ileż chybionych prób, ileż potknięć, ileż fraz bezbarwnych i bez wyrazu. Ułożyłem ich tak wiele, że tworzą całe litanie. Flączę się w głowie nawet wtedy, gdy myślę o czymś zupełnie innym. Towarzysze! Drodzy Towarzysze! Bracia Towarzysze! Towarzyszu Sekretarzu! Bliscy mi Towarzysze! Do Towarzyszy! Do Towarzyszy z Egzekutywy! Z sanych nagłówków odczytał można dzieje moich rozterek, prywatnych odchyłań prawicowych, nieokreślanych ciągłotek ku kultowi jednostki. Zawarte są w nich mroczne historie moich cwałów od szczytnych ideałów oraz opisy zgubnego w skutkach odrywania się od rzeczywistości.

Piszę przezwanie w nocy. Przez zgliszczą świecące neonami pustych sklepów pełną bezszalestnie patrolę, jest cicho, niekiedy tylko narasta rytmiczny łoskot jakby przybliżyły się ażsytackie pustynie, jakby ich zamarzająca pianka intonowała międzynarodową powszechną zagładę. Jeszcze kilka tygodni temu, zanim zaczęła obowiązywać godzina policyjna, przez cienkie ściany słychać było kroki spóźnionych przechodniów, szmer jadących samochodów, szpatmatyczne wokalizy zagubionych pomiędzy piśkawkami. Wskuchiwałem się w te odgłosy niczym w sygnały dalekich radiostacji, wsłuchiwałem się w tupoty, skowyty, bełkotliwe tąpnięcia, i zadawałem sobie pytanie czy któryś z nocnych wędrowców, widząc światło w moim oknie, odgaduje jego przeznaczenie. Uśmiechałem się w duchu na myśl o banalnych skojarzeniach, jakie wywołuje ten oświetlony prostokąt, utwierdzałem w całkowitej anonimowości i pełnym bezpieczeństwie. Byłem pewien, iż nikt nie potrafiłby odpowiedzieć czym są, ku czemu zmierzają moje wywody. Nawet gdyby jeden z idealnych żywiołów wyniósł kogoś na wysokość piętra i pozwolił mu przebieć zasłonę. Teraz jednak, gdy wszystko ucichło, gdy miasto skończy i stygnie na dobre, pojmuję jak bardzo się myliłem. Patrzę na oświetlone okna, jest ich coraz więcej, jakby wynajęto resztę wolnych pokoi, jakby długo nieobecni gospodarze wracali z dalekich wojaży, niektóre nie gasną nawet wtedy, gdy zasypiam uniesiony celnością i pięknem jakiegoś sformułowania, patrzę tam, gdzie ktoś bardziej ode mnie wytrwałszy czuwa jeszcze i nabieram pewności, że nie jestem osamotniony w swym trudzie. W końcu nawet zaświatowe podcepty rachunku prawdopodobieństwa wykluczają zupełną wyjątkowość mojej osoby. Nawet najstwardzielwsze skłonności, nawet najintymniejsze sny, których niepowtarzalność zdawałaby się gwarantować ich przypadkowa kompozycja, dzieli z mną co najmniej kilku współbraci. W labiryncie miasta kryć się musi niejeden współtowarzysz zajęty układaniem wszeobjaśniających petycji. Patrzę na światła zanurzone w ciemnym kryształach mrozu i domyślam się, że w nich nieokreślonym blasku powstaje literatura przeznaczona dla egzekutyw, że powstają tam utwory, których pierwszymi czytelnikami będą pierwsi sekretarze podstawowych organizacji. Widzę jasno, że rodzą się tam odkrywcze i jedyne w swym kształcie formalnym arcydzieła, że niemało jest też prac chybionych, ulomnych, kompletnie nieudanych. Są rzeczy rozpoczęte z rozmachem i w gigantycznym matchemieniu, pełnięte jednak w pewnym mieście i zatracające swą wielkość. Są pozbawione polotu i indywidualnego piękna bezbarwne deklaracje. Są konstruujące młodzieńcze, pełne nieodpowiedzialnej inwencji. Są dojrzałe, eksplodujące gnomiczną prostotą jednozdaniowe aforyzmy. W szufladach i tajnych



szybkich spoczywają szacowne zabytki tego piśmiennictwa, jego złote bulle, pierwsze słowa, imiona własne i zdania. Pochyleni nad stołami, poznają sekrety pisarskiego rzemiosła ci, którym będzie dana sława i nagroda, ci, których sprawiedliwie ocenią przyszłe pokolenia. Szlachetni maniacy doskonalący swe dzieła w sekrecie przed najbliższymi i hochsztaplerzy obnoszący się z każdym słowem.

Wizja tej literatury wydaje mi się niekiedy tak piękna i patetyczna, iż nie wiem, czy poczuwać się do niej bezkrytycznie, czy też raczej przypisać jej autorstwo któremuś z klasyków: Marksowi, Leninowi lub Róży Luksenburg.

\* \* \*

Światło w moim oknie może zwrócić uwagę żołnierzy. Na myśl o tym czuję obawę, ale też rodzaj ciekawości. Sam w końcu nie wiem, czy jest w moich wywodach coś nielegalnego, sprzecznego z obowiązującymi prawami, czy jest w nich coś konspiracyjnego i zakazanego. Oczywiście są one świadectwem moich najlepszych intencji i wewnętrznej - ale prowadzonej fair - walki. Nie jestem jednak pewien, czy ich stylistyczna nieporadność i brulionowy charakter nie przesłaniają obiektywnej prawdy. Nie jestem pewien, czy moja dobra wola jest w nich wystarczająco wyraźnie widoczna. Nie jestem tego pewien i chętnie odwołałbym się do opinii kogoś postronnego. Z własnej woli nie powierzyłbym nikomu tych szkiców, nie miałbym dość śmiałości, aby zanim osiągną kształt ostateczny proponować komukolwiek ich lekturę. W gruncie rzeczy najbardziej dogadzaliby mi czytelnicy przymusowi, tacy, którzy z własnej woli czy może raczej z obowiązku sięgną po moje manuskrypty. Błąkające się w głębi świadomości instynkty zostaną wówczas zaspokojone, a mnie nie będzie wypadało nawet protestować. Wyobrażam sobie rozmaite wersje ich wizyty. Najbardziej lubię tę, w której powiesiwszy karabiny w przedpokoju grzeją ręce nad rachitycznymi płomykami gazu, piją herbatę, a jeden z nich /krótko ostrzyżony blondyn o czystym spojrzeniu rewolucjonisty/ prostym i oelnym zdaniem rozstrzyga część moich wątpliwości.

\* \* \*

Pierwsze egzemplarze, choć napisane zaledwie kilka miesięcy temu, pożyczki już i stały się prawie nieczytelne. Papier niszczy się teraz niebywale szybko, przez szczeliny w tynku i murze, przez rozstępy w drewnie, przez licho osadzone okna, pod niedokładnie zawieszonymi drzwiami, sączy się zabójczy żywiok pełen piasku i pyłu, pełen mrówek faraona i przejrzystych ogni, jego gorączkowy oddech staje się nie do zniesienia, wysusza skórę, przyspiesza serca, wywabia rękopisy. Moje petycje, choć liczą zaledwie kilkanaście tygodni, sprawiają historyczne wrażenie, pożyczki i nieczytelne, wyglądają jak manuskrypt prywatnych dziejów komunizmu.

Niekiedy, gdy dotykam ich kruchych powierzchni, gdy odcyfrowuję niedawne argumentacje, czuję się jak weteran ruchu robotniczego. Na kilka chwil staję się starym komunistą, wytrawnym znawcą klasyków i ekonomii politycznej. Rytm mojego oddechu łączy się z oddechem ojczyzny, nasze losy pokrywają się w zdumiewająco syntetyczny sposób. O najświętsza zgodo! O zgodna wspólnoto! O wspólna dolo! Uniesienie nie trwa jednak długo. Egzekutywo! Nawet ten nieunikniony, ostateczny i zdawaj by się mogło jedyny z możliwych początek budzi wątpliwości. Egzekutywo zwracam się do Ciebie... Nie wiem czy organ kolegiálny nie powinien się także cechować kolegiálnością gramatyczną. Egzekutywo! Zwracam się do Was z uprzejmą prośbą o zaaprobowanie mojej decyzji. Postanowiłem wystąpić z Partii. Zdaję sobie sprawę, że ewentualna aprobata nie przyjdzie wam łatwo, zwracam jednak waszą uwagę Towarzysze, że krok mój nie ma w sobie nic z manifestacji. Oddając legitymację partyjną pragnę pogrześć się w

żywiocie apolityczności, który jest żywiłem mi bliskim, w którym czuję się najlepiej, lub też w którym, jak sądzę, będę się czuł najlepiej, będę, ponieważ w zasadzie nigdy nie byłem bezpartyjny. Nie znaczy to oczywiście, że należę do Partii od urodzenia. Należę do organizacji - jak Towarzysze wiedzą - zaledwie od lat pięciu. Wcześniej jednak byłem członkiem tak młodym, iż - wyrażając się w sposób górnolotny - nie było mnie wcale. /Podpis/ Jakże muszą się strzec, aby nie popaść w przesadną drobiazgowość. Kilka miesięcy stylistycznego trudu nauczyło mnie, iż każde zdanie każde słowo może stać się źródłem niewyczerpanych wątpliwości, przyozyna mglistych wyjaśnień, początkiem sprzecznych wywodów. Czy nie powinienem, na przykład, wyjaśnić, iż z faktu, że jakąś apolityczności, w której - jak napisałem - "będę się czuł najlepiej", nie wynika bynajmniej, iż w partii czuję się źle. Czy nie powinienem, mimo wszystko, dodać, iż z faktu mojego - jak napisałem - nieistnienia przed wstąpieniem do partii nie wynika, że narodziłem się krocząc w szeregu. Niekiedy mmożę tego rodzaju uzupełnienia i aneksy. Monity moje pęcznią, rozrastają się w wielostronicowe elaboraty, w końcu tracę orientację w wszechstronnej epice. Niekiedy staram się pisać zwięźle. Wierzę wówczas, iż prostota stylu nie wzbudzi wątpliwości u towarzyszy z egzekutywy. Pomiedzy środkami ascetycznymi a barokowymi nie umiem jednak dokonać ostatecznego wyboru.

Jeszcze pół roku temu nie wymagano, aby ostateczne rozterki wyrażać na piśmie. Gdybym wtedy podjął decyzję /niepewność i niewiara w samego siebie towarzyszyły mi wszakże od samego początku/ byłoby już po wszystkim. Nawet jeżeli stawali się Towarzysze dodatkowe pytania, nawet jeśli moje odpowiedzi brzmiałyby bełkotliwie i nieprzekonywująco, nie musiałbym niczego poprawiać, udoskonalać czy rozpoczynać na nowo. A owa feralna, pierwsza, dziś już zupełnie nie niezbytelną stroniczka maszynopisu... Pierwsze podanie, z którego przedłożeniem zlekkałem jakiś czas i które przez ten właśnie niewielki zresztą czas zaczęło budzić moje wątpliwości, pomyślałem, że można by to wyrazić lepiej, ogólniej lub może nieco ostrzej /dziś już nie pamiętam, ale raczej ogólniej/. Dokonałem kilku poprawek, przepisałem na nowo i utknąłem niespodziewanie dla siebie samego w pisarstwie. Zacząłem studiować W o r y p i s a n i a p o d a n i a, S ł o w n i k t e r m i n ó w l i t e r a c k i c h S t a w i Ń s k i e g o oraz skromną lecz bardzo pożyteczną broszurę Kuzniecka, Kozarionowa i Pietrienki Jak przygotowywać referaty i p o g a d a n k i. Zrozumiałem, iż nieprawdą jest jakoby o jednej rzeczy można mówić na wiele sposobów, zrozumiałem, iż rzeczy jest tyle, ile jest sposobów mówienia o nich, zrozumiałem, iż pewne stany ducha członka partii są po prostu niewyrażalne. Nauczyłem się czerpać satysfakcję z wielogodzinnego ślęczenia nad zestawieniem dwóch zdań i poznałem cały szereg innych sekretów fachu pisarskiego. Przywykłem do pisania podań. Piszę je wieczorami, nocą i w pochmurne popołudnia. Dziś pisarska pogoda - mawiam do siebie w takie dni - i siedam za biurkiem.

\*

\* \*

Towarzysze! Aby uniknąć zawiłych wywodów wyrażę się krótko. Wstąpiłem do Partii ponieważ Partia była silna. Siła zaś polega między innymi na tym, że lgną do niej słabeuszki. Ludzie słabi, zagubieni w świecie, bezradni wobec panującego w nim ładu - należę do nich bez wątpienia - lgną do istot, żywiołów i organizacji, w których wyczuwają opiekuńczą moc. Towarzysze! Jeśli teraz po-tanowią odejść, nie oznacza to bym kwestionował opiekuńczą siłę Partii. Przeciwnie, nadal uważam, iż może sobie Ona pozwolić na obecność w swych szeregach nawet kogoś tak ślamazarnego jak ja. Odcchodzę jednak, gdyż nie chcę dłużej być jej nawet nieznaczny ciężarem. Zstępuję z szali choć wiem, że gdy to uczynię szala ta nawet nie drgnie. /Podpis/ Dziesiątki razy próbowałem opisać siłę partii, jej pociągającą moc i wszechmoc,

i ani razu nie udało mi się uniknąć fałszu, przesady, kiczowatych i niesprawiedliwych uogólnień. Ostrzegalem sam siebie przed stylistycznym rozpasaniem i natrętnymi metaforami. Zdawałem sobie sprawę, iż te z moich podań, które cechują się przesadną kwiecistością stylu, zestarzały się najbardziej, są nieaktualne i martwe. Na próżno. Partia pod moim piórem zamienia się zawsze we wszechobecny i paraliżujący żywioł, w topiel, z której nie sposób się wydobyć i która dociera wszędzie, staje się Molochem, Zagadką, Labiryntem i Lewiatanem. A przecież jest zupełnie inaczej... Na zebraniach towarzysze czują w kościach trud przeprowadzanych godzin. Pochyleni nad stołami zarysowują karkki papieru obeszajnymi motywami. Ich ręce są zmęczone, wydaje się, że to długopisy pełne niespożytej energii widzą je nieznaczonymi ruchami z brzegu na brzeg. Gdy podczas przerwy w obradach wychodzą na korytarz, jeden z nich wyjmując z kieszeni miniaturową katarynkę, którą przywiózł z Moskwy, otaczają go w skupieniu, on kręci maleńką korbką i z wnętrza ozdobionego gwiazdkami caca'ca płynnie melodia międzynarodówki. Z tej grupy mężczyzn pochylonych nad krukchym suwenirem nie promieniuje żadna siła, żaden wiatr zagłady czy podmuch historii, to raczej oni czują chłód na karkach, to raczej oni czują jak łożowate światło włazi im pod marynarki, jak ich obmacuje, jak im rozwiewa fryzury i nadyma koszule. Zastuchani w gasnące i mechaniczne dźwięki, nie słyszą regularnego łoskotu, jakim pulsuje prawdziwe, piaszczyste serce partii.

Exekutywo! Jeśli chodzi o mój światopogląd, zawsze miałem skłonności lewicowe. Nikita Chruszczow był jednym z bohaterów mojego dzieciństwa. Przebieg choroby Towarzysza Bieruta znałem prawie na pamięć. Jako dziecko zbierałem widówki Kremła. Gromadziłem fotografie, pocztówki, rysunki i reprodukcje. Zdobywałem je rozmaitymi sposobami, najczęściej drogą wycinania z prasy radzieckiej i polskiej. Nie przesadzę, jeśli powiem, że z zamiłowaniem studiowałem architekturę siedzib centralnych władz KPZR. Nierazko przenosiłem się tam myślami, błądziłem pustymi korytarzami, przez zamrażnięte okna spoglądałem na Plac Czerwony.

Zawsze zdarza się coś, co zatrzymuje mnie w połowie drogi. Zawsze pojawia się jakaś przeszkoda, która udaremnia mi dokonanie formalności. Spełnia się to z tek zdumiewającą nieuchronnością, iż z początkiem każdego tygodnia zadają sobie pytanie, co też nastąpi tym razem, co tym razem pokrzyżuje moje plany, jaki fakt przyczyni się do dezaktualizacji niektórych sformułowań.

W ubiegłym tygodniu wydawało mi się, że jestem bliski ostatecznego rozwiązania. Świetlisty kształt definitywnych akapitów dojrzał we mnie, byłem pewien, że lada dzień zdotam go utrwalić, postanowiłem, że tym razem nie będę zwlekał, jednego dnia napiszę i dokonam niezbędnych poprawek, następnie przepiszę na czysto i zaniosę wprost do komitetu. Byłem pewien, że tym razem się powiedzie, środa, czwartek, powtarzałem sobie, środa, czwartek i będzie już po wszystkim, odczuwałem radosne podniecenie, świetlisty kształt końcowej argumentacji wzmagał się we mnie, pionał coraz wyraźniej, odcyfrowałem już kształty pojedynczych słów, w poniedziałek odkurzyłem i wypastowałem biurko, we wtorek miałem zamiar naszykować papier i przybory do pisania, i zrobiłem to nawet, tak, zrobiłem to, naszykowałem papier i przybory do pisania, i właśnie wtedy, gdy w miarę zadowolony przypatrywałem się prostej kompozycji przedmiotów leżących na zielonym suknie, przez radio podano wiadomość o śmierci towarzysza Susłowa. Wysłuchałem tej wiadomości i ujrzałem całkiem wyraźnie jak tekst od dłuższego czasu wzbierający we mnie, torujący sobie we mnie drogę, rozjaśnia się gwałtownym blaskiem, staje się na ułamek sekundy czytelny i zaraz potem ktoś przekłada go na niezrozumiałe hieroglify ognia, płonie, spala się, rozsypuje i gaśnie. Wysłuchałem wiadomości o śmierci towarzysza Susłowa i zrozumiałem, że w tym tygodniu nie napiszę podania ani nie oddam legitymacji. Z przeraźliwą jasnością zrozumiałem, iż z tej garstki po-

pieku, którą poruszają teraz wewnętrzne poddmuchy, niczego już nie odcyfruję, w nic jej nie obrócę, ale to potrwa, potrwa masę czasu. Oczywiście pomiędzy śmiercią Suszowa a moimi rozterkami nie było i nie ma żadnego związku. Powstrzymałem ostatecznie kroki dlatego właśnie, aby związek takiego nie sugerować, nie oznaczać, nie tworzyć. Bo przecież gdybym oddał legitymację akurat wtedy, gdy on nierzeczywisty i ścisty leżał w jednej z sal konferencyjnych Kremla, byłoby tak, jakbym usiłował się z nim zbratać, jakbym legitymacją partyjną zaznaczał swą obecność, jakbym stukając zbacząc tę legitymacją przerywał żałobne milczenie. Może nie wszyscy by to zauważyli, ale z pewnością kilku co wrażliwszych towarzyszy pojęłoby niestosowność sytuacji. Poza tym gdy ja pezeń najlepszych chęci i świętego zapasu przez cały ponie-działek odkurzałem i pastowałem biurko, on już nie żył.

\*  
\*  
\*

Czy Towarzysze zauważyli, iż ilekroć ktoś z bratniego kierownictwa odchodzi do krainy spełnionej kolektywizacji, śmierć jego nie od razu zostaje ogłoszo-na? Sędziwi członkowie politbiura, żywi, wypielęgnowani, wymasowani przez kirgiskie masażystki, wykąpani w kaukaskich źródłach suną ku martwemu towa-rzyszowi, który choć martwy to przecież poza murami twierdzy żyje jeszcze, przez kilkanaście godzin jego śmierć nie opuszcza Kremla, dokonają wprawdzie swego dzieła, ale też jej los od żywych teraz zależy, dokonają swego dzieła, ale też tkwi na razie w syberyjskiej architekturze niczym w śmiertelnej, tak, tak, śmiertelnej pułapce. Jej kilkunastogodzinny areszt to istne święto mocy, to tryumf władzy najejniejszej, to realne przewyciężenie tego, co zdawało się nie podlegać niczemu. Członkowie nie spieszą się, śmierć zabrała jednego z nich, oni jednak jako kolektyw zyskali nad nim przewagę, drocząc się z nią, osaczają, zwlekają, szepczą, jest na razie niegroźna, choć wszyscy dopływają do kresu, choć wszyscy od żadnych paru lat są z nią oswojeni, choć ich kruche ciała lada moment zófkną i zesztynieją, nie nastąpi to przecież w ciągu najbliższych godzin i dni, nie stanie się to równocześnie, do krainy spełnio-nej kolektywizacji wstępuje się kolejno, w przyzwolitych, wyznaczonych rachun-kiem prawdopodobienstwa odstępach czasowych, przez najbliższych kilka dni są bezpieczni, panują nad kostuchą, na razie trwa to niedługo, kilkanaście, kil-kadziesiąt godzin czystej, boskiej władzy, na razie niedługo, ale być może kiedyś ulegną pokusie, i gdy odejdzie jakiś wielki towarzysz, jakiś sekretarz faraonowego formatu, zatrzasną się na zawsze bramy Kremla, śmierć zostanie podporządkowana na wieki i poza wszelkimi wątpliwościami.

\*  
\*  
\*

Towarzysze! Mój dziecienny entuzjazm i wiara były /niczym w porównaniu z entuzjazmem i wiarą Starych Bolszewików. Oni miewali osobiste kontakty z wybitnymi działaczami, hartowali się w bezpośredniej walce z kontrrewolucją, krótkie uloty spędzali na Krymie. Ja należę do innego pokolenia. Ileż to razy w gronie rówieśników rozmawialiśmy o posłannictwie naszych dziadów i ojców, którzy byli członkami PPR-u, PPS-u czy nawet zrehabilitowanej KPP. Zrozpa-cheni podobieństwem naszych dusz i ciał, odwoływaliśmy się do tamtych przyna-leżności jakby w nadziei, że poróżni nas genetyka. Gdy przed paru laty /zanim zostałem pracownikiem naukowym/ poszukiwałem zatrudnienia, we wszystkich instytucjach, które odwiedziłem, opowiadano mi o wytrawnych organizatorach, doświadczonych majstrach i porywających mówcach, którzy właśnie przeszli w stan spoczynku. Prowadzono mnie przez wydłubione sale, pokazywano nieczynne warsztaty i puste rzędy krzesel. Jeszcze rok, je-szcze kilka miesięcy temu trwały tu gorączkowe dyskusje, huczały maszyny, przekraczano plany. Towarzyszący mi emerytowani strażnicy kurczowo ścisłali

moją dłoń. Dobrze, że jesteście, teraz właśnie młodych trzeba. Weźmiecie to wszystko w swoje ręce. Przyprowadźcie kolegów i od jutra ruszamy na nowo. Zobaczymy. Zrobimy rzeczy, które będą się jeszcze liczyć. Nigdy nie starczyło mi odwagi, aby odmówić. Zgadzałem się na wszystko. Kiedy odchodziłem, na twarzach strażników pojawiał się grymas pogardliwej niechęci. Nawet ich spojrzenia były przenikliwsze od moich deklaracji ideowych.

\*  
\*  
\*

Szukałem pociechy w literaturze. Przeczytałem sporo książek przedstawiających współczesne życie. Nigdzie jednak - a niektóre z tych książek były grubymi realistycznymi powieściami - nie spotkałem słowa: partia. Miałem wrażenie, że literatura nie używa tego słowa. Raz tylko w tygodniku literackim trafiłem na opowiadanie opisujące perturbacje zarobkowe młodego inteligenta. Gdzieś w samym środku, w najbardziej skrytym miejscu tekstu znajdowało się zdanie: "Wstał pił do partii". Przedtem i potem była mowa o czym innym, i sprawiało to wrażenie, że zdania sąsiadujące napierają na tę kłopotliwą informację, która jeszcze dryfuje resztkami sił, lecz wkrótce zniknie pod powierzchnią. Wszelkowiedzący narrator mówił w tym miejscu z pośpiechem, niedbale i mimochodem. Nie przemilczał jednak tego wyznania. Choć jego braku nikt by oczywiście nie zauważył.

\*  
\*  
\*

Towarzysze! Już w pierwszych dniach mojej przynależności organizacyjnej zrozumiałem, że nie podobałem obowiązkowi i posłannictwu, zrozumiałem, że pomimo szczerych chęci nie stanę się pełnowartościowym, aktywnym i - jeśli można tak powiedzieć - pełnokrwistym członkiem Partii. Zrozumiałem to biorąc udział w pierwszej w moim życiu niedzieli czynu partyjnego.

Niewielka grupka towarzyszy z sąsiedniej placówki badawczej porządkowała dziewicze tereny wokół obserwatorium astronomicznego. Rano spóźniłem się na miejsce zbiórki i pojechałem do pracy nie z Wami Towarzysze, lecz z bratnią POP. Towarzysze tych znałem słabo, oni zaś nie wiedzieli, że należę do organizacji od kilku zaledwie dni. Sama moja obecność była jednak dla nich wyjątkową gwarancją i odnosili się do mnie jak do starego, wypróbowanego druha. Szlachetna fizyczna praca, bezruch powietrza, pierwotna zielen trawy oraz fakt, że jest wśród nas jeden z gospodarzy obserwatorium, a więc człowiek bezpośrednio obcuający ze sprawami zaświatowymi, wpłynął na wszystkich uniwersalizując. Towarzysze starali się okazać serdeczność, każdy z nich znajdował chwilę czasu, aby na osobności zadać astronomowi pytanie, co sądzi o książce *D z i e c i w s z e c h g w i a t a*, on zaś odpowiadał uprzejmie, ze swadą i swobodą ludzi, którym udało się pokonać jakiś ułamek rzeczywistości. Poobliskie miasto oddaliło się od nas, w jego poszarżanych odmetach spoczywał odnaleziony na klatce schodowej trup studenta polonistyki, śpiewano pieśni kościelne, łopaty pracujących wykonywały rytualne gesty; w dzielnicy przemysłowej poświęcano nowy kościół, mówiono o przepowiedni, według której koniec świata powinien nastąpić lada chwila.

Sprzecznosci nie miały jednak apokaliptycznego charakteru, miejsce i nastrój sprawiły zresztą, iż zniknęły z pola wyczułonej świadomości najbardziej nawet doświadczonych towarzyszy. Zaczął padać ciepły deszcz, usiedliśmy na tarasie obserwatorium rozgryzani pracą, pełni werwy i chęci do rozmów. Członkowie bratniej POP bez skrępowania mówili o sprawach wewnątrzpartyjnych, ufnie zwierniali się ze swych ideologicznych rozterek i organizacyjnych trudności. Zaskakiwała mnie ich szczerota, brak podejrzliwości, beztroska wobec sił zewnętrznych. Uświadomiłem sobie, że nie powinienem ich słuchać, że nie zasługuję na to, aby ich słuchać, zrozumiałem, że nie jestem i nigdy nie będę na ty-

le pogrążony w robocie i oddany sprawie, abym mógł docenić i zwracać się z ich zaawansowaną świadomością.  
Towarzysz Świdwa opowiadał o powołaniu, z jakim udało mu się powstrzymać studencką demonstrację. W pierwszym odruchu wziętem go za funkcjonariusza się wewnątrznych. Zaraz jednak odezwałem tę myśl od siebie, postąpił przecieć tak, jak powinien postąpić członek partii, przyjął postawę aktywną, wykazał w danej sytuacji daleko idącą dojrzałość, to raczej ja, słuchając go, nie byłem w porządku, to ja stawałem się kimś w rodzaju tajniaka, który bezpiecznie i niepostrzeżenia wpiełż do szeregów. Oczywiście działo się to niejako mimowolnie, bez moich złych intencji, należałem do partii od kilku dni i było rzeczą naturalną, iż owych kilka dni nie zdolało przewazyć reszty mojego bezpartyjnego życia. Wtedy jednak, w ową duszną, majową niedzięłą czynn partyjnego zrozumiałem, iż co najwyżej będę członkiem partii, nigdy zaś nie stanę się członkiem partyjnym. Zrozumiałem też wtedy, iż nawet jeśli kiedyś wystąpię z partii i oddam legitymację, będę jedynie byłym członkiem partii, nigdy zaś nie będę byłym komunistą.

Towarzysze! Nie ukrywam, iż pragniałem, aby to piękne miniaturowe wydawnictwo, jakim jest legitymacja partyjna, stało się dla mnie gładem wiecznego bezpieczeństwa. Zdaje sobie oczywiście sprawę, że spomiędzy tych stroniczek tryskać powinno źródło wielkiego obowiązku i odpowiedzialności. Czy było jednak w tym, iż dla mnie źródło to stało się delikatnie pulsującym źródłem świętego spokoju, coś aż tak sprzeczne i niegodne? Czy naprawdę w partyjnych szeregach kroczyć muszą wyłącznie natchnieni rewolucjonisci, czy istotnie nie ma tam miejsca dla takich jak ja - towarzyszy bez wyrazu? Czy nie świadczyłyby to o sile organizacji - fakt, że przygarnia niezdecydowanych, niepewnych, słabych?

W pierwszych dniach stanu wojennego postanowiłem oddać legitymację bez dołączonego podania. Miałem nadzieję, że w zmienionych warunkach i w natłoku spraw towarzysz Palimur zajmujący się w komitecie problematyki kadr przyjmie moje ustne wyjaśnienia. Tyle wówczas słyszałem historii o płonących legitymacjach, o tonących legitymacjach, o szkryniach i koszach pełnych legitymacji, o posiadkach pokrytych dywanami legitymacji, o fabrycznych sadzawkach zarastających bordową rzęsą legitymacji, że wydawało mi się rzeczą bez znaczenia, jeśli i moja legitymacja trafi do tej powszechnej ławicy. Poza tym pisanie podań szło mi opornie, oszukując samego siebie przepisywałem dawne wersje, po długotrwałym okresie pisarskiej pogody, po mglistych i sprzyjających koncentracji dniach zabkwało słońce, kilkunastostopniowy mróz, niewielki śnieg i nieoczekiwanie czyste powietrze zachęcały raczej do długich spacerów, niż do ślęczenia nad pustą kartką. Mimo wszystko z pewną wahaniem włożyłem legitymację do koperty, obracałem ją w palcach, zastanawiałem się, czy nie należy jej zachować choćby ze względów kolekojonerskich, być może kiedyś - przeknęło mi przez głowę - książeczki te staną się bibliofilskimi rarytasami. Ubrałem się jednak, kopertę z legitymacją włożyłem do kieszeni, zabrałem też papier i długopis /jeśli trzeba by napisać krótkie oświadczenie/ i ruszyłem do Komitetu. Postanowiłem iść pieszko przez Kopernika, lubiłem tę cichą ulicę szpitali i kościołów, sprzyjała rozmyśleniom, była przeważnie pusta, tak było i teraz, jedynie pielęgniarka niosąca próbówki wypełnione krwią zbliżyła się do mnie, szła szybkim krokiem, poły czarnej peleryny unosiły się wokół jej ramion, miałem wrażenie, że czuję zapach jej skóry, spod błękitnego chatatu, białych podczoch i ortopedycznych butów promieniowała intensywna cielesność

charakterystyczna dla oswojonych z fizjologią przedstawicielek służby zdrowia, próbówki dzwoniły cichutko, spieszyły się jakby w obawie, że krew coraz ciemniejsza i gęstsza lada moment zamarźnie, jakby w obawie, że trzej żołnierze, którzy pojawili się nagle w ciemniejącej perspektywie, idą jej śladem. Skręciła w stronę chirurgii, oni zaś równym krokiem szli w moim kierunku. Im byli bliżej, tym większej nabierałem pewności, że jest to pierwszy dzień ich służby, zimowe mundury nie były jeszcze oswojone z ich ciałami, stukali obcasami jakby chcąc ockiełzać nowe obuwie, czynili to jednak z przyjemnością, pomiędzy nimi a ich mundurami widać było wzajemną skłonność, dobrze się czuli w tych pachnących składnicami rzeczach, w rynsztunku również - jeśli można tak powiedzieć - filmowa satysfakcja przydatności, był to wszakże sprzęt odłożony na czarną godzinę, wszystko mogło na wieczne czasy pozostać w magazynach, ulec zmarwnianiu, osobiwej demoralizacji szerzącej się zawsze wśród przedmiotów odłożonych na historyczną okazję, parę dni temu godzina wykorzystania ukrytego oręża wybiła jednak i teraz pomiędzy ludźmi i ich mundurami i i bronią zachodził uroczysty związek zgody.

Zasalutowali i poprosili o okazanie dokumentów. Dalej myśląc o zapachu pielegniarki sięgnąłem do kieszeni, trafiłem na kopertę i pojąłem, że mam przy sobie jedynie partyjną legitymację. Sprawdziłem jeszcze drugą kieszeń, usmiechałem się cały czas głupawym uśmiechem człowieka wachodu i zrezygnowany, ale też przekonany, że to zaświadczenie przynależności jest wisrygodniejsze od dowodu osobistego czy książeczki wojskowej, podesłem im kopertę. Jeden z nich, zapewne najstarszy rangą, wyłuskał ze środka legitymację. Oglądał ją nie zdejmując zielonych rękawic. Oglądał ją tak, jakby widział ten dokument pierwszy raz w życiu. Być może tak właśnie było, sam zapewne nie należał do partii, a jego należący do organizacji krewni czy znajomi z pewnością nie pokazywali mu swych legitymacji, nie nosili ich przy sobie, nie wyjmowali przy byle okazji. Oglądał ją w milczeniu i z ciekawością, ja zaś przeżywałem wielki kryzys wiary w jej moc i znaczenie. Miałem wprawdzie zamiar ją oddać, chciałem się jej pozbyć, ale przecież czynikiem to nie dlatego, bym wątpił w jej siłę, czyniłem to Towarzysze dlatego, iż wzbierające we mnie przeświadczenie o własnej ślamazarności, niegdecydowaniu, partyjnej nieprzydatności dojrzało wreszcie. To nie ja oddawałem legitymację, to ona odsuwała się ode mnie, odnosząc ją do komitetu służyłem jej jedynie czymś w rodzaju zwykłej ludzkiej pomocy, postępowałem tak, jak wobec przerastającego go symbolu postąpić powinien porządny człowiek.

Teraz jednak, gdy dowódca patrolu odczytywał moje imię i nazwisko, gdy przypatrywał się mojej maturalnej fotografii, uświadomiłem sobie, że jest tam po prostu za mało danych, że nie ma ani adresu, ani zameldowania, że jeśli nie liczyć pieczątki nacjerystycznej POP nie ma tam nawet miejsca pracy, czyżby miało to znaczyć - myślałem z trwogą - że moja legitymacja partyjna zawodzi w swej ostatniej próbie? Czyżby miała mnie - gdy potrzebuję tego jedyny raz w ciągu jej pięćdziesięcioletniego posiadania - nie oszonić? Czyżby można na jej podstawie zakwestionować moją osobę? Ale dowódca włożył ją do koperty, oddał mi bez słowa i wszyscy trzej zasalutowali. Odniosłem wrażenie, że nie jest to regulaminowy gest pożegnania, ale uroczysty salut oddany mojej legitymacji, która za kilka minut powróci do mrocznego padołu organizacji. Wydawało mi się, że żołnierze pojęli moje zamiary, ale wewnętrzne skrępcowanie silniejsze od regulaminu i służbowych nakazów każe im pozostawić mnie własnemu losowi. Szli w górę ulicy, w kierunku mostu kolejowego, nie oglądali się ani nie nachylali ku sobie, wyglądano na to, że milczą.

Towarzysza zajmującego się sprawami kadr niestety nie było. Na korytarzach panowała cisza a sztuczne światła stwarzały złudzenie panujących na zewnątrz ciemności. Szukam towarzysza Palimura, zaczępiłem wspinając się po achodach

kobietę o anatomii zdeformowanej przez doktrynę. Towarzysz Palimur będzie c siedemnastej, dobrze jednak towarzyszu, że już jesteście, zostaniecie na naradzie, po naradzie towarzysza Palimur przyjmie was w pierwszej kolejności, powiedziała spokojnie, patrzyła na mnie ze znaną mi od pamiętnej niedzieli czynu partyjnego organizacyjną ufnością, nie zauważała moich rozterek; w przeciwieństwie do żołnierzy nie odgadywała moich zamiarów, wieloletnie przemierzanie schodów w komitecie wyprało ją z resztek intuicji. Nie odpowiedziałam jej ani słowem, wyszedłem z pokrytego niezniszczalnym tynkiem budynku i wypatrując w płytkim śniegu śladów patrolu, który mnie legitymował, ruszyłem ku domowi.

\*

\* \* \*

Towarzysze! Mam wrażenie, że dzieło, które nieopatrznie rozpocząłem, przerodziło mnie, że nigdy nie uda mi się skończyć, wyplątać ze sprzeczności, nigdy nie napiszę ostatniego zdania, nie oddam legitymacji, nie wystąpię z Partii. Nie oznacza to jednak, że rezygnuję. Posegregowałem notatki, rękopisy, które do tej pory przechowywałem razem, umieściłem w osobnych teczkach. Pracuję mniej intensywnie niż dawniej, ale z większą systematycznością. Rządziej, ale mimo wszystko co pewien czas zapisuję nowe pomysły. Przerывam pracę tylko wtedy, gdy wiem od czego mam zacząć następnego dnia. Nie oddam legitymacji. Nie wystąpię z partii. Któregoś dnia zapełnię jednak papier konieczną liczbą argumentów, powiem wszystko bez zbędnych metafor, będzie to jasne i przekonujące, o tyle wyraźniejsze od bełkotu kotłującego się we mnie, iż sam uwierzę w to bez namysłu.

\* \* \* \* \*



## Z A M I A N A

### Pro uwolnieniu z internowania

Cały czas przekonanie, że mogłoby być inaczej. Jak? Tego nie wiadomo. Nikt nie wie. Ale na pewno: inaczej. Gdzieś w powietrzu od samego początku unosila się szansa na zmianę. Powtarzano: "musi się zmienić, nie może tak być, to tylko chwila, historia przysnęła, ale jak się obudzi...!" Tacy, co mówili, zresztą szybko ulegali. Może nie wszyscy, ale większość obudziła się nowej nadziei, a jak tej już realnie nie stało, wymyślali sobie świat nie taki, jakim był, ale jaki być powinien, by można w nim żyć i uznać go za świat. Świat, czyli rzeczywistość, czyli historię, czyli zmianę. Nie, że zgodzić się, ale uznać. Że jest, że w tę stronę zmierza. Mieć poczucie realności. Brzmi to mało optymistycznie, pachnie zdradą, wskazuje na minimalizm moralny i polityczny. Jest o krok od słynnej Realpolitik, która nad Wisłą równoznaczna bywała z oportunistami i kolaboracją. Tyle że aby zmienić, trzeba wiedzieć co, trzeba mieć rozeznanie sytuacji, realiów, przeprowadzić rachunek sił własnych i cudzych. Oczywiście, że to za mało i że z takiego nastawienia wynika niewiele. Motywacje realne są dobre dla pracowników banku, ale dla ideologów, ale dla ludzi historii, dla polityków... I tak gdzieś pod spodem realizm musi być podsyty wiara: że w ogóle można zmienić, że nie trzeba ulec, że konieczności można przetrząsnąć.

Łatwo się sprzeciwić: ot, polskie rzucanie się z motyką na słońce. Łatwo zrezygnować, zwiesić głowę, uznać nieodwołalność losu. Zresztą czasem niezłatwo, czasem wynika taka postawa z tragicznego braku perspektywy, z rozpacz, z bycia ze wszystkimi w jedności, razem. Jednostka choćby najdzielniejsza unosi wówczas w sobie daremność. Żal i frustracje swojej generacji, swojej społeczności, narodu, czasów, historii. Jest za blisko innych i zbyt związana, aby myśleć przeciwko powszechności, aby zmienić.

Tymczasem i na nowo, a właściwie jak zawsze, jest się samemu. Potracając nas inni, mówią do nas, spieszą się, wyciągają ręce, czasem /rzadko/ ckażują serce, ale jest się samemu. I na dobre, i na złe. Samemu nie jak atom, nie niczym drobina rzucona w bezmiar losu i pozbawiona wpływu na cokolwiek. Samemu, to znaczy w poczuciu świata, w poczuciu drugich, w rozumieniu historii i odnalezieniu się do walki z nią i o nią. Samotność jest wyborem: podejmowaniem wciąż na nowo, bezustannie rewidowanym i wyrosłym z dużych ciśnień. Naciśku czasu, naciśku systemu, idei. Jestem samotny w swojej istocie podstawowej, bo dopiero wtedy mogę wszystko uwewnętrznić i zrozumieć, i sprzeciwić się. Ale zarazem jestem sam, sby nim nie być, aby umocnić wspólnotę, aby odnajdując w sobie siły i racje ostateczne, umieć zdłżyć się nawet na kompromis, czyli sztukę bycia z innymi, czyli uspokojenie. Jeżeli umiem sięgnąć do siebie i jeżeli spadną na mnie wszystkie mistyfikacje, cała sieć zapośredniczeń uniemożliwiających widzenie rzeczywistości, miły duchowe i moralne, to dopiero mogę wierzyć w zmianę. Mogę przyjąć świat i zarazem nie zgadzać się na niego, mogę zmienić swój los i kształt historii. Bez tego, bez siły jednostki, skazanym się jest na nużące i w rezultacie mało proźne pozostawanie w sferze symboli, w sferze myślenia uproszczonego i zastępczego - od czego i tak uciec nie można. Kiedy myślenie zastępuje kwiaty i odznaki, i śpiewy, i płacz, w powietrzu czuć stabilizację. Pachnie trupem. Historia się mumifikuje i zastęga na długie lata. Lódrre regne à Varsovie. Wszystko sprowadza się w końcu do tego, że należy dotrzeć do siebie, po to, by lepiej być z innymi, stworzyć silniejszą i mądrą wspólnotę.

Zacząć od początku - od uznania i zgody na jednostkę, po to, by stworzyć jedność społeczną. W przeciwnym razie wciąż pozostaje się w naskórkowej łączności z innymi, w gromadzie pierzchającej ze strachu na widok wilka, w pozostawianiu

rze siły i w porzeczności myśli. W nieokreśleniu, które jest najbardziej dokuczliwe, zamazuje sytuację, nie pozwala zrozumieć, wyrzuca poza krąg rzeczywistości. Siedzi się okraczając po różnych stronach: i w tym, co możliwe, i co nierealne; i w świecie, i w jego zaprzeczeniu - chaosie. Wciąż poza, wciąż tak ście, wciąż bez przyjęcia konsekwencji tego, co być i być może, co będzie i co należałoby zrobić, aby być.

Nieustająca ferria, kotyliony, bal i zabawa w historię, zabawa w społeczność, zabawa w człowieka. Farsa? Nie, to historia, co stanęła dęba i powtarza po raz kolejny swoje błędy i chce być tragiczną, choć jest zaledwie groteską. Reductio ad absurdum. Ale to gorsze od absurdu, niż straszniejsze. Bo z absurdem wywiązać grozę, bo absurd został oswojony i przyswojony, i mówiony woląpką nonsensu, i czepiamy się fantomów, wciąż bez wiary w realność zmiany, wciąż bez nadziei. I żli na siebie, że nie wychodzi, i żli na innych, i rozdrażnieni wobec historii. Zapominamy o trzeciej cności, o miłości. I w tym absurdzie, który jest nasz, bo zgodziliśmy się na niego, niczym przez kosmiczną dziurę wyciekają wartości, tracimy oparcie, wreszcie giną ludzie. Już nie na niby, już naprawdę bezpowrotnie. Umierają i odchodzą, niektórzy na zawsze, inni na jakiś czas. Gina od kuli i od bezsensu, giną fizycznie, ale i umierają duchowo. Absurd wypiera wartości, rozpełza się po duszy, mrozi do szpiku kości i skrzeczy nad uchem: "nic z tego, już koniec nie ma szans, zmiany nie będzie, już tak na zawsze, myśl więc o sobie, wróć do siebie i dla siebie, zerwij z innymi, pluń na świat, społeczność, naród, ukurz się przed historią i uznaj konieczność - jesteś szaby, jesteś mój". A jednak mimo tego, przekonanie, że może być inaczej, że mogłoby się zmienić, spychane w podświadomość, wypierane, powraca i tłucze się po głowie. Inaczej, ale jak?

Od pierwszych dni internowania, te myśli były najboleśniej, nie pozwalały spać, gorsze od krat, od podłego jedzenia, od nudy i biegających zszurów, mogły być inaczej. Najpierw inaczej, to znaczy bez widzenia i bez staniu wojennego. W tym "inaczej" była zawarta niezgoda na obecny swój los czepiania się nadziei, i wiara że może na krótko, że strajki, że "Solidarność", że Europa, że cud...

"Inaczej", czyli poza kratami, bez gazowego światła i wystawionych strażników na "kogutkach", i rytualnego, upokarzającego "kipissu", wywracanych materacy i chowanych w prawej skarpetce notatek. W tym "inaczej" zawarta była niezgoda i protest moralny i fizyczny - niemożność pogodzenia się. Wszystko wołało do świata, do tego co na zewnątrz, do działania. Tymczasem trzeba było dzień i noc siedzieć, bądź leżeć, gdyż ciasnota nie pozwalała już na nic innego, i być z innymi, kiedy ze samym sobą nie można było się uporać. Rozlatana myśli - rozbiegane oczy nie były tylko skutkiem stresu więziennego i początkiem choroby "samknięcia", klaustrofobicznego lęku przed kratami i stalowymi drzwiami, i dziecięcych, powstałych w mroku nocy strachów przed pustką - one wynikały z pytania podstawowego: czy może być inaczej i jak może? Z pytania: dlaczego? Dlaczego ja i dlaczego my, dlaczego cni i dlaczego Polaka, dlaczego tegoż, teraz jest tak i co dalej?

Było strasznie, bo nakoło osiaki się absurd, ale absurd był i w nas. Nie, nikt się nie bał, a w każdym razie mało kto, nie chodziło teraz o siebie, o swoje życie, własny los. To się skończyło nocą z 12 na 13 grudnia. Ale powstawało naturalne i w sytuacji więzienia szczególnie żywe poczucie niesprawiedliwości istnienia. Przekonanie wyrosło z absurdu, że powinno się być gdzie indziej. Gdzie? Nie wiadomo, ale nie tutaj. Niezgodą, totalną niezgodą na wszystko, na życie, na historię, na los, na siebie wreszcie.

I cały czas poza sobą, niby to była próba ratunku, niby tak trzeba było, aby nie przerazić się raz na zawsze i nie zamilknąć, ale i zarazem schizofrenia. Odłączenie duszy od ciała. Dusza buja w chłokach, jeszcze żyła pospiesznie czas wolności, czas pamiętany i utraczony, czas ssa bramy... Ciało gnusnieje, rozkłada się z braku witamin, degeneruje od ukrytych chorób, które

dopiero teraz ujawniają swoją moc. Wrzody i nerki, płuca i serce, nerwy i kości, wątroba i dusza, zęby i włosy. Wszystko jęczało, biło się ze sobą, cały organizm wrzał, płakał po nocach, bolał cuchnął potem i źle trawionym smalcem czy margaryną. Ciało pęcznieło i nabrzmiawało z głodu i z nadmiaru chleba, z bezruchu i bezmyślenia. A dusza była poza, duszy nie było.

Dualizm, który wynikał z rozpadu świata... I z utraty pewności. Odtąd rzeczywistość zaczynała się na nowo. Nie tylko dla internowanych - również dla każdego z tych, co pozostali nietknięci przez represje. Na tym polega siła i niszcząca wszechmoc współczesnej władzy. Punktem oparcia mogła być wiara w Boga, metafizyczna perspektywa uwidaczniająca w tym, co zdawało się teraźniejsze i przypadkowe - wiecznotrwały i ponadustrojowy sens. I świadomość, że to nie jest bellum omnium contra omnes.

Wojna, w której trudno byłoby się doszukać stron, wojna bez wyraźnego frontu, gdzie nawet i ci, którzy wsadzali do więzień, robili strajki, stali na strazy w obozach i jeździli czołgami po ulicach, myśleli podobnie o ich ofiary. Może nie wszyscy, może zdarzali się ciemni i prymitywni, ale i tych trudno uznać za stronę w sporze - co najwyżej za narzędzie, za ślepych wykonawców. Kto był za nimi, czy była jakaś siła, mózg, co kieruje i co kontrolował całość?

Bywały chwile, kiedy zza murów Białołęki, Strzblinka, Potulic, Wierchowa, Olszynki i Jaworza wydawało się, że na świat wychynęły demony, tajemnicze bakcyle zła, metafizyczni rycerze ciemności - niezidentyfikowani i bez tożsamości, którzy sami nie wiedzą czego chcą i dokąd idą - zaledwie będąc przedłużeniem innych sił i zewnętrznych wobec siebie reguł. Oczywiście taką interpretację można uznać za uciekanie przed racjonalną analizą, za mitologizację realnych przyczyn i układu sił oraz gry interesów. Można by... ale zbyt często to, co miało być racjonalne i wynikał z jasnych/raczej ciemnych/motywow, okazywało się nieracjonalne i pełne groteskowego "życia na niby". Absurd, który dotykał po równo wszystkich. Jedyne jak dotąd i pełne zwycięstwo w naszym kraju idei egalitarnej.

Może z tego brała się gwałtowność klęski, dokonany niemalże w kilka godzin rozpad tkanki społecznej, instytucji związkowych, państwowych i partyjnych. Klęski "Solidarności" i klęski partii, klęski narodu i klęski ideologii. Na naszych oczach przestał istnieć świat form. To prawda, że wiele z nich było od dawna - może od początku swego istnienia - pustych, że mało kto na nie zwracał uwagę, że nie mobilizowały ani do myślenia, ani do czynów. Jednak były, stanowiły zapórę przed nicością świata bez zasad. I pozwalały na wybór. Można było je przyjąć, odrzucić, uwzględnić częściowo bądź zneutralizować. Nagle przynęły, a na ich miejsce nie powstało nic nowego.

Klęska "Solidarności" brała się również i z tego, że nie miała w kogo i w co uderzać, że nie dochodziło wbrew uruchomionym obrazom stricte wojennym i częstej presji propagandy do bezpośredniego starcia, że nikt nie wiedział, co dalej i przeciw komu. Pustynia powstała po 13 grudnia uniemożliwiła walkę i zamazywała wszelki kształt, uniwyrażniała i broniła historii przed wartościami skuteczniej od batalionów ZOMO czy brygad specjalnych. Mgła, typowo polska mgła ogłębności, aluzji, niedomyślenia i niedoczytany obłąkają wszystko i wszystkich. Jeszcze najprościej i najjaśniej żyło się w więzieniu.

Internowanie, pamięając płynące z niego delegliwości psychiczne i fizyczne, zapewniało swobody komfort moralny. Zauważony zresztą od razu przez wszystkich. Także i tych, co wydali nakazy internowania, a nade wszystko przez społeczeństwo. Niewspółmiernie do znaczenia poszczególnych ludzi i wcale niezależnie od zapotrzebowania narodowego na martyrologię i od utrwalonej w świadomości polskiej schematów "cierpienia za sprawę" - internowanie stało się rodzajem indygenat schabickiego. Internowani, przynajmniej na jakiś czas, dzierżyli rząd dusz. Byli "zamiast". Uosabiali sobą i swoim zamknięciem formę, której nie było nigdzie i którą poszukujący naród utęszamiał z nimi i uosobił.

w ich sytuacji. Oni byli jedynymi, którzy mieli poczucie sensu /nadane zresztą z zewnątrz/ i poczucie granic moralnych i fizycznych. Mur oddzielający od reszty Warszawy obóz w Białołęce zarazem łączył silniej niż cokolwiek internowanych i resztę społeczeństwa. Bo też społeczność uznawała internowanych za swoją najistotniejszą część, za pełnię własnego czynu, którego zabrakło na zewnątrz i za reprezentantów sensu i ładu, o która chciałoby walczyć, gdyby potrafiło i gdyby było jak i z kim w tej polskiej drodze de guerre.

Na krótki moment państwo, naród i cała normalność życia według prawa i zasad istniały jedynie za murami więzień i obozów. Co ciekawsze, symbolem dążeń i marzeń społecznych nie stały się aresztowanie ani skazanie na długoletnie więzienie, czyli rzeczywiście męczennicy narodowi, ale właśnie internowanie - stosunkowo łagodna i eufemistyczna formuła prewencyjnej izolacji i tymczasowego aresztu. Może zdecydował o tym prostszy i łatwiejszy kontakt z mieszkańcami obozów, a może jeszcze bardziej kryterium izolowania, którym była potencjalność i możliwość działania, myślenie. Skazani za konkretny czyn, "dekretowcy", jakby już spełniali siebie było wiadomo, co zrobili i za co cierpieli, w przypadku internowania czynu nie było, a tym samym mógł być albrymi, potencjalnie heroicyzmi i bezprzekładnie wielki. Mógł być czynem na miarę społecznych życzeń i narodowej frustracji.

Internowani stawiali się w odbiorze społecznym coraz bardziej ludźmi z marzeń, ulepiono ich po to, by wyznaczyć świat i odnaleźć nocrną i zarazem złożono na ich barki ciężar, którego żaden żywy człowiek nie może udźwignąć. Byli niczym romantyczni poci niosący przeznaczenie narodowe. Widziano w nich Prometeusy, dzięki którym naród nie powróci do epoki ciemności.

Łatwo się wzdrzygnąć na tego rodzaju życzeniowe, wręcz magiczne myślenie i na oczekiwanie o baśniowej proweniencji. Łatwo cdeśkać społeczeństwo polskie do szroko realistycznego myślenia i wzruszyć ramionami nad jego niedojrzałością. Tyle że w sytuacji, gdy nie było programu na "tak" i na "nie", gdy historia ujawniła z nieszykłą w XX wieku oczywistością, że prowadzi donikąd i że obraca się w chaos, i że nie ma na celu ani zasad, ani nawet nie jest koniecznością, a jej jedynym zadaniem jest odebranie wiary i nadziei, i przekreślenie możliwości, Polacy musieli stworzyć sens na nowo, musieli odbudować zniszczony dom wartości. Zaczęli, jak często u nas, od wartości stworzonej przymusem, od tego, co zrodziło się w narzuconej sytuacji jako wynik presji świata.

Internowanie stało się fundamentem odbudowy społecznego gmachu prawa i nadziei. Na razie jedynym fundamentem, gdy potrzeba jeszcze murów i drzwi, i okien, i wreszcie dachu. Internowanie okazało się więc nie tylko początkiem stanu wojennego, ale i początkiem odrodzenia. Zarówno dla tych, co przez nie przeszli, jak i tych, którzy byli świadkami z zewnątrz.

Internowanie w nocy z 12 na 13 grudnia przebiegało niejednokrotnie w dramatycznych okolicznościach. Wyciągano ludzi na mroz bez ubrań, rozbijano zamknięte drzwi, straszono i bite, przewożono w ciasnych samochodach do nie zawsze ciepłych cel. Miało to zastraszyc, zmiękczyć i stać się początkiem zniszczenia społecznych więzai. Internowanie miało być godziną zero, której wartość z biegiem czasu miała spadać aż do ujemnej. Stało się inaczej. Nastąpiła zamiana znaków. To, co miało być ujemne, w społecznym odczuciu niosło wartość dodatnią, rosnącą z dnia na dzień. I niezależnie od zachowań poszczególnych internowanych - internowaniu został przydany walor mityczny. Zostało przeniesione w sferę narodowych symboli, obok chorągwi, feretronów, znaków zwycięstwa i klęski. I choć to nużące, i czasem nawet śmieszne, nie można porażdzić. Społeczny mit i duchowy symbol są na dziś przynajmniej nie do zakwestionowania. Zamazana przestrzeń narodowego działania potrzebuje konturów. Od dwóch wieków aż po dzisiaj kontury najostrejsze polskiemu losowi rysuje cierpienie, śmierć i więzienie. Po 13 grudnia wiadomo, że do systemu wartości narodowych przybyło internowanie.

Wychodząc z miejsca internowania uświadczymy sobie - nie od razu - że

naprawdę jestem wciąż jeszcze tam. Nie tylko przez myślenie o pozostawionych kolegach i wiedzę oraz doświadczenie blisko 11 miesięcy obozowych. Nade wszystko z powodu niesionych przeze mnie obciążeń mitem i uosobienie symboliki narodowej. Dla spotykanych ludzi niezależnie od tego, jak mocno i na ile cięszą się szczerze z ujrzenia mnie, przestałem już być tylko sobą, indywidualnym przypadkiem, człowiekiem wreszcie z krwi i kości. Zostałem częścią sprawy, drobiną mitycznego świata, jedną z cegiełek odbudowanego domu polskiego.

Zostałem uniezwyčajniony /w odbiorze ludzkim/, a zarazem zamieniony. Jestem zamiast czegoś i zamiast kogoś.

Byłem zakładnikiem społeczeństwa dla władzy, po wyjściu zamieniono mnie w zakładnika przyszłych form ustrojowych i społecznych, oczekiwanych przez społeczeństwo. Można to odrzucać, uciekać. Za późno.

W nocy z 12 na 13 grudnia zabrali nas z domów nieznanymi mężczyznami. Jak dotąd nikt z nas nie powrócił. W zamienionej rzeczywistości w zamienionym kraju również i ludzie są zamienieni. 13 grudnia Polska została zamieniona. Na razie jeszcze nie wiadomo dokładnie w co. Zamiana trwa.

\* \* \* \* \*

### SIEDEMNASTOLETNI

Franz Schubert, siedemnastoletni, siedemnastoletni, wyrostek, pisze muzykę do skargi Gretchen, rówieśnicy, "Meine Ruh'ist hin, mein Herz ist schwer". Wielki zowca talentów, śmierć, natychmiast zwraca na niego życzliwą uwagę. Wysyła zaproszenia, jedno po drugim. Jedno. Po. Drugim. Schubert prosi o wyrozumiałość, nie chce przychodzić z pustymi rękami. Nis wypada odmówić. W czternaście lat później odbywa się jego pierwszy koncert po drugiej stronie. Recenzje są nieskończenie pochwalne. Dlaczego jasność zabija. Czemu siła oślepia. "Meine Ruh'ist hin, mein Herz ist schwer".

### PORÓWNIANIA

Tylko porównania /wieczór jak ciepły oddech maku, księżyc, skrzydło gołębia/, tylko porównania, córki prawdy i kłamstwa, nieszczęśliwej pary, sprawiają, że świat staje się puszysty i przez moment widzisz drogę, której nie ma, ale na pewno powinna być i jest, jak pierścionek zawinięty w chustę.

### CZEREŚNIE

W sierpniowe popołudnie stary mężczyzna wychodzi na spacer. Jego rówieśnicy już nie żyją. Przyjaciele i wrogowie, dłużnicy i wierzyciele. Jest sam. Ma na sobie odświętne ubranie, chociaż to jest powszedni dzień i nawet nie rocznica któregoś z powstań. Idzie wolno, ach jak powoli. Krok za krokiem jego laska wyprzedza go nieznacznie. Za nią posuwa się znoszony but, ręce, krawat, na końcu głowa, niepokonany władca. Nie myśli o porażkach i zwycięstwach, ani o samotności. Przypomina sobie koszyk czereśni, białych z ciemnymi rumieńcami, które przyniósł mu kiedyś sąsiad, pan Kulicki. Liczy te czereśnie. Dodaje do siebie. Pamięta dokładnie ich wspomniały, niezrównany smak, szodki i kwaśny jednocześnie. Są wieczne, nic ich nie zniszczy, ani robak, ani złociste szpaki. Białe z ciemnymi rumieńcami.

## D Y N A S T I E

Późnym wieczorem wpadłem w popłoch: a gdzie brulion? I gdzie kostka? - bo długopisy były, choć miałem ich za mało. Zadzwoziłem więc do Gienków - i Nina zapewniła mnie: będzie brulion, będzie kostka. To ten właśnie brulion - i ta oto kostka.

By stworzyć świat trzeba ponazywać jego elementy /nazwanie całości - to za mało/. Będą nosiły imiona i nazwiska rodowe, imiona męskie i żeńskie. Czy mogłyby jednak nazywać się inaczej? Zamiast sugerować ludzi - ewokować obraz termitów? Chyba nie termitów jednak, bo w świecie "Dynastii" panuje wyłącznie dwupłciowość. Może są to zwierzęta? rośliny? kamienie? /czy kamienie mają ośrodek? a jakby się rozmnażały?/, kosmici? Elementy oznaczone parzyście i nieparzyście? A i B? X i Z?

Zacząć trzeba by od Adama i Ewy. Ryłoby to modelowo najprostsze i wspierające: śledzić rozrost ludzkości, nadawać po kolei imiona. Czy jeśli z rzutu kostką wypadnie szóstka - będzie to znaczyć, że mieli sześcioro dzieci? Czy jeśli parzysta ilość oczek oznacza mężczyznę, a nieparzysta kobietę /a może na odwrót? i czy feministki będą mi miały za złe, że Parzystość wybrałem dla mężczyzn, a Nieparzystość dla kobiet? Może będą myślały, że Parzystość jest łaskawiejsza, więc Nieparzystość oznacza nową dyskryminację? Może dwójka jest z natury lepsza od jedynki i trójki? - mam potem łączyć ich w pary? A dlaczego właśnie w pary? Jeśli już kazirodczo - to czemu nie promiskuitycznie?

Promiskuityzm odrzuciłem jednak. Niezupełnie ze względów moralnych, chociaż oczywiście model kulturowy, w zasadzie monogamiczny /jeśli nawet niedokładnie/, też odegrał być może pewną rolę w tej decyzji. Przyczyną była jednak raczej matematyczna. Jeśli gra nie wymagała wstępnie - to pełny promiskuityzm jest utopią. Ile np. przy populacji 100-osobowej /50% mężczyzn, 50% kobiet/ wypadnie kombinacji? Jasne: 50<sup>2</sup> = 2500. Jeśli założymy, że w historii jednego pokolenia kobieta A<sub>1</sub> i mężczyzna B<sub>1</sub> mieliby szansę mieć w ten sposób ze sobą choćby jedno dziecko /jakim cudem? jak długo w moim świecie kobiety mogą być płodne?/, a szanse zrealizowałyby się w 50% - już w następnej turze będzie 1250 osobników, po 625 na każdą z płci - i gra zatka się. Nawet brulionu zabraknie. W dodatku w warunkach promiskuityzmu nie ma sensu mówić o ojcostwie. Oto wpływ matematyki na moralność: żadnego promiskuityzmu! monogamia, wierność małżeńska, pater semper certus.

Czy można z tego pośpiesznie wyciągnąć wniosek, że drogą do uzdrowienia /w duchu tradycyjnym/ moralności seksualnej jest nauka matematyki? Trudno odpowiedzieć na to pytanie, a obserwowanie /jakie tam obserwowanie! albo plotkują! o człowieku - albo nie/ matematyków raczej niewiele daje.

Więc nie Adam i Ewa. Bez kazirodztwa i promiskuityzmu! Raczej purytańsko. 24 pary protoplastów, 24 rody.

Jeśli ród - dobrze byłoby, by nosił jakąś nazwę. I jeśli byłaby to "gens lulia", "gens Cornelia", "gens Tullia" - zeroiłoby się od tego. Co za kłopot jednak! Wzzymanie dawali sobie jakąś radę dysponując niewielką tylko ilością imion - tak jak Chłirczycy dysponują niewiele nazwiskami. Co za kłopoty musiały mieć policja! Pytanie, ilu było jednocześnie Marków Tulliuszów Ciceronów /licząc oczywiście wraz z klientami rodu? Nawet patronimicum mogło by się okazać zwodne "Marek Tulliusz Cicero, syn..." - ale czym synem był właściwie wielki Cicero, do diabła? - i w dodatku to coś jak u nas w areszcie śledczym na Mokotowie: Jan Józef Lipski syn Romana; i tak Zaska Boska, że nie Romanowicz/.

Czy nie mam jednak większych zmartwień, niż funkcjonowanie rzymskiej po-

licji? Nadają imiona i nazwiska rodowe mym stworom. Oraz tytuły arystokratyczne.

Nie będą chodzić w togach ani frakach. Ale jak w takim razie? Czy ich kostium pozostanie "miejszem niedookreślenia", jak nazwałby to Ingarden? W każdym razie jest to najdalej średniowiecze, feudalizm europejski: książęta, margrabiowie, hrabiowie, baronowie. Pozwala to wprowadzić skomplikowany mechanizm dziedziczenia tytułów, bliższy brytyjskiemu, niż kontynentalnemu, ale jednak nieco inny.

To już nie promiskuityzm pierwotnej gromady - ani zasawowanego, aż po próg rozkładu, społeczeństwa późnoindustrialnego. Przeciwnie. Wiadomo kto z kim - a pary kojarzą się według kilku żelaznych reguł, nie z potrzeby serca, pokrewieństwa dusz lub sex appeal /natomiast przypadek - zależny od rzutu kostką - rządzi tu "w ostatecznej instancji"/.

Czy moje ludziki wiedzą, że steruje nimi w tej dziedzinie ich życia kilka prawideł, silniejszych i bardziej bezwarunkowych niż jakiekolwiek znane dotąd w historii reguły życia społecznego? Pewnie wiedzą, bo są czelakopodobni, zauważyli więc mniej więcej w czym rzecz. Może opisali to w swoich księgach, jedni dziwiąc się mądrości Bożej /nie wiedzą, biedacy, że to ja, który bogiem nie jestem, tak ich powożę do kaleskiego, ni jakiego życia/- drudzy ją przeklinając. Są pewnie i tacy, którzy się buntują. Którzy nie wierzą we mnie!

Nie od razu zauważyłem ich bunty.

Gra w miarę komplikowania się wymaga napięcia uwagi. Mechanizmy kojarzenia małżeństw, dziedziczenia i nadawania tytułów, nadawania imion, dzielenia spadków, itd. są tak skomplikowane, że pomagają sobie trzeba sportządzaniem długich spisów /a więc raczej urzędnik administracji państwowej czy nadpaństwowej - niż Bóg/ i systemem krzyżowej kontroli. Ale zdzierają się pozyski. Powiniennem płacić za nie jakąś karę, ale wzbogacanie reguł gry o autorepresję przekracza jednak moje możliwości psychiczne. Pozostaje więc tylko niezadowolenie z siebie - i ślad błędu w księdze.

Już wszystkich książąt i margrabiów pokojarzyłem - pytanie, czy ku ich zadowoleniu. Amator eterycznych blondynek dostał za żonę tęgą, mataśliwą brunetkę - a baronówna, dla której gra milczna nie może się obyć bez muzyki - dostaje za męża chama margrafa, który cały dzień albo poluje, albo pije piwo ze swą drużyną, podszczypuje, albo i coś więcej, dziławki dworskie, a potem wwała się zmęczony do sypialni i nawet jeśli zauważy żonę i dojdzie do wniosku, że to też niezgorza kobieta - to o muzyce słyszeć już w żadnym razie nie chce. Po co? Zresztą nie ma słuchu ani kultury, również muzycznej.

W dawnych, tzw. dobrych czasach, gdy trafił się taki mąż - to trafił się też, choć pewnie nie zawsze, jakiś muzykalny /choćby trochę/, choćby w przybliżeniu/ giermek lub paź. Po tym wynikały komplikacje, loch, kat, pas cnoty itd. - ale mimo wszystko było to mniej beznadziejne.

Może jednak i tu trafia się wówczas giermek, który umie zastąpić margrafa przy żonie - tylko ja nie o tym nie wiem? Tak, nie jestem wszechwiedzący, po prostu nie mogę w mej grze przekroczyć pewnego progu komplikacji, bynajmniej nie oszaleńczego. Nie jestem wszechwiedzący: nie znam na ogół "miejsca niedookreślenia" mej gry. Pewnie więc i nie wszechobecny ani wszechmocny...

A więc już pokojarzyłem większość książąt, margrafów, hrabiów i baronów z księżniczkami, margrafiankami i baronównami. Nowe parę stron zapisaných kartek. I oto okazuje się, że jakoś przoczyłem - powiedzmy Malcolm O'Briena, hrabiego Ulsteru. Po prostu minęła już dawno jego kolejka. A musi teraz w nią wskoczyć, ale z pogwałceniem obowiązujących reguł. Oczywiście, mógłbym przekreślić tamte kilka kartek i zacząć od nowa. Ale pó pierwsze szkoda włożonej "pracy" - i papieru. No, przecież to bez znaczenia, czy wracam, czy idę do przodu? Niby tak, a jednak... To ja sam już uwikłałem się w mój ubogi świat. Jak to? unicestwił teraz tych wszystkich Baldwinów, Tankredów, Rajmun-



dów - wraz z żonami i dziećmi? Naraz okaże się, że znaleźli się na bocznej odnodze czasu, że każdy z nich ma nie tylko dwie żony, dwie rodziny, dwa domy - to zdarza się w życiu - ale właściwie dwa życia, z których jedno urywa się na zrośniętej cawastami bocznicy czasu, wśród jakichś krzaków dzikiego bzu i na śmietniku? Niemożliwe! Już wolę ufać, że właśnie z jakiegoś powodu tak powinno być, jak przez omyłkę się zdarzyło. Ludziki się zdziwią. Brak im kategorii intelektualnych, by nazwać to, co się stało. Cud? Skandal?

A ja myślę wtedy, że właśnie miłość Malcolma O'Briena, hrabiego Ulsteru, i Sygrydy Audunssenówny, baronówny Faroeru, była tak silna, a cni okazali się tak przebiegli, że pokrzyżowali szyki swemu Bogu i swemu Prawu.

/Uwaga: obydwu tu przytoczone zbiegi imienia, nazwiska rodowego i tytułu są zmyślone; jest to wyrazem szacunku dla odpowiedników Malcolma i Sygrydy./

Bez pomyłek gra taka nie miałaby żadnego uroku, a może i sensu. To one otwierają nowe perspektywy wewnątrz mojej gry, nadają jej plastyki, koloru, wprowadzają moment prawdziwego zaskoczenia. Być może na tym polega w ogóle rola błędu/piszę wyraźnie "błądu"; to nie ma nie wspólnego z równokształtnym słowem znanym ze zlepku frazeologicznego "błędy i wypaczenia"/.

Malcolm O'Brien, hrabia Ulsteru, Sygryda Audunssenówna, baronówna Faroeru. A raczej /jak notuje w swych aktach zarządzaczały Bóg tego świata/: "hrabia Ulster", "baronówna Faroer". Tytuły bowiem nie zawsze są związane z geografią. Czasami są nazwiskami rzeczywiście istniejącymi w danym kraju, a nie zawsze jasnej dla nadającego je proweniencji i etymologii. To ja je nadaję, ale udaję, że robi to król /jeden w jednym pokoleniu dla całego tego świata/. Co mogę, zwalam na niego. Zdaje się, że cobydaj jesteśmy z tego zadowoleni. Władza świecka często i chętnie popierała się tajemniczą sacrum - a jeśli nie dla Boga, to dla jego służ władza zawsze była chętnie widzianą transmisją dla mas, jeśli tylko miała ku temu dobre chęci.

Obawiam się, że wynikają z tego nadawania tytułów czasami efekty komiczne. Może nadając nowy tytuł lub nawet nazwisko rodowe - popełniam taki błąd, jakby nadawał tytuł "hrabia Kurdupel" /autentyczne chcępskie nazwisko spod Płońska/, co nie bardzo pasuje do polskiego arystokraty.

"Hrabia X" to w moim systemie nie nazwisko, lecz tytuł, jako całość. To przypomina system brytyjski, w którym nagle pan Armstrong może zostać lordem Snowdon, co nie znaczy, że jego młodszy syn nie będzie znowu Armstrongiem, jeśli dobry król lub jeszcze lepsza królowa nie pocieszy go również jakimś tytułem. Gdy tytuł wygaśnie w linii męskiej - dziedziczy się go w mojej monarchii po kadzieli, z obniżeniem o jeden stopień. W ten sposób wnuk margrafa von Maklenburg może być hrabią von Maklenburg. Ponieważ zaś dla mariaży nie ma barier geograficznych ani kulturowych - stąd dziwne materii pomieszanie. Oto nagle może się okazać, że młodszy syn Malcolma O'Briena hrabiego Ulster /i oczywiście - Sygrydy née Audunssen, baronówny Faroer/ otrzyma tytuł /np. po dziadku matki/ barona Archangielskiego. Czy to znaczy, że sprawuje też jakąś władzę w Archangielsku - lub w jego okolicach ma włości? Trudno na to odpowiedzieć. Równie dobrze po innym dziadku matki /każdy człowiek ma dwóch takich, jeśli w rodzinie nie było kazirodztwa/, a raczej przez tego dziadka, oczywiście Audunssena, lecz po dalszych z kolei przodkach mógł dostać tytuł bynajmniej nie geograficzny, np. "hrabia Tolstoj". Obydwa są związane także z Rosją. Nie - z świętą Rusią raczej: Romanowowie jakoś szybko wygaśli, a Rurykowicze rozprzestrzenili się na całe dorzecze Wołgi /i zresztą również na Pomorze polskie; za to Giedyminowicze sięgają, jak w XV wieku, po Witebsk i Smoleńsk/. Romanow: różnie się to może kojarzyć, ponieważ jednak przeważa w tej grze sugestія średniowiecza - więc i Romanowowie są w wyobraźni nie z końca dynastii, lecz przynajmniej z jej XVII-wiecznych początków. A Rurykowicze - to już zupełnie średniowiecze. Krajobraz jak z Aleksandra Newskiego - i chóry z oratorium Prokofiewa albo nawet starocerkiewne - i hełm taki, jaki miał Aleksander nad Jeziorem Czudskim, i taki, jak ten,

co leży na pobojuwisku nad Donem w pierwszych sekwencjach filmu.

Jest to świat bez wojen. Rycerstwo, szyszaki, tarcze, konie i miecze znajdują zastosowanie tylko na turniejach. Czy turnieje takie odbywają się? Zapewne, ale do gry nie należą. To skąd wiem, że się odbywają? Bo czytając w spisie: "Tankred III de Courtenay, V hrabia d'Edesso" - widzę romańskie podwórze zamkowe i wjeżdżającego nań w pełnej zbroi, z herbem de Courtenay'ów na tarczy, hrabiego Tankreda. Natomiast na tarczach dwóch jego giermków widnieją herby hrabstwa Edessy. Z przeciwnej zaś strony dziedzica szykuje się do turnieju Stefan z rodu Hunyadych, baron Kecskenety. Theatrum z czytanek, z romantycznych ballad, z Waltera Scotta i Zofii Kossak, z Iwaszkiewiczowskich C z e r w o n y c h t a r c z. Ale zarazem świat bez wojen i konfliktów społecznych, które tam, w literaturze, zdarzały się /szczególnie wojny!/. A tu jestem nie tylko poza prawdziwym życiem - ale i poza literaturą. Trębacze otrębiają jakiś hejnał czy pobudkę.

Przez Atlantyk płyną jednak - jakby to było już po Kolumbie - karawele. Cóż za śmieszny anachronizm. Ale dlaczego miałem się w grze wyrzec tytułów: margraf Texas, hrabia Alabama, hrabia Ohio, baron Detroit. Prawdę mówiąc lepiej to brzmie, niż książkę Aquitania. Toteż gdzieś znikli traperzy i ostatni Mohikanie, nad Mississippi przeciąga właśnie z zachodu na wschód orszak hrabiego czy też księcia Mexico - i nigdy w tym świecie nie powstanie Manhattan ze swymi wieżowcami. Co najwyżej jeden z młodszych synów hrabiego New-York z rodu Hamiltonów otrzyma tytuł barona Manhattanu.

Widzę z tablic, że za żonę przypada mu - chcąc czy nie chcąc - Kinga hrabianka Kolovrath, przy czym hrabiowie Kolovrathowie są tu wbrew herbarzom tylko boczną gałęzią Kinskich, ci natomiast awansowali aż do tytułu książęcego. Ślub zrobimy w Żółtej Pradze. Nie po to ma się tak piękne miasto, by córkę wydawać za mąż w jakiejś kaplicy zamkowej na Manhattanie, żywcem wjętej z U p i o r a n a s p r z e d a ż, filmu, który oglądałem w dzieciństwie. Bo co za inny zamek może stać na tej wyspie?

Rodryg III, I baron Manhattan, pofatyguje się po Kingę do Pragi. Taki zresztą jest obyczaj. Podróż tam i z powrotem co prawda długa, ale do Pragi będzie skracała ją ciekawość przyszyłej żony i świata - a z Pragi jej towarzysztwo. Którędy będzie jechał do Pragi Rodryg? Wyląduje chyba w Bremie. To stare, hanzeatyckie miasto pasuje do tej historii, chociaż widzę je nie tak, jak powinienem: raczej jak rodzinne miasto Buddenbrooków, a więc znów anachronicznie. Coś z Bremy, coś z Lubeki, ale dziewiętnastowiecznych. Nie wiem, jak najlepiej jechać się z Bremy do Pragi, ale chciałbym posłać chłopca przez Turynię. Piękny kraj, który widziałem i na własne, i na Iwaszkewicza czy /tędy jechał Henryk książę Sandomierski do cesarza Fryderyka Barbarossy, przez lasy Turynii; jechał, bez względu na to, jaki czas gramatyczny jest użyty w powieści i kiedy ją napisano; "jedzie" a nie "jechał"/. Może będą też tędy wracać, choćby mieli nadość drogi. A co będzie się działo w zamku /z upiorem na sprzedaż/ - to już nie moja sprawa. Odnoszę tylko ich dzieci. Żegnajcie Rodryga i Kingo!

Może jeszcze przypomnę sobie o nich, gdy po paru pokoleniach wygasną właśnie baronowie Manhattan, a raczej wówczas już gąkają Hamilton-Manhattan rodu Hamiltonów, z tytułem hrabiów Toledo - lub też zastanowią się, skąd hrabianka Missolonghi z rodu Ypsilantich ma imię Kinga? Zaraz, zaraz: jaka różnica pokoleń? Trzy pokolenia? A więc pewnie prawnuczka Rodryga III z rodu Hamiltonów, I barona Manhattan i jego żony Kingi, którą przywiózł sobie aż z Pragi. I od razu pytanie: może dożyli - albo jedno z nich - tych urodzin? Jak im miłośno życie? Ale to są właśnie "miejsca niedookreślenia". Podobnie zresztą, jak większość z tego, co wyżej zostało napisane, poza informacjami o regułach gry. I jak większość nas samych dla kogokolwiek

Imiona można im nadawać różne. Albo możliwie neutralne: Jan, Paweł, Piotr.

Bo nie rozróżniam Jana od Johanna, Jeana od Johna, Juana od Giovanni, Iona od Hansa. Każdy w spisie figuruje pod imieniem w wersji polskiej. Raz zrobłem tylko wyjątek dla imienia Iwan. Zasada jest, że imię, raz do gry wprowadzone, bywa nadawane tylko wówczas, gdy tak wynika z regulaminu. Imię Jan było już zajęte. I wówczas któryś z Romanowów, szybko zresztą wygasłych, dostał to imię, które wbrew wszelkim ałownikom i oczywistości uważam za odrębne od imienia Jan. Mogło potem dziwić, że imię Iwan objęło się pewian czas wśród Bourbonów /pisałem je wówczas "Ivan"/, ale i ci wygaśli, imię zaś gdzieś się zagubiło. Twardszy żywot miał tytuł "książę Moskowski", wciąż wpływający na powierchnię, a to u Bourbonów, a to u Aragonów, a to u O'Brienów, za każdym razem o jeden stopień zdegradowany, aż do barona.

... albo /proszę conąć się przed poprzedzającą to długą dygresję/ - imiona nie neutralne, przeciwnie: mocno nacechowane etnicznie. Ma to swe zalety - lecz i wady. Gdy Skandynawia pełna jest Olafów, Haraldów, Swenów, Kanutów, Góranów i Björnów - wygląda to malowniczo, ale gdy córka jakiegos Björna wyjdzie za mąż do Hiszpanii i jej młodszego syn, powiedzmy hrabia de SAVEDRA, dostanie na imię Björn /a nie ma na to ratunku ani odwołania/ - wygląda to gorzej. Cierpieniem bardzo, gdy w Niderlandach można było w jednym pokoleniu trafić - w dynastii Orańskiej! - na Kiejstuta, Olgierda i Witolda, podczas gdy w całym Wielkim Księstwie Litewskim, z przyległościami, za groźne nie było imion świadczących o związkach z Giedyminczami. Ale ten bałaganiarski kosmopolityzm moich feudałów bawi mnie też trochę.

Po jakimś mówią między sobą? Może po polsku? Po łacinie? Czy mówią językami tych ziem, z których pochodzą ich tytuły - lub narodu, który wydał ich ród? Ale jakż by miał być np. język Kinyckich, których uosowiłem w Pradze? Tylko historycy wiedzą, że matka księcia Józefa była właśnie z rodu Kinyckoh. Byli dawno zniemczeni. Księżę Józef był dwujęzyczny: mówił równie dobrze po francusku i niemiecku. Po polsku - bardzo kiepsko. Ale dla czego Kinycy w Pradze mają mówić po niemiecku?

Co oni mają ze sobą wspólnego: Kinycy, magnaci monarohii habsburskiej, tacy, jak ich zna historia - i Kinycy z mego sztucznego świata? Najprościej byłoby odpowiedzieć, że nic wspólnego, ale to nieprawda. Ich nazwiska nieeie z sobą określone historyczne treści. Na skrzyżowaniu nazwisk rodowych, imion, tytułów, pokrewieństw, powinowactw - powstają jakby zarysy osobowości. Już, już jakby coś się zarysowuje. Tu kawałek tradycji krzyżowców, tam imię znad czarnomorskich stepów, to znów właśnie na tych stepach któryś z baronów otrzymuje drogą zawikłych epadkoe celtycki tytuł. Borys VII Rurykowiez, noszący już tytuł barona Perekopskiego - zostaje nieoczekiwanie dla siebie hrabią Glamore. Zbiera się w drogę do swych nowych dóbr. Kiewiele wie, co to Szkocja. Ale wie, że odtąd będzie związany nie tylko ze stepami, wśród których wyrósł, ale i z tantym, północnym zamczyskiem.

To działa magia słów, magia misionych przez nie skojarzeń.

Zatwo w tym gąszczu o bład - więc uwaga jest cały czas napięta. Strumień asocjacji to ułatwia jej skupienie - to utrudnia. Krajobraz z ilustrowanych książek, filmów, obrazów, rzadziej z autopsji /niewiele świata widziałem/, twarze z portretów i z życia. Rodryg III, I baron Manhattan, ma twarz Zbyszka Bujaka - a Borys VII Perekopski /później zaś I. hrabia Glamore/ przedtem byli margawfowie Glamore, lecz tytuł dziedziczony po kądzieli obniżył rangę/, ma nie wiadomo czemu twarz i postać Matejkowskiego Konrada Mazowieckiego. Ich zamki. Ich konie, psy i sokoly. Piękne i brzydkie dziewczyny, damy, matrony, staruchy. Już przestaje być ich stwórcą, jestem i żyję wśród nich, po parę, po kilka godzin. Szczęk kluczy. Spacer. Apel. Składanie kostki, korytarzowy nasywany tu często tradycyjnle kalifaktorem wyniesie ją na korytarz. Coś brzęczy na korytarzu, jakaś blaszana bańka /chyba/ spada za oknem z platformy. Niewiele mnie to dziś obchodzi. Właśnie Rodryg III Hamilton wraca ze swą dopiero co poślubioną żoną do Manhattanu. Wettinowie, księżęta Saksonii, wy-

dadzą na ich cześć po drodze ucztę. O Boże, przydałaby się encyklopedia. Od jak dawna Wettinowie rządzą Saksacją? Diabli wiedzą.

A tu coś niedobrze zaczyna dziać się z moim średniowieczem. Praga - to Praga. Nawet Manhattan ze starym zamczyskiem na szumiącej puszczą wyspie, po której wciąż jeszcze szwendają się jacyś Indianie - zamek cegła po cegle rozebrany i złożony w Nowym Świecie tak doskonale, że nawet straszny w nim ten sam upiór co w Europie - jest tu na swoim miejscu. Ale na Dreźnie nie ma rady! Wdziera się rokoko. Rozsadza mury i baszty. I prawdę mówiąc wolę teraz, w drodze, to rokokowe intermezzo dla Rodryga i Kingi. Do diabła z chronologią, historią, następstwem epok. W moim świecie średniowieczny baron z United States of America, rządzonych przez dynastię Hamiltonów - ma takie samo prawo do goszczenia w rokokowym Dreźnie u Wettinów, jak na praskim zamku odziedziczonym przez Kinskych, hrabiów Kolovrath, po Luxemburgach.

W końcu dojadą do swego Manhattanu. I już tylko tyle poświęcę im uwagi, że będą rzucać kostkę. Sześć czek - pięcioro dzieci. Nawet ilości dzieci w moim świecie nie można przekroczyć - ale czy pięcioro nie wystarczy? Mogła wypaść nie szóstka, a jedynka. Wtedy pod zapisem "Rodryg III Hamilton, I baron Manhattan i Kinga Kinska, hrabianka Kolovrath" napisałbym: "Zmarli bezpotomnie". A tak - piszę w słupku cyfry od 1 do 5. Pięć rzutów kostką. Najpierw córka, Kinga /po matce/ Hamilton, baronówna Manhattan;nowu córka, Patrycja /po matce ojca/ Hamilton, baronówna Manhattan - i kolejno trzech synów. Najstarszy, po ojcu Rodryg IV, odziedziczył kiedyś po stryju tytuł hrabiego New-York /Rodryg IV Hamilton - Manhattan, IV hrabia New-York/, drugi odziedziczył po śmierci dalekiego kuzyna swego ojca tytuł hrabiego Toledo, a imię po ojcu matki /Józef I Hamilton, III hrabia Toledo/, trzeciemu zostanie nadany nowy tytuł baronowski, imię zaś otrzyma po pradziadku, ojcu babki ze strony matki /Egmont I Hamilton, I baron Potomac/.

Gdy przyjdzie nowa tura, nowe pokolenie /w moim świecie pokolenia nie mieszają się, różnice wieku w pokoleniu mają rozpiętość niewielką/ - będę pamiętał, ozyimi oni są dziećmi. Znałem ich rodziców i polubiłem ich - a więc mam przyjazny stosunek i do ich dzieci.

Dzień dobiega końca. O dziewiątej gaszenie świateł.

Dziękuję, Nino, za brulion i kostkę.

Październik 1982  
Areszt Sledczy  
Warszawa, Rakowiecka 37  
Zakład Karny Mokotów

Jan Józef Lipski syn Romana

\*\*\*\*\*

ROBOTNICZA POEZJA STRAJKOWA:  
PRAWDA I KONWENCJE

Uwagę czytelników robotniczej poezji gdańskiej roku 80-tego nie może ująć fakt, iż funkcja estetyczna piosenek, ballad, wierszowanych opowieści odsunięta jest na plan dalszy. "Poza funkcją estetyczną - pisał Bogatyriew - pieśń /ludowa/ spełnia różnorodne inne funkcje: funkcję magiczną, funkcję znaku regionalnego, funkcję regulowania pracy, funkcję oznaczającą wiek osoby śpiewającej i funkcję wskazówki, kto powinien daną pieśń śpiewać." /1/. Wierszowane utwory ludowe informują zdaniem Bogatyriewa o sensacyjnych wydarzeniach, podają najwięzese nowiny, wyrażają uczucia patriotyczne, kierują żądania do istoty nadprzyrodzonej, by spełniła takie lub inne pragnienie. Prawdopodobnie można wskazać jeszcze wiele innych funkcji, jakie spełnia pieśń ludowa. Funkcje te zrozumieć można jednak dopiero wtedy, gdy pozna się wszystkie struktury życia kulturalnego, politycznego i ekonomicznego danego środowiska. /2/

Robotnicza poezja strajkowa ma wiele wspólnego z twórczością ludową. Dla jej określenia przydatniejsze będzie jednakże pojęcie folkloru środowiskowego, które Janusz Maciejewski definiował w sposób następujący: "folklor środowiskowy to część działalności i twórczości kulturowej węższych grup ludzkich /.../ zorganizowanych wewnętrznie na zasadzie więzi wynikających bądź to z wisku, /.../ ze specjalnego statusu zawodowego, bądź też z ogólniejszego rodzaju wspólnot społecznych: stanowych, terytorialnych, opartych na statusie ekonomicznym itp. Tak rozumiany folklor środowiskowy egzystuje na ogół gdzieś pomiędzy folklorem chłopskim a kręgiem kultury oficjalnej". /3/ Tak więc powstanie folkloru w obrębie danej grupy społecznej uwarunkowane być musi kilkoma czynnikami. przede wszystkim w danej społeczności muszą istnieć więzi łączące jednostki we wspólnotę. We wspólnotcie tej nie ma podziału na odbiorców i twórców, na czytelników i twórców. Każdy może pełnić obie role. Społeczność musi mieć poza tym charakter otwarty, jej członkowie powinni mieć pełne prawo włączenia się w obręb kultury oficjalnej. Kultura oficjalna jest tym ważniejsza, iż bez niej folklor środowiskowy nie miałby racji bytu, bowiem najręściej jest on jej negacją. Nie chodzi tu przy tym o negowanie wartości artystycznych, o twórczy bunt przeciwko poetyckim stereotypom; robotnicza poezja strajkowa jest buntem przeciwko propagandowym treściom przekazywanym przez masę media, ale nie negując całości kultury. Co więcej, korzysta z niej, sięga po utarte, popularne wzorce przekazu, operuje stereotypowymi, mającymi historycznoliteracki rodowód wyobrażeniami zła, dobra, teraźniejszości i przyszłości. Jest to więc twórczość bardzo silnie skonwencjonalizowana. Konwencjonalizacja zaczyna się już na poziomie wyboru formy wypowiedzi. Bo właściwie dlaczego strajkująca robotnica sięgnęła właśnie po poezję? Zapewne dlatego, że jak pisał Johan Huizinga w *Homoludens*, forma wierszowana, ta odległa od zadolenia jedynie potrzeb estetycznych, od wieków służyła do wyrażenia wszystkiego, co ważne lub niezbędne w życiu danego narodu, a w tym przypadku społeczności /4/. Ale aby to, co święte i uroczyście, wyrazić - należy wejść w społeczną rolę poety, podjąć określony model działalności. Pociąga to za sobą przyjęcie pewnych konwencji, a odrzucenie innych.

/1/ Bogatyriew P., *Semiotyka kultury ludowej*. Warszawa 1979, s. 320.

/2/ Bogatyriew P., Jacobson R., *Pieśń ludowa z funkcjonalnego punktu widzenia*. Tamże.

/3/ Maciejewski J., *Folklor środowiskowy*, /w:/ *Prób-lemy socjologii literatury*. Wrocław 1971, s.251.

/4/ Por. Huizinga J., *Homoludens*. Warszawa 1967, s.182.

Utwór zostanie zaakceptowany dopiero wtedy, gdy odpowiadać będzie poziomowi poznawczemu odbiorców, ich nastawieniom ideowym oraz historycznym osobliwostom układu społecznego, a to z kolei uzależnione jest od rozwoju nauki i kultury w danej zbiorowości, a także od jej życiowego doświadczenia. Tak więc konwencjonalizacja chwytności literackich - motywowana jest warunkami społecznego odbioru literatury /5/. Konwencje literackie przyjęte trzeba po to, by, posługując się znanymi symbolami, porozumieć się z odbiorcami, zaspokoić ich oczekiwania, potwierdzić tkwiące w nich poczucie formy. W twórczości ludowej, nieoficjalnej, utwór niezaakceptowany przez społeczność ginie, nie jest w ogóle "faktem folkloru" /6/. Poeta folkloru nie może tworzyć samowolnie własnego artystycznego obrazu świata. Silne skonwencjonalizowanie twórczości gdańskich robotników związane jest z wymaganiami środowiska, dla którego jest przeznaczona. Zerwanie ze stereotypowymi, literackimi formułami świata doprowadziłoby do niezrozumienia, a co za tym idzie odrzucenia utworu. Drugi powód konwencjonalizacji łączy się ze statusem samego twórcy. W folklorze role czytelnika i poety mają charakter wymienny. Samородny twórca nie musi więc specjalnie dostosowywać swojego utworu do układu odniesienia odbiorcy. Zarówno nadawca, jak i odbiorca są członkami jednej zbiorowości i dysponują podobnym doświadczeniem życiowym. Literackie formuły świata, jakże przyjmować musi poeta chcąc być zrozumianym i zaakceptowanym, są jednocześnie jedynymi dla niego zrozumiałymi, przez niego akceptowanymi, a niejednokrotnie jedynymi jemu znanymi.

Każdy folklor, jak już zostało powiedziane, żywi się kulturą oficjalną, wysoką. Zapożycza i przetwarza, poddaje się konwencji. Ale każda znana i oklepana forma literacka przeniesiona na grunt folkloru, w inne środowisko, staje się faktem swoistym, bowiem następuje w niej przestawienie funkcji. Inne mianowicie funkcje spełnia hymn narodowy, a inne jego przeróbka dokonana przez gdańskich stoczniowców. Właśnie dlatego w odniesieniu do tekstów nieprofesjonalistów nieprzeżydatne są narzędzia używane do analizy utworów artystycznych. Nie wolno oceniać ich z punktu widzenia estetycznego, ponieważ nie jest ważne, czy są one dobre, czy złe, ale czy umożliwiły wyrażenie wspólnych przekonań.

Była już mowa o tym, że poezja środowiskowa neguje. Nie jest od tego wolna również twórczość gdańskich robotników, przeciwstawiających się zakłamanu, obłudzie, myśleniu oczu. Nie jest to jednak wyłącznie negacja, jak chciał Tadeusz Skutnik /7/. Niechęć, a nawet momentami nienawiść obraca się przeciwko konkretnym ludziom, którzy doprowadzili kraj do katastrofy. Kim są ci ludzie? Wskazanie ich i nazwanie jest sprawą pierwszorzędnej wagi, bo właśnie "poprzez nazwę można unieszkodliwić - jak pisał Jerzy Świąch w Okupacja i stereotypach - rozbroić przeciwnika, wprowadzić w obręb własnego świata, zmniejszyć dystans przez poniżenie i wyśmianie." /8/

/5/ Por. Okopień-Szawińska A., Rola konwencji w procesie historyczno-literackim, w: Proces historyczny w literaturze i sztuce. Warszawa 1967, s. 72-74.

/6/ Określenie używane przez Bogatyriewa, Bogatyriew P., Op. cit.

/7/ Tadeusz Skutnik w artykule Śmiech, litość i strach, "Punkt", 12, s. 133 pisze: "Konstatujemy brak pozytywu, stajemy wobec zmasowanej negacji".

/8/ Por. Świąch J., Okupacja i stereotypy, Lublin 1977, s. 5 i 16.

W poezji gdańskiej pojawia się najczęściej ogólne pojęcie "oni". "Oni" to "rzęd", "ministrowie", "cwaniaki", "pajace", "panowie", "zdrajcy", "władza", "ci z góry", "kwiopijce", "zdrajcy". Chętnie sięgają gdańscy twórcy po konkretne nazwiska. Do "nich" należą Gierek, Pyka, Edward Mały /Babiuch/, jak również Jagielski, który chciałby "oszukać" robotników. Postać ex-pierwszego sekretarza zajmuje tu naturalnie poczesne miejsce. Mówi się o nim dobroćliwie "Edzio", pokazuje w zaciszu domowym. "Edward Duży" w KC "piszczy" i "szwodzi", boi się o swoją posiadłość. Kiedyś był "groźny" i "ponury", teraz trzęsie się ze strachu przed robotnikami. Poprzez skarykaturyzowanie i spotwarzenie odbiera się ongiś szanowanemu sekretarzowi pole jego dawnych działań. Anonimowy poeta wyznacza mu taki teren, który znajduje się już nawet poza jego własnym obszarem. Gierek usunięty ze świata robotniczego przestaje być groźny, jest tylko przedmiotem kpin. Ale Gierek to tylko jeden z "nich". Plastyczny obraz "tych z góry" został nakreślony w wierszu Czyża: "Garnitur spod igły, krawcak w paseczki /Rumiane buziaczki i skórzane teczki.../Mina nieprzystępna, oczy wierne szare / Kanta wolne w banku i tupet nad miarę.../Zaskaniącający oczy rękami brudnymi / Brudnymi od kłamstwa, z leniwa grubymi / No i bez odciszków, gładkimi, biażymi. / G a r n i t u r s p o d i g ł y. Takie wyobrażenie naszej władzy ma charakter zdroworozsądkowy a nawet stereotypowy. Dobrze odżywiony i ubrany, gruby i bogaty, leniwy i zakłamany, to wypisze wymaluj portret pana feudalnego znęcającego się nad chłopami, plebsa okradającego wierznych czy fabrykanta obcinającego robotnikom płace. Od niepamiętnych czasów w literaturze polskiej kwiopijca był rumiany, kłusciutki, uśmiechnięty, z rękami wypielęgnowanymi, ale "brudnymi od kłamstwa". Mimo iż wizerunek "tych z góry" traci tradycjonalizmem, to jest owa konwencjonalizacja pożądana, a nawet konieczna: ułatwia bowiem komunikację nadawcy z odbiorcą, pozwala odwołać się do wiedzy już posiadanej, wzmacnia idiosynkrazję. Podobny jest zresztą mechanizm konstruowania postaci Niemca w poezji okupacyjnej /9/. W twórczości strajkowej władza traktowana jest więc podobnie jak Niemcy w utworach okupacyjnych - jak wróg. Tylko nieliczni autorzy zdają sobie sprawę, że ludzie zasiadający w rządzie to też Polacy, że "nasi gnębą naszych" /B a l l a d a s t o c z n i o w a/, że są "wśród nas bracia, którzy pragną zuby Ojczyzny" /W o ł a n i e l u d u/. W przeważającej liczbie wypadków występują jednak, jak już zostało powiedziane, mniej lub bardziej skarykaturyzowani "oni", którzy sprowadzili na Polskę zio.

"Oni" nie muszą pojawiać się we wszystkich utworach. Wystarczy, że anonimowy autor pokaże skutki "ich" działalności. I tak czytelnik wie doskonale, o kogo chodzi. A skutki jakich doświadczono, to: "tumanienie" i "okłamywanie ludzi", "zatarcie w nicotę hasła naszych dziadów", "nędza", "puste haki w sklepach", "represje", "cierpienia", "upodlenia", "troška i ból", "ślad zmarzszceł wyrywanych na twarzach i rękach, oczy spopłelałe w codziennych udrękach". Skutkiem bezpośrednim jest również strajk, którego nikt nie chciał i nadal nie chce. "Jak ten strajk długo trwa /.../ Niech pomyślą, ile to kosztuje nas". /M y s t o c z n i o w c y i p o r t o w c y . . . / - pisze jeden z gdańskich poetów.

Pokazanie zła, jakie ściągnęły na nas nieudolne rządy oraz wskazanie ludzi, którzy doprowadzili do katastrofy, nie wystarczy, by przeprowadzić dokładne rozgraniczenie między "nimi" a "nami". A wyznaczenie dokładnej granicy jest konieczne, aby, jak podkreślali w swoich pracach zarówno Ossowski, jak i Chałasiński, zdać sobie sprawę z własnej mocy, jak również aby sprzecywiać wartości naczelne, które dana społeczność uważa za zagrożone. Robotniczy twórcy musieli więc znaleźć definicję na samych siebie, szukać samookreślenia.

Kim są więc ci, którzy negocjują? To "my stoczniowcy gdańskiej ziemi", "robotnicy", "lud", "masy", "ludzie", "naród", "bracia Polacy", "mądry ludzie", "stoczniowa brać", "robotnicy polscy", "zjednoczona brać", "my stoczniowcy i

portowcy", "Ludzie, którzy poczuli, że są wreszcie teraz u siebie".

Pocie ludowemu dostępna jest w zasadzie wyłącznie perspektywa "prywatna". Jego świat, to świat małej społeczności, gromady, rodziny. Opiera się on na prostych, niewzruszonych zasadach. Najcenniejszymi wartościami są ład, zgoda, przyjaźń, miłość. Wzrostko, co wtargnie do tego mikrokosmosu, odbierane jest jako obce, wrogie, bowiem prowadzi do pogwałcenia osobistych więzi. Postawa "lokalna" łączy się przy tym najczęściej z głębokim przekonaniem, iż "my" jesteśmy lepsi, a więc do nas należy przyszłość /10/. W poezji strajkowej postawa ta jest ledwo zauważalna. Tylko w paru utworach: m.in. E w i e - m o - j e j l 2 - l e t n i e j c ó r c e czy Nie wiem, kiedy cię z o b a c z ę walka wtargnęła w sferę sacrum, zniszczyła spokój naszych bliskich i nas samych. W przeważającej jednak liczbie przypadków świadomość "prywatna" zastępowana bywa poczuciem przynależności klasowej i narodowej. Robotnicy świadomi są swego posłannictwa, czują się odpowiedzialni za los całego kraju: "Musimy wygrać, wygrać tym razem / Bo taką drogą iść nie możemy / By stracić Polskę, / Tego nie chcemy". / Z o b a c z o l e ! c o s i ę w k o z o d z i e j e . . . /; "My chcemy wiedzieć prawdę / Ocalić kraj od zagłady / Uwaga z a j c i e p a n o w i e; / Ujmie w ręce robotnik ster władzy /.../ Jego ręce podnoszą wzywy kraj... / P i e ś n Ą W o l n y c h Z w i ę z k ó w; / "Ojczyźnie nas trzeba..." / O k a r o k u 8 0 - t e g o / . Wolna ojczyzna, demokracja, sprawiedliwość, prawda, dobro - to najwyższe wartości. Nasz kraj musi być "kwitnący i bogaty", i to "my stocznicy stworzymy ojczyznę naszą". "Dźwignięmy kraj z ruiny" / I p o s t a w i m y i m p o m n i k / . Nadzieja na przyszłość i pewność wygranej wynika więc nie z głębokiego przeświadczenia, że my - robotnicy jesteśmy lepsi, ale dlatego, że walka toczy się o szerszą sprawę, o ideały zaprzepaszczone. Pojawia się przy tym świadomość jednności i przekonanie, że codzienny trud robotniczy jest siłą napędową zdolną odmienić ten świat: "Jesteśmy przecież motorem i pracą / a jako jedność nie chłam, a socjalizm" / J a k p t a k i / - to właśnie daje robotnikom prawo do reprezentowania narodu. Konieczność świadczona na rzecz ogółu wywołuje chwilami poczucie rozdarcia. Na czas strajku trzeba bowiem nie tylko porzucić ognisko domowe, ale i przerwać normalny cykl produkcyjny, który w warunkach pokoju społecznego pozwalał jednostkom na samoidentyfikację. Poczucie przynależności do "braci robotników" związane jest przecież ściśle z wykonywaną pracą. Podobnie jak chłop rzucający swą ziemię, by na czas wojny przedzierzgnąć się w partyzanta, żołnierza, robotnik beczynnym siedzący w miejscu pracy, zmuszony godzić się na inny sposób egzystencji, odczuwa głęboki dramatyzm swojej sytuacji. /11/ Normy, które dotąd obowiązywały w jego środowisku, musi odrzucić, by zaakceptować reguły nowe. Grozi to naturalnie utratą tożsamości. W obawie przed tym pocci strajkowi tak często przemawiają w imieniu "robotników polskich", podkreślając tym samym, że robotnik niezależnie od wykonywanych w danym momencie działań zawsze robotnikiem pozostanie. Ciągłe upewnianie się co do własnej tożsamości prowadzi jednak może do zgromadzenia argumentów na rzecz odrębności, do wykształcenia postawy "lokalnej". Konsekwencją takiego stanu jest pojawienie się pytania o prawo do występowania w imieniu ogółu. Prawem tym w czasach pokoju była praca dla dobra kraju. Strajk jest czynieniem poprzez zaprzestanie działania. Anonimowy twórca wpada w ten sposób w ślepy zaulek. Jawnym tego dowodem jest przemieszczenie w tekstach gdańskich określeń typu "lud", "masy" z "braci robotnicza". Tylko w niektórych wypadkach samorodnym postom udaje się porządzić dwie sprzeczne ze sobą tendencje: do wyodrębnienia wspólnoty i jednoczesnej uniwersalizacji jej działań poprzez samoidentyfikowanie się jako "robotnicy polscy". Problem komplikuje dodatkowy fakt, że w poezji strajkowej mamy do czynienia z kilkoma poziomami samookreślenia. Anonimowy twórca raz traktuje siebie jako przedsta-

/10/ Tamże, s. 13-15

/11/ Tamże, s. 52-56



wiciela pewnej bardzo wąskiej grupy zawodowej, np. stoczniowców, innym rasem jako reprezentanta polskiej klasy robotniczej, kiedy indziej jeszcze jako członka całej wspólnoty robotniczej. Często również przemawia w imieniu narodu, mas, ludu. Narzuca się oczywiście hipoteza, że poezja strajkowa stanowi odzwierciedlenie krystalizującej się wyraźnie wśród robotników świadomości narodowej, postawy uniwersalistycznej. Przyjęcie jednak tej koncepcji byłoby uproszczeniem o wiele bardziej złożonego problemu. Nie wolno przecież zapominać, że twórczość gdańska podlegała silnej konwencjonalizacji. Odejście od świadomości lokalnej jest w dużym stopniu wynikiem przyjęcia ideologii patriotycznej, mającej w literaturze i całej kulturze polskiej wypracowane już wzory realizacji. Wykazałone w romantyzmie przekonanie o szczególnej misji narodu polskiego, cały schemat martyrologiczny, wizja zbawienia całego świata, powraca w poezji gdańskiej w formie robotniczej, pewności co do wyjątkowego poeznictwa wspólnoty, do której się przynależą. Specjalnie unikam tym razem sformułowania klasa społeczna, ponieważ również i w tym przypadku nie można mieć pewności, na ile strajkujący mieli poczucie świadomości klasowej, a na ile samoidentyfikujące definicje spotykane w ich poezji uwarunkowane były przejęciem określonych schematów wierszy rewolucyjnych. Większość argumentów przemawiających raczej za sformułowaniem koncepcji, iż anonimowi twórcy przemawiali w imieniu wspólnoty. Nie jest to jednak mała zbiorowość, zamknięta w swoim świecie, na małej przestrzeni. Jest to wspólnota, której niezaprzeczone prawo do reprezentowania całego narodu pozwala w każdej chwili ogarnąć cały kraj. Bowiem może należeć do niej każdy, kto zaakceptuje uznawane przez nią wartości: Za przyjęciem koncepcji wspólnoty otwartej, grupy swojaków /choć swojakiem może stać się każdy/ przemawiały także istnienie w tej poezji tekstów poświęconych przywódcy, Lechowi Wałęsie. Piosenki o wodzu pojawiają się wyjątkowo w zbiorowościach małych, gdzie wszyscy się znają, Jerzy Świąć analizując twórczość partyzancką pisał: "W przynależności do oddziału dowodzonego przez jakiegoś N /.../ w deklaracjach ślepego posłuszeństwa i solidarności z N grupa leśna widzi zawyżają szansę autoidentyfikacji. Stąd wiele wyrazów przywiązania i oddania osobie dowódcy /.../ Osoba dowódcy jest /.../ projekcją idealnych wyobrażeń grupy leśnej o sobie". /12/ W B a l l a d z i e o W o l n y c h Z w i ą z k a c h Wałęsa nazywany jest "wspaniałym facetem". To on "zrobił strajk", on "zgrupował ludzi", on "głos wskazał wolny /zapalił zielone światło", on założył "wolne związki". A więc każdy kto uzna, że jest to "wspaniały facet", każdy kto jest z nim, to "swojak", to "nasz". Nieważne czy jest to robotnik, czy inteligent. W ten sposób najprościej wyznaczyć granicę oddzielającą "nas" od "nich".

W kontekście tych rozważań nie będzie już chyba stanowić zaskoczenia stwierdzenie, że w poezji strajkowej postawa uniwersalistyczna niejednokrotnie spleta się nie tylko ze świadomością przynależności do pewnej wielkiej wspólnoty, ale i z poczuciem odrębności regionalnej. Wyraża się to poprzez samoidentyfikujące określenia typu: "robotnicy gdańscy", "stoczniowcy gdańskiej ziemi", "gdański lud". Stocznia gdańska traktowana jest w poezji strajkowej jako epicentrum wybuchu, środek świata. Przy tym ta mała przestrzeń nie jest na trwałe odgraniczona od reszty świata, nie jest zamknięta. Będąc miejscem sacrum, stanowi przy tym uniwersum wszechogarniające. Duma z przynależności do grupy przywódczej łączy się w świadomości robotników z przekonaniem o szczególnej roli, jaką do odegrania ma Gdańsk.

Tylko miasta o wyjątkowo burzliwej historii mogą liczyć na swoje poetyckie miły. W literaturze polskiej w sposób wyjątkowo honorowana była zawsze Warszawa. W jej pejzażu "nie było nigdy /.../ przedmiotów akorjansieniu i emocjonalnie neutralnych", cały krajobraz "opanywany był przez sferę znaczeń niedostępnych i symbolicznych". Owe znaczenia doprowadziły do zatarcia obrazu rzeczywistości, "dlatego stolica znajdowała się zawsze w centrum zbiorowych

mitologii" /13/. Przy tym w Warszawie w poezji dziewiętnastowiecznej mówilo się na dwa różne sposoby: raz była "płochym", "zdradnym" miastem, innym raze: z racji posiadania cech reprezentatywnych - "matką Poleką". Wyobrażenia roku 1939 przeobraziły ten stereotyp: Warszawa stała się odtąd miastem nieujerzmionym, niepokonanym, bohaterskim i cierpiętniczym.

W stopniu mniej może przez nas uświadamianym funkcjonował także mit Gdańska. Dzieje Gdańska nie skrzaniały jednak do symbolicznego mówienia o tym mieście jako o Polsce. W świadomości zbiorowej Gdańsk utrwalony został jako miasto wolne, zbuntowane, miasto-państwo rządzące się swoimi prawami, przeniknięte, jak zauważył Tadeusz Skutnik, "duchem niesubordynacji" /14/ wobec cieżgo kraju. Na takie wyobrażenia o Gdańsku wpłynęły naturalnie względy ekonomiczne, religijne, a nawet narodowościowe. Bohaterska obrona Poczty Polskiej w Gdańsku nadwyrężyła nieco ten stereotyp, ale nie zdołała go całkowicie obalić. Dopiero nowe doświadczenia, jakimi były strajki roku 70-tego i 80-tego, zmusiły do jego rewizji.

W poezji strajkowej sposób mówienia o Gdańsku w dużym stopniu ma charakter tradycyjny: to "nasz Gdańsk prastary", zawsze "wolny", "Gdańsk nie warchoł / wykiwał się nie da". Odwołanie do stereotypów jest tu naturalnie konieczne, z tych samych względów, o których już niejednokrotnie była mowa oraz pozwala wyraźniej wskazać fakty nowe. A faktem nowym jest, iż Gdańsk po raz drugi wystąpił w imieniu całego narodu, dla dobra kraju, a więc ma prawo przemawiać za wszystkich. To prawo daje mu krew, które poleła się w Grudniu. Pojawia się nowe oblicze Gdańska - miasta cierpiącego, miasta, które złożyło już ofiarę. Los robotników, którzy zginęli w 70-tym roku, jest nauką dla walczących: "Nasze serca, nasze myśli wciąż tam są / Kiedy Grudzień przypomina się / Teraz wiemy jak strajkować / I jak z Rządem pertraktować / By zdania nasze wypełniły się" / My stocznio wcy i portowcy.../. W ten sposób anonimowi gdańscy twórcy awansują swoje miasto do rangi wybranego. Tak jak niegdyś Warszawa, tak teraz Gdańsk symbolizować może całą Polskę. To jeszcze jeden powód, dla którego poetom strajkowym tak trudno ustalić swoją tożsamość. Potrzeba określenia swojej odrębności regionalnej splata się z poczuciem przynależności do całego narodu, w imieniu którego chcą przemawiać.

Przekształcenie mitu Gdańska wiąże się więc z odebraniem wszelkich praw do reprezentowania kraju i narodu - Warszawie. Co więcej, w nielicznych wyobrażeniach stolicy, jakie pojawiają się w poezji strajkowej, odzywa na powrót stereotyp miasta - zdrajcy. To przeciw Warszawie była przez wiele lat siedliskiem ludzi, którzy doprowadzili nas do zguby. Następuje więc znamienne utosamianie "ich" z Warszawą: "Lecz gdański robotnik ma w porządku w głowie / Krzyknął do Warszawy - hola! stać panowie / G d a Ń s k i / n i e / K r a - k o w i a c z e k /".

Naznaczenie jakiegoś miasta piętnem wyjątkowości wymaga jednak spełnienia jeszcze jednego warunku. Już sama nazwa musi wywoływać w umyśle każdego członka zbiorowości pewne skojarzenia związane z określonymi elementami pejzażu. Krajobraz miasta wybranego nie może być jakowy, neutralny. Warszawa, będąca świadkiem niejednej burzy historycznej, od wisków opiewana w literaturze, ma takich punktów, działających jak bodźce na wyobraźnię, nieszychanie wiele. Poeci strajkowi odbierając Warszawie cierpiętniczo-posełnicszy nimb musieli wyznaczyć miejsce "święte" w Gdańsku. Sferą sacrum stała się naturalnie stocznia, mająca odtąd funkcjonować w świadomości jako symbol pracy, walki i męczeństwa. Słowo "stocznia" zaczęli anonimowi twórcy używać więc wymiennie z nazwą miasta, traktować je jak hasło konotujące cały szereg znaczeń niedostępnych.

Analizując przeobrażenia mitu Gdańska nietrudno zauważyć, że sprowadzają się one do przeniesienia na Gdańsk wielu stereotypowych wyobrażeń o Warszawie.

/13/ Tamże, s. 93-117.

/14/ Skutnik T., Op. cit., s.133.

Już nie Warszawa jest miastem bohaterskim, lecz Gdańsk, już nie Warszawa jest miastem powołanym do spełnienia wyjątkowej misji, ale Gdańsk. Wiąże się to oczywiście z przejściem przez poetów strajkowych wykształconego w okresie romantyzmu schematu martyrologiczno-messianistycznego. Wyrazem tego potwierdzeniem są często w twórczości gdańskiej, mające charakter zbiorowych modlitw, odwołania do Chrystusa i Marii.

Specyficzną cechą naszej poezji patriotycznej i niepodległościowej było zawsze łączenie Boga ze sprawą polską. Wynikało to z głębokiego przeświadczenia, że Polacy są narodem wybranym i w związku z tym kraj ich ma szczególne prawo do korzystania z boskiej pomocy. Drugim elementem typowo polskiej religijności był kult maryjny. Anonimowi twórcy strajkowi nie wyszli poza ramy tradycji. Bóg bądź Chrystus, do którego się zwracają, jest w każdym przypadku "Bogiem naszym". Przy tym nie oznacza to wcale, że jest wyłączną własnością zbuntowanej zbiorowości. Jest Bogiem wszystkich Polaków, swoją łaską ogarnął na całą udręczoną Polskę i oświecił naród. A wtedy Polska znów będzie szczęśliwa, bo przecież zawsze jak Chrystus "poprzez ból i nekę Zmartwychwstała" / C h r y s t u s z r o b o t n i k a m i , r o b o t n i c y z C h r y s t u s e m / . W wyobrażeniu Syna Bożego podkreślone więc zostają takie cechy jak: łaskawość, miłosierdzie i zdolność przyjmowania cierpień.

Równie konwencjonalny jest w poezji strajkowej obraz Marii. Jest to nieodmiennie Matka Boska Częstochowska z okaleczoną twarzą, "Królowa Krzywdzonych", "Matka" obdarzona ożywym sercem, roztaczająca opiekę, chroniąca przed złem i przynosząca spokój. Stosunek podmiotu zbiorowego do niej jest naturalnie stosunkiem dzieci do Matki, w której ramionach zawsze można znaleźć ukojenie. Mimo, iż tak bardzo skonwencjonalizowane, modlitwy do "Czarnej Madonny" manifestują może nawet w większym stopniu, niż inne wibracje, szczerze i otwarte uczucia gdańskich robotników, bo przebijają z nich przede wszystkim pragnienie spokoju. Odwołanie się do istot boskich pozwala przy tym nie tylko wyrazić swoje odczucia, ale i utwierdzić się w przekonaniu, że racje są po stronie strajkujących, bowiem stają oni w obronie prawd wiecznych, idei Chrystusowych: "Ufni w Twą pomoc - wierni ci synowie / Będziemy walczyć, szerzący ideały / By kraj nasz - często nawiedzany klęską / Był zawsze szczęśliwy, silny i wspaniały". / C h r y s t u s z r o b o t n i k a m i , r o b o t n i c y z C h r y e t u s e m /

Pora na koniec określić rolę, jaką odegrała robotnicza poezja strajkowa. Tak wiele łączy ją z samorodną poezją ludową, czy folklorem okupacyjnym, że w zasadzie można było zrobić to już na samym wstępie; wyliczając jednym tchem takie funkcje, jak podnoszenie na duchu, ośmieszanie przeciwników, dostarczanie informacji, chęć przybliżenia przyszłości itp. Ryżoby to naturalnie zgodne z prawdą. Gdańska poezja anonimowa rzeczywiście wszystkie te funkcje spełniała, ale poza tym pozwoliła strajkującym uświadomić sobie własną siłę, wzmocniła wiarę w słuszność sprawy, której się poświęcili, w końcu odegrała olbrzymią rolę w procesie samoidentyfikacji. Nie można jednak określić, w jakim stopniu świadomość deklarowana pokrywa się ze świadomością rzeczywistą. W poezji strajkowej prawda zbyt mocno uwikłana jest w konwencję.

\*\*\*\*\*

## NOWY TEATR

Szeroki powiew wolności, który przeszedł przez Polskę w latach 1980-1981 odrodził życie na wielu zdeptanych i zachwaszczonych terenach społecznych. Odrodził również i teatr. Tego przeobrażenia teatru nie dokonali jednak ludzie, którzy od dawna uchodzą za jedynych twórców sztuki scenicznej. Nowego ducha w zastane formy nie chwycili ani pisarze dramatyczni, ani inscenizatorzy, ani aktorzy.

Pisarze dramatyczni po wielkim porachunku i szaleństwie i zbrodniczością swojej epoki, jakiego dokonali po wojnie, teraz wyraźnie opadli z sił. Przeżyli ciężko i prawdziwie klęskę cywilizacji. Podzielili się z publicznością swoim przerażeniem wobec bezsilności rozumu, ukazali w całej grozie świat rządzony absurdem. Znaleźli dla dramatu nowe środki wyrazu. Zapełnili scenę irracjonalizmem wydarzeń i bezcelowością ludzkich poczynań. Nic zatem dziwnego, że później, kiedy kosmiczny obłęd zaczął zionąć zionąć kosmiczną nudą, trudno im było powrócić do poszukiwania utraconego sensu. Przepaść wykopana - często rękami traconych - przez tyranie ich czasów między sensem cywilizacji i nonsensem istnienia była zbyt szeroka, aby zdolni ją byli przekroczyć. Nie widzieli zresztą powodu, dla którego mieliby to zrobić, skoro obozy zagłady dla całych ludów, wraz z kobietami i dziećmi, mieściły się bez trudności w naturze rzeczy. Toteż kiedy zaczadzenie dymem z pieców obozowych zaczęło uszypować i ludzie powracali do porządkowania znowu świata na ludzki ład, dramaturgowie nie byli zdolni pomóc im w przejściu na drugą stronę, wyrwać się z mroźnej smagi cienia.

Inszenizatorzy, którzy objęli po nich rządy w teatrze, również nie mogli dźwignąć tego ciężaru. Tak samo przekraczało to ich siły. Wydawali się one niewyczerpane w pierwszej połowie wieku, kiedy rodziła się i rozwijała pewna swojej szlachetności sztuka teatru. To właśnie oni byli jej głosicielami w słowie i czynnie. Im zawdzięczamy nie tylko nowe kształty teatru, ale również i nową świadomość zadań, jakie teatr sobie postawił. Rozbudzili w nich poczucie i dumę odrębności. Wówczas, w latach weszbrania sił twórczych, zdolni byli zamać stare przyzwyczajenia i doprowadzać swoje reformy, czy też swoją Wielką Reformę, z takim przekonaniem, iż rozbijało ono opór najbardziej zatwardziały tradycjonalistów. Toteż naprawdę odmiennili teatr jak impresjonści czy kubiści odmiennili malarstwo.

W porównaniu z nimi działalność dzisiejszych reformatorów teatru zdradza od razu fałszywe ambicje. Programy różnych odnowicieli, którzy przekrzykują się wzajemnie, uderzają miękkością i pretensjonalnością słów. Nie stoi za nimi prawdziwa artystyczna odpowiedzialność. Nio zatem dziwnego, że ich głosiciele nie zdolali ani skupić wokół siebie większej ilości zwolenników, ani utrzymać ich na dłużej. Hżaśliwe rewelacje z reguły zastarzały się tak raptownie i tak brzydko, że opowieści o ich dawnych urokach wywołują ledwie po paru latach wzruszenie ramion. Jak bezlitośnie działa ten proces, może świadczyć obfita literatura pochlebca, poświęcona odkrywcom nowych prawd. W większości już dzisiaj jest ona zupełnie niezrozumiała. Wkrótce będzie budzić tylko zdumienie jak wiele innych dowodów, że człowiek jest istotą dziwną, ale na szczęście w swoich ekstrawagancjach nietrawną. I nie zawsze zdobywając wielkie wpływy. Za przykład mogłaby posłużyć przykra przygoda jednego z głównych dzisiaj nowatorów w Stoczni Gdańskiej. Spektaklu nie można było skończyć wobec sprzeciwu robotniczej publiczności. Nie należy z tego przypadku wyciągać zbyt pośpiesznych wniosków. Nie świadczy on bowiem ani o braku wszelkiej wartości artystycznych przedstawienia, ani o braku przygotowania ludzi bystrych i wrażliwych do odbioru odmiennej sztuki. Dowodzi natomiast w sposób oczywisty, że nie wystąpiła tym razem ta tajemnicza siła artysty, któ-

ry porywał tłumy nie domagając się od nich specjalnego przygotowania. Mit o Orfeuszu przechowuje prawdę, która się nigdy nie starzeje. Muzyk dźwiękami swojej lutni burzył te niewidoczne ściany, które oddzielają nas, ludzi, od innych współmieszkańców ziemi i znajdował dla porozumienia się z nimi środki skuteczniejsze od zwykłej mowy. W tej legendzie kryje się chyba największa tajemnica prawdziwej sztuki. Wyjaśnia po prostu, że dzisiejszy inscenizator, jak dzisiejszy dramaturg utracili obecnie tę czarodziejską moc oddziaływania, bez której ich sztuka staje się równie niepożywna jak malowane ziarno.

A trzeci z tych uznanych twórców sztuki scenicznej, aktor? Słyszy się często, że w gruncie rzeczy on przede wszystkim zasługuje na wymienienie, gdyż bez niego byłoby wprowadzić i literatura dramatyczna i malarstwo sceniczne, ale nie byłoby teatru. Teatru nie powołają do życia ani dziesiątki wybitnych dramaturgów, ani całe zespoły malarzy. Rodzi się on natychmiast, kiedy zjedną się z sobą, aby dokonać teatralnego dzieła sztuki choćby jeden aktor i jeden widz. Teatr polega na współdziałaniu czy nawet na współtworzeniu sceny z widownią, aktorów z publicznością. Przecież jedynie ta gra aktora spełniająca z udziałem widza pozwala skutecznie odróżnić sztukę teatru od wszelkich innych rodzajów sztuki. Jaki zatem zakres władzy posiada aktor w dzisiejszym teatrze? O czym w nim decyduje?

Bez długich namysłów można odpowiedzieć, że w dzisiejszym teatrze aktor nie posiada ani żadnej władzy, ani nie decyduje o niczym. Od dawna, właściwie od wieków, nie ośmiela się upomnieć o prawa przysługujące mu z racji zadań twórczych, jakie w teatrze wykonuje. Rzadko, bodaj tylko w gniewnym buncie, odważa się sam je sobie wyznaczyć. Zazwyczaj czeka posłusznie, aż któryś z jego władców wskaże mu, co ma robić i nawet pouczy, jak ma robić. Tak bardzo stracił zdolność do samodzielności twórczej, że nie przychodzi mu do głowy wziąć losy teatru we własne ręce. Pociąga to bowiem za sobą odpowiedzialność, która zawsze spoczywa na sprawujących władzę, a on odpowiadający co wieczór za prawdę twórczą spektaklu, nie czuje się na siłach, aby urządzić ten świat, który by bez niego nie istniał.

Ta jego bojaźliwość tłumaczy się długimi wiekami uległości. Z dwóch odmian teatru - tego, który wystarczał sam sobie uciekając się do aktora i tego, który za rację swego istnienia wyznawał zależność od innej wyższej sztuki, czyli literatury, w naszej europejskiej tradycji kulturalnej utrzymał się tylko ten drugi. Pierwszy zamilknął wraz z komedią dell'arte i teatrem jarmarcznym. Odwyki od swojej sztuki tak zupełnie, że próby odwołania się do jego zapomnianych umiejętności całkowicie zawiiodły. Zachwył dla komedii dell'arte nie doprowadził do jej wskrzeszenia. Wzmocnił jedynie skłonność teatru, zawsze dosyć żywą, do naśladowstwa. Podsunął nowe odmiany stylizacji umacniając złudzenie, że może ona zastąpić prawdziwy styl. Nieco później te tendencje, wznowione w postaci "teatru otwartego" nie przyniosły nawet takich korzyści. Posłużyły do zabawy lekkomyślnym teatrom studenckim i poszukującym rozpaczliwie celu teatrom zawodowym. Na jednym terenie rozpytnęły się wkrótce w niepamięć, na drugim doprowadziły do swobod budzących najczęściej głębokie zażenowanie. Nie sposób było nie odczuwać zawstyżenia na widok starszych panów, którzy demonstrowali niepokoje seksualne z okrusu dojrzenia. Teatr zawodowy wrócił szybko do starych przyzwyczajeń. Aktorzy po dawemu uczą się na pamięć ról ze sztuk przeważnie wydawanych w książkach, więc przeznaczonych również - jeśli nie przede wszystkim - do czytania.

Nie znaczy to jednak, aby aktor popadł znowu w niewolę autorów i pod jego nadzorem uprawiał "sztukę deklamacji", wykładaną w uczonych rozprawach. Od tej wiekowej zależności wyzolił go inscenizator. Wcale jednak nie po to, żeby przywrócić mu wolność. Narzucił mu bowiem przemoc własną, jak te państwa, które niezbyt dokładnie rozróżniają oswobodzenie od pokoju.

Nie jest to porównanie przypadkowe. Od osasów Craiga wielu malarzy kusi niemal boska wszechmoc, którą mogliby sprawować już nie w własnej pracowni, ale w teatrze. Paru z nich zdołało u nas spełnić te marzenia. Otóż trudno by

przyszedło znaleźć przykłady władzy równie wymagającej i niewyrozumiałej niż ta, której podlegają aktorzy na scenach rządzonych przez plastyków. Uczą się szło poety po to, żeby je wykrzykiwać przy jednoczesnym tłuczeniu młotkiem w miednicę. Mają za zadanie przekazywać głębokie myśli i wielkie uczucia, ale twarze ich kryją maski albo kompozycje kolorystyczne, a ciała krępują ramiona wyrastające z bioder, kobiecie piersi zwisające z pleców, nawet drewniane stołki zrosnione nie z siedzeniem ale z brzuchem. Ukazywanie w ten sposób dziwności świata dowodzi, że aktor nawykł do posłuszeństwa budzącego podziw. Jak się okazało w niedawnych wydarzeniach tylko naruszenie jego obywatelskiej godności może go z tej karności wytrącić.

Miarę aktorskiego oneśmielenia dopełnia wreszcie ustrój, w którym teatrowi przyszedło pracować. Wraz z zaprowadzeniem nowego żądu politycznego przybył mu nowy władca, wyposażony w skuteczne środki przemocy. Jest nim wykonawca woli samowładnego państwa - urzędnik. W imieniu tego państwa urzędnik pilnuje, aby teatr stosował się ściśle do przepisów, które sprowadzą szczęście na tę zaniebana ziemię. Dokona się to przez uznanie za najwyższą wartość produkcji i zamianę wszystkiego, co istnieje, w przedsiębiorstwa, gdzie się bez przerwy planuje, oblicza, księguje, kontroluje, sprawdza, akceptuje, anuluje, koryguje i zapisuje. Przede wszystkim zapisuje. Ponieważ teatr został uznany za przedsiębiorstwo produkujące upowszechnienie sztuk uznanych za pozytywne, więc roztoczono nad nim nadzór bardzo ścisły i aktor wraz z głównym księgowym, jego zastępcą i kilkunastu starszymi i młodszyimi księgowymi stał się pracownikiem przedsiębiorstwa. Zupełnie jak w fabryce mydła albo tuczarni drobiu - jedynie gorzej płatnym, gdyż myć się od czasu do czasu należy i również od czasu do czasu spojrzeć rosół z kury, natomiast bez teatru obcyć się można.

Nic więc dziwnego, że w tych warunkach aktor utracił do reszty wiarę, że mógłby cokolwiek zmienić nawet we własnym warstacie. Pozwala to zrozumieć, czemu nasi aktorzy w trakcie tych dwóch bujnych lat, kiedy kto żyw na swój własny sposób naprawiał Polskę, nie zdobyli zię choćby na nieśmiały projekt urzędzenia, tak teatru, aby służył ich twórczości. Okazało się - nieszety - że z wszystkich różnorodnych twórców, ubiegających się o rządy w teatrze, aktor przejawia najmniej skłomości władczych.

Skoło zatem do wprowadzenia zmian w tej dziedzinie sztuki nie okazał się zdolny ani autor, ani inscenizator, ani aktor, ani - strzeż nas Panie Boże! - posłuszny doktrynie administrator, to kto w takim razie wprowadził ood nowego na scenę? Jeśli dzieją się tam rzeczy nowe? Wydaje się, że naprawdę się dzieją i zwiastują odmłodzenie tej starej i znużonej instytucji. W ostatnich paru latach, upamiętnionych naprzód wspaniałym zrywem wolności, a potem nikczemnym odwetem przemocy, wystąpiły w teatrze wydarzenia, zasługujące na znacznie bacniejszą uwagę niż ta, jaką dotychczas zwróciły.

Ujawniły się wczelnie, Właściwie towarzyszyły od samego początku historii tych czasów. Już w pierwszych dniach robotniczego sprzeciwu, gdy lada chwila nad Stocznię w Gdańsku mogły zjawić się, jak przed dziesięciu laty, te same helikoptery, z których na rozkaz przywódców proletariatu miano rozstrzeliwać nieposłusznych robotników - do strajkującej od paru dni załogi przybyli aktorzy z teatrów Wybrzeża. Setkom zmęczonych ludzi mówili urwyki z Książki Narodu Polskiego i Pielgrzymstwa Polskiego. Kiedy skończyli, otoczył ich tłum mężczyzn z oczami lśniącyimi od wzruszenia. "Jak to, panie - pytali - nazywał się ten poeta, który to napisał? Musi to być któryś z tych zakazanych literatów, których się nie drukuje... Jeszcześmy o nim nie słyszeli..." Bardzo się zdziwili, że to postanie do Polaków napisał Mickiewicz przed półtora wiekiem i kiwali też ze współczuciem głowami na wiadomość, że tej książki nie można nigdzie kupić, jak o to pytali, gdyż rządzący nami od roku 1945 nie pozwolili jej drukować w oddzielnym wydaniu. Mieli swoje, albo i nie swoje, poglądy na wiedzę przydatną Polakom dla zapewnienia im pomyślnej przyszłości.

To spotkanie robotników z aktorami w niezwykłych okolicznościach, sprzyjających silnym uniesieniom, udziela odpowiedzi na postawione na wstępie i wciąż ponawiane pytanie: kto mianowicie odmienił u nas teatr, jeśli ten teatr doznał przeobrażenia. Teatr? Tak, improwizowany występ aktorów Wybrzeża w Stoczni był teatrem i to tym prawdziwym teatrem, w którym współtwórcą stał się ten z uczestników gry, bez którego, jak bez aktora, przedstawienie nie mogłoby się odbyć. Nareszcie zjawił się od dawna oczekiwany i bezskutecznie zywany widz.

Gwałtowność wydarzeń przetaczających się przez nasz kraj w tych latach zatarła pamięć owych występów, bo było ich więcej, tak gruntownie, że nie stały się one odkryciem. Nie umiano wyczytać z nich żadnej rozumnej i użytecznej myśli. Nie poszukano wskazówek, która powiedziałyby, jak należy korzystać z nadarzających się sposobności. Kiedy stanął otworem w Warszawie znakomicie wyposażony "Teatr na Woli", to ani potężnej organizacji "Solidarności", ani organizacji aktorskiej ZASP nie starczyło odwagi, aby wspólnie poprowadzić nową placówkę. A przecież tak łatwo w ówczesnych warunkach było powołać do życia scenę, na której także poprzez sztukę dokonywałoby się zjednoczenie ludzi dotychczas sztucznie rozdzielanych i zacierających się fikcyjne różnice między tymi, którzy "myślą" i tymi, którzy "pracują". Pozwoliłoby to wreszcie zbudować to państwo nowoczesne, w którym wolność byłaby wyrazem szacunku dla człowieka.

Trzeba było ponurej nocy 13 grudnia i czołgów na ulicach, żeby tanta jakoby przypadkowa próba sprzed dwóch lat odzyskała dawną siłę. Niemal czarodziejską siłą fletni Orfeusza. Nie zrozumie ten dzisiejszego teatru, kto nie dostrzeże, że od chwili wprowadzenia stanu wojennego władzę w teatrze przejął widz. To on przeprowadził zwycięsko protest aktorów przeciw podłości objawianej przez "środki masowego przekazu", on zamienił zwyczajne przedstawienia w wyznania wiary i odwagi, on rozmnożył po kościołach i domach prywatnych widowiska, które nie tylko głoszą potrzebę wolności, ale i pozwalają jej zaznać. Często dokonał jeszcze trudniejszej rzeczy. Wypełnił utwory pospolite tak bardzo własnymi namietnościami, marzeniami, głodami ciągle nienasyconej dumy i godności, że uczynił z nich coś więcej nawet niż dzieła sztuki. Być może, że przywrócił teatrowi zdolność wywoływania przeżyć zbiorowych, podobną do tej, jaką był obdarzony teatr grecki czy średniowieczny. Oba te teatry posłużywały się dla określenia swojej sztuki nazwą misteriów. Kto wie, czy dzięki widzowi, teatr, w którym on dochodzi do głosu, nie będzie się znowu odwoływał do tajemnic niedostępnych teatrom oficjalnym? Pytanie to zasługuje na poważniejsze zastanowienie. Tutaj zostało ledwie postawione.

\* \* \* \* \*

ODIZOŁOWAĆ, ALE ZACHOWAĆ PRZY ŻYCIU...  
TEATR ÓSMEGO DNIA W POZNANIU. MANDELSZTAM

SCENARIUSZ: LECH RACZAK

GRUDZIEŃ 1982

Żyjemy tu, nie czując pod stopami ziemi,  
Nie słychać i na dziesięć kroków, co szepczemy,

A w półsłówkach, w półrozświadczeniach naszych  
Cień górala kremłowskiego straszy.

Palce, tłuście jak czerwie, w grubą pięść układa,  
Słowo mu z ust pudowym ciężarem upada.

Śmieją się karaluszki wąsiska  
I cholewa jak słońce rozblýska.

Wokół niego hałastrza cienkoszybych wodzów:  
Bawi go tych usłużnych półludzików mózók.

Jeden lka, drugi cza, trzeci skrzeszy,  
A on sam szturcha ich i szorzeszy.

I ukaz za ukazem kuje jak podkowę -  
Temu w pysk, temu w kark, temu w brzuch, temu w głowę.

Miodem kapie każda nowa śmierć  
Na szeroką osetyńską pierś.

Ten wiersz z listopada 1933 zadecydował o losie jednego z największych poetów naszego wieku. Od przeszło ćwierćwiecza nie żyje "kremłowski góral", który z właściwą sobie przewrotnością wydał diabelski wyrok: "Izolirowat' no scchranit'". Jest 4 grudnia 1982, jesteśmy w Poznaniu. Spektakl Teatru 8 Dnia nazywa się M a n d e l s z t a m i jest hołdem złożonym pamięci zamęczonego w nieznanym łagrze poety. Ale nie tylko. Po przedstawieniu, na stole, wśród zbieraniny wyszczerbionych kubków z herbatą, kieliszków z wodką, obok miski wojennego, obozowego smalcu pojawiają się zdjęcia przyjaciół - tych, których dzieli od nas więzienna krata: Adama Michnika, Jacka Ch. Nie żyje "kremłowski góral", świeżo pogrzebano kóregoś już jego następcę, ale trwa społeczna architektura, której podwaliny kładł "duszegubca i muzikoborec", trwa Obóz, Nadzágier, wielka stalinowska antyutopia. W generalsko-partyjnej Polsce stanu wojennego 1982. Znow "nie słychać i na dziesięć kroków, co szepczemy" - spektakl nie ma jeszcze zezwolenia cenzury, grany jako próba dla szczupłego grona przyjaciół 8 Dnia z Poznania i z całego kraju. Och, nie - Jaruzelski jest wszak liberałem - śmiertelnych ofiar wojny z narodem jest kilkadziesiąt "ledwo", skazanych ledwo kilka tysięcy, internowanych ledwo kilkaset - jakież tu rachunki z wielomilionowymi ofiarami Stalina, jakież porównania kilkadziesiąciu obozów odosobnienia z tysiącami łagrów Kołymy, Magadanu, Workuty... Reżim łagodnieje, dialektyka postępuje, ilość precedencji, jakosć, wykształca się odrębność "polskiej drogi do socjalizmu" - po co porzucić tysiące łagrów, skoro można niewielki kraj w ciągu jednej nocy "Blitzkriegu" zamienić w wielki łagier, a naród "zachować przy życiu" za cenę najmniejszego zła?

\* \* \*

W przedstawieniu korzystano wyłącznie z przekładów St. Barańczaka.



Prymitywny, długi stół, wokół niego proste ławy - polskiej wyobraźni i pamięci zbiorowej tak dobrze znane od z górą stu lat. Stół "etapu" ze starego polskiego szlaku na Sybir. Stół z "Wieczery zesłańców" Jacka Malczewskiego, i z niedawnej inscenizacji D z i a d ó w Macieja Prusa w gdańskim Teatrze "Wybrzeże". Dziś wieczerz w Poznaniu to symboliczny stół etapu w niewiadome, nas, tu zebranych. Z każdym wchodzi tu jego historia, jego przeżycie tej najdziwniejszej wojny. W. i L. jeszcze kilkanaście dni temu siedzieli w obozach. Od 13 grudnia A. udało się przetrwać na wolności do lutego. Wypuścili ją w sierpniu. R. szczęśliwie uniknął internatu. Marcin po raz pierwszy jest gościem własnego teatru - właśnie dziś zwolnili go z wojska. Z kategorią "D", nigdy nie powoływany, spędził miesiąc na poligonie w Rawiczu. W kompanii oznaczonych tą samą kategorią zdaności do służby ludzi z całego regionu południowo-wschodniego. Górnicy z ciężką pylicą, wrocławscy działacze "Solidarności" z najróżniejszymi chorobami ćwiczyli razem z Marcinem "Padnię, powstań", brali lekcje "poligratowy". W nie istniejącej jednostce, stworzonej specjalnie dla "Solidarnościowej" ekstremy. Przedterminowe zwolnienie zawdzięcza Marcin ciężkiemu atakowi epilepsji jednego z współtowarzyszy. Oto polski wariant ukazu "izolirować no soobranit", anno 1982...

I tak siedzimy wokół stołu, na którym otwiera się historia "zwierzęcia ofiarnego", Osipa Mandelsztama i nasza własna. Coś z zaduszak, elegia na śmierć zamordowanej nadziei. Znowu katakumby, jeszcze raz - który to już? - ziarno zagrzebane diabelskim kopytem w ziemię. Przyszłość tak bliska - ta wymarzona "lepsza przyszłość" - znowu stała się przeszłością, zamiast teraźniejszości ziele wielka dziura. Między czym i czym?

Sztuka inaczej niż życie stawia takie pytania. Nadzieja jest w niej zawsze. Teraźniejszość to jej jedyny, choćby najokrutniejszy czas. Z jego prawdy buduje się jej przyszłość, śpiewa się jej wiečność. Wzaniecie tak, jak pięknym caterwilterem zapisał Mandelsztam: "Pozbawiając mnie mórz, rozmachu i rozbięgu, / Dając pod stopę ziemi przymusowej skr, / Jakiście osiągnęli zysk? Niewiele tego: / Nie odbierzecie mi poruszeń moich warg". I dlatego prosty, elegijny spektakl Teatru 8 Dnia jest hommagium, ale nie jest trenem żałobnym. Jest afirmacją prawdy i wyzwania, jakie rzuca ona każdemu ludzkiemu istnieniu. A wyzwanie to w życiu Mandelsztama spełnia się nie poprzez tragiczną śmierć, ale przez wielkość poezji. Nie traci ona nic, gdy jej odjęć heroiczną legendę życia poety; przecucie tragicznego finału, poczucie wilczego czasu epoki jest całe w wierszach. Wchłaniane jak oddech razem z zachwyceniem urodą świata. Ilu poetów naszego wieku wytrzymałe taką próbę - wolności od biografii, legendy, ilu - dowartościowujemy rzeczownikami i przymiotnikami: "chuligan", polityczny, zaangażowany? Ilu sprawiedliwych miota same słuszne przekleństwa, ilu Hiobów monodycznie lamentuje? Nie w słuszności prawda, ani w samej tylko prawdziwości słów jest wielkość poezji - te dotykają ledwo naszkrobą życia, cieniutkiej warstewki ulotnego piasku - historii czyli polityki. Traktowane jako istota rzeczy są zaledwie nazywaniem chwili i skazują na wieczną pogon za "aktualnością", skazują na krzyk. Czego brak w przeżyciu bytu, nadrabia się gromkością głosu. Los Mandelsztama w dojmującym sposób pokazuje, że to nie poeta ściga historię. Odwrotnie - to ona go ściga.

Powtarzam tu, własnymi słowami, co powiedzieli lepiej ode mnie najwięksi. Z dwu powodów. Pierwszy i najważniejszy jest ten, że choroba aktualności naszkrobkiej, stale zagrażająca polskiej sztuce współczesnej, dziś ma całkiem szczególne warunki inkubacji. Dziś, gdy jesteśmy skrzywdzeni przez historię, zniewoleni po raz kolejny - czyż nie mamy prawa, więcej - obowiązku - głośno krzyknąć o tym i tylko o tym? Tak. Many. Ale zostawmy ten krzyk publiczny i dokumentom. Dla głębszej myśli, dla sztuki ten krzyk jest zabójczy - stwarza jej dobrowolną autocenzurę ślepoty na świat, prócz tego świata, któremu krzykiem zaprzecza, skazuje na wieczny relatywizm wartości. Brutalnie mówiąc - nie z człowiekiem rozmawia taka sztuka, ale przekomarza się z władzą, jest jej cieniem i funkcją.

Powód drugi dotyczy Teatru 8 Dnia. Nigdy nie przestanie mnie zdumiewać

ten zupełnie niebawomy w polskim teatrze cud. Grupa ludzi, którą wszystkie okoliczności zbiorowej biografii od lat wypychają w ten zaulek, w pokusę dorośniętowania sztuki osobistymi doświadczeniami "politycznie podejrzanych", nigdy z tej kątowej przepustki nie skorzystała. /Jakże daleko poza nimi wloką się ostatni męczennicy teatru zawodowego - wyrzuceni, odsunięci, którym dopiero stan wojenny uzmysłowił najważniejsze pytanie kondycji artysty - z kim i dla kogo się jest.../ Czy Teatr 8 Dnia nie jest teatrem politycznym? Ależ tak - większość przedstawień rozgrywa się tu i teraz, w naszej strefie geopolitycznej. Nie dorażność decyduje wszakże o tym, że jest to potyjący, prawdziwy, prawdziwie współczesny teatr. Po prostu - teatr.

Znam ich dobrze - już spektakl *A o h, j a k z e g o d n i e z y l i ś m y /1979/* ukazał w pełnym blasku to niekłamane przeżycie współczesności aktora-obywatela, aktora-człowieka, które pozwala wlecieć ponad nią, objąć całąłość, powszechność ludzkiej kondycji aktorowi - artyście. A przecież znowu mnie zaskoczyli. Pamiętam ich pierwszy wojenny spektakl, oparty na *P r z y p o w i e ś c i* Faulknera, w czerwcu '82. "Wojna" była na półmetku, nastroje dalekie od dzisiejszych. Jeszcze duch walki fizycznej szedł w zawody z potrzebą uwznioślenia cierpienia skazanych i internowanych. Oczekiwaliśmy po nich słowa w tym duchu. Chcieliśmy jakiegoś aktualnego przekładu z buntu przeciwko wojnie 12 Faulknerowskich żołnierzy-apostołów, na wojnę, w której zyliliśmy. Ale nie. W celi skazanych buntowników był rekwiizyt z naszych więziennych cel - grzałka z żyłek, była historia eoldateski, ale jakże groteskowa, pokraczna, jak niepodobna do tej, którą na ulicy odczuwaliśmy jako złowrogie fatum. Ten spektakl ujmował we właściwej skali straszliwy banal potwarzającego się scenariusza. I coś więcej - ani nie nobilitował naszych wrogów, ani wartości cierpienia jako cierpienia w słusznej sprawie, "heroizmu przeciwko", "buntu przeciwko". To był spektakl o buncie "za". Za najprostszymi barwami i smakiem życia - zwyczajną zabawą w gospodzie, dziewczęcą piosenką w letni wieczór. Poż przez szaleństwo wojny, Chrystusową ofiarę Kaprała, przebiegał ten prosty rysunek życia, do którego prawo i nam odebrano. A bunt anarchiczny zmienił się w bunt ewangeliczny.

W całonocnej "Polaków rozmowie" pięknym, wziętym od Miłosza obrazem podsumował nowe doświadczenie 8-Dniowców Piotr K.: wśród wynędzniałego, obojętnego na siebie tłumu na jakiejś obskurnej sowieckiej stacji - polska kobieta z czułą troskliwością, w której jest cała pamięć kultury i szacunek dla życia - pochyliła się nad dzieckiem. I w tamtym obrazie, jak w tamtym spektaklu była zapowiedź kontrapunktu Mandelstamskiego wiersza:

Ja muszę żyć, chociażbym już dwa razy umarł  
A w oglupiałym mieście wody szumią.

Jakież jest dobroduszne, wesole, pyzate,  
Jakże lgnie do lemięsza ziemia tłustym piątem.

Jak milczą stępu kwietniowe obroty,  
A niebo, niebo - to twój Buonarrotti!

\* \* \*

Więc prosty stół, wokół niego ławy, w głębi na podwyższeniu estrada. Teatr trójkrotny - gitara, wiolonczela, skrzypce. Ewa Wójciak w długiej czarnej sukni, z chryząntem w kłapie żakietu śpiewa pierwszy wiersz: "Nie mów nikomu - zataj / To, coś widział i wiesz: / Ptaka, staruchę, kraty / I wszystko imię też. /.../" Niepodobna opowiadać poezji, ale już w tej introdukcji są dwa motywy, dwie przewodniczki losu: lęk i zachwyt. Wierszy będzie 12, przeważnie z woroneskiego okresu, większość śpiewanych przez Ewę, trzy w wykonaniu Tadeusza Janiszewskiego - Mandelstama. Ta liczba - 12 - z pewnością nie jest przypadkowa w scenariuszu Leszka Racza. 12 wierszy, jak dwunastu apostołów, wiernych towarzyszy drogi cierpienia, jak 12 miesięcy roku, w których zamyka się symbolika odradzania się życia.

Spektaki mogłyby się nazywać - Historia życia, śmierci i zwycięstwa Osipa Mandelstama. Tworzywem narracji obok wierszy są wspomnienia. Nadzieje Mandelstam i Nadzieja w bezładzie i ościsłości. Czas akcji obejmuje okres od pierwszego aresztowania poety w 1934 aż po śmierć w nieznanym Dalekowschodnim łagrze. Ten czas dzieli się wewnętrznie na przecięcie losu w pierwszej szybie i jego ostateczne dopełnienie, "consumatum est". Ale wyraźnej, ostrej cezurę nie ma - całokształt rzeczywistości pierzeży więziennych celi, jak we śnie przepływającej w obraz spływu wielką rzeką, kiedy stół staje się łodzią, NKWD-zista-Charonem, w gnieźliwą majówkę ludową. Część I zamyka jak koda powtórzony wiersz: "Twoje wąskie ramiona spłyną krwią pod biczeniami". Wcześniej, śpiewane z oddalonej estrady, stłumione są jak odczytywanie znaków przeznaczenia przez sztukę; otwierając to, co nazywam cz. II, Ewa schodzi z estrady, arzuca kabaretowy melonik, staje przy ofiarnym stole - już nie Muza, ale na tę jedną chwilę świądek, towarzysząca niedoli i Anioł Śmierci.

Jak zawsze w tym teatrze, aktor wcielając los jednostkowy niesie na sobie brzemień wielu losów. Bo kiedy śpiewa się tu: "Na grzmiącą wielkość wieków. podchodzących / Na wzloty ludzkiego plemienia / Zamieniam miejsce przy stole wach / I radość, i cześć swą zamieniam" - to śpiewa się i dole poety, i straszliwy rozsyjki los zbiorowy, i los wszystkich wygnanców wieku. "Sud'ba" - wygnanie od "stołu ojców" do stołu ofiarnego była i wciąż jest udziałem milionów. I znów - słowami Mandelstamowskiego wiersza powraca "stół". A ten, wokół którego siedziwy, rozdawia się w swoim bycie: znak zwycięzkiego życia, pierwszych słów, domu - i symbol bezdomności, śmierci, milczenia...

Tadeusz-Mandelstam ma w tym przedstawieniu tylko dwóch towarzyszy /Adam Borowski, Roman Radomski/. To oni są śledczymi, sprawdzającymi zawartość jego paniutkiej walizki - jeden tagrowy "urka" - awansowany najwyraźniej na buchaltera, drugi /Radomski/ w gabarydnym płaszczu - polityczny "starszyna". Ale ci dwaj są też wędrownymi opowiadaczami historii Mandelstama, dwoma aktorami wielkiego teatryzmu. Są z tego narodu, są tym narodem, który czekając swojej kolei w przedsiönku piekła, łudzi się i narkotyzuje przewrotnością stalinowskiego sloganu tanych lat: "Żit' stało wsielieleje..." Z tego narodu, który zapoło od piwa, parówek i tańca na majówce rusza w taniec śmierci. Jest taka przejmująca scena w spektaklu, w której wszystko zlewa się w jedność: nikielne i czyste, niskie i wysokie, ofiary i kaci w jednym desperackim hopaku. Wsielielejski karnawał straceńców. W tej poniżonej ludzkiej tęsknocie za ziemią i cieniem - słyhać jak bicie prawdziwego serca krystaliczny wiersz Mandelstama: "Włoko jedno pragnienie / Niewidzialnie, tajemnie / Pomknąć w świat za promiennym / W dal trwającą bez mnie".

Ci dwaj, opowiadacze, kaci, Kufkowsy nadzorcy, są też literatami. Z Pańkowej służby w NKWD przeszli na służbę własnej wygody, honorariów, dacz, op, starych i nowych. Raczak dokonuje tu bardzo prostego zabiegu. W końcowej części książki Mandelstamowej, wśród wislu niepewnych wersji śmierci poety, wytoczone są opowieści "literata-komsomolca" /szpicla/, Tufiakowe, co i inne, co dzieł bardziej nierealistyczne. Rozpisana na dwa głosy, na dialogi, w których pseudoestetyczne sądy - "Co do mnie, to w poezji cenię wyznacznik form" - przepłatają się z szepcankami - sensacyjkami: "Mandelstam zatknął kryminaliści za kradzież kromki chleba", "Mandelstam został zwolniony i mieszka na Północy z nową żoną" - scena ta jest bezbłądną syntezą społeczną schizofrenii i dwój-mowy stalinizmu.

Słowo Mandelstama, szepczące ze ściśniętej przeczcuciem krtani - prawdę, zachwyty i olśnienie światem, śpiewające Europie rzymskiej łagodności i harmonii prawa, pochwałę nieba wpartego na murach Św. Piotra - przeciwstawia się jej swojej pokracznej karykaturze - samo przeciwieństwo nieproste, zawsze w sobie gardarte, zawieszona między życiem a śmiercią. I w tym jest chyba największa siła, największa mądrość spektaklu Raczaka i Teatru 8 Dnia. Niesmiertelność, triumf prawdy i piękna spełniają się nie dlatego, że opierają się na "jedynę".

siuszości", ale że zamykają w sobie cały dramatyzm, egzystencjalne rozdarcie  
człowieczego losu, tę samą podwójność, której karykaturę budują totalitarne  
systemy. Poeci nie są ludźmi bez lęku. Ale poeta Mandelstam mając pod stopa-  
mi ledwo "ziemi przymusowej akr" - śpiewał pochwałą nieba. I to niebo - jak  
kryształ, niebo-źródło, niebo Dantego powraca w przedstawieniu jako kontrte-  
mat stołu ofiarnego, grobu. Poprzez dobór wierszy /S a m u s z ę t y ć,  
Z a n u r z y ć g ł o w ę w n i e b i e j a k w ź r ó d ł e, Z a b ł a k a k ę m s i ę w n i e b i e . . . /, sytuacji, poprzez kompozycję.  
Spośród wielu wersji śmierci Mandelstama Raczak dramatyzuje tę, wedle której  
w obozie Druga Rzeczka pod Wiadwostokiem opiekował się poetą kryminalista  
Archangielski. A kiedy już się spełniło, kiedy razem z żarówką nad stołem  
głośno szeptał Tadeusza-Mandelstama w cytowanym czterowierszu - z estrady pły-  
nie temat wniebowstępowania /Z a b ł a k a k ę m s i ę w n i e b i e . . . /  
z elegijnym obrazem kończącym ten wiersz: "Ciszej! Chmure prowadzą za ude".  
Zwycięstwo samotnego szeptu poety nad wielogardłowym wrzaskiem epoki.

\*\*\*\*\*

## TRIUMFALNY POGRZEB

**S p i e w n i k d o m o w y** zszedł z afisza Teatru Narodowego w niedzielę 29 maja i było to zejście w pełnej glorii - zgon bohateraki na barykadach stanu wojennego - spektaklu oraz jego Autora. Wprawdzie ten drugi fizycznie odszedł dużo wcześniej, ale w przedstawieniu był do końca obecny duchem, odbierając zaochne salwy oklasków od pełnej widowni, głównie dla niego przeznaczone.

Ostatni widzowie **S p i e w n i k a** oglądali spektakl już okaleczony, wykastrowany z mota, wygłaszanego na wstępie przez Adama Hanuszkiewicza tekstu Moniuszkowskiego, który okazał się prawie tak samo proroczy jak Mickiewiczowska przepowiednia o zbliżeniu jego wierszy pod strzechy. "To, co narodo-we, co jest echem dziecińcyń naszych przypomnień, nigdy mieszkańcom ziemi, na której się modlili i wyrosli, podobać się nie przestanie". Widzów ostatnich przedstawień **S p i e w n i k a** wojenna dyrekcja Teatru Narodowego poz-bawiała nie tylko tego ważkiego cytatu, lecz także drukowanego programu, zas-tępując go kartką, z której niczego nie można się dowiedzieć poza obsadą. Ale może to i lepiej, bo co w takim programie można umieścić poza aluzjami - o ileż mocniejszymi w samym spektaklu, gdzie łatwiej można je przemyścić już nie tylko słowem i muzyką, ale intonacją głosu, dynamiką, gestem czy ruchem. W **S p i e w n i k u** jest ich dużo: tych prostych, zrozumiałych dla każdego wi-dza, i tych bardziej wyrafinowanych, których mądry widz nie przeoczy a głupi cenzor nie zauważy.

Gdzieś na granicy między tymi dwoma rodzajami aluzji /ale bliżej tego drugiego/ znajduje się żelazna kurtyna, wykorzystywana jako scenografia w dru-giej części spektaklu. Zrazu prawie niezauważalna, zaczyna grać w chwili, gdy do zgromadzonych na scenie kobiet dochodzą coraz czarniejsze wieści o nieo-becnych mężach, ojcach i braciach. Wówczas jedna z nich zamyka umieszczoną w żelaznej kurtynie drzwi, później zaś cała kurtyna idzie do góry, wydając przy tym straszliwy grzyt. Tej aluzji już nie mogli nie zauważyć cenzorzy i w czasie przedpremierowej kontroli zarządzali zmiany scenografii. Ale Hanuszkie-wicz oświadczył, że żadnej innej scenografii nie zdąży się już zrobić, można tylko odłożyć premierę wyznaczoną na 31 grudnia 1982. A ponieważ tej ostat-niej realizacji scenicznej Hanuszkiewicza w Teatrze Narodowym nie chciano przesunąć na rok następny, bo przedłużyłoby to jego kadencję dyrektorską - żelazną kurtynę przeknięto.

Komu należy zawdzięczać ów kolosalny sukces **S p i e w n i k a d o m o - w e g o**, który grany przy pełnej widowni mógłby być grany zapewne jeszcze dłu-go, gdyby go nie zdjęto z rozkazu dyspozycyjnej nowej dyrekcji? Moniuszko, Hanuszkiewiczowi, zespołowi aktorów Teatru Narodowego, czy też Włodzimierzowi Nahornemu, który dokonał nowej aranżacji starych Moniuszkowskich melodii? Każdy ma tu bowiem swoją cząstkę. Moniuszko - przede wszystkim jako kompozy-tor piosenki, których genialność zasadza się na prostocie; na tym, że natych-miast "wpadają w ucho", zwłaszcza w polskie, bo mu się kojarzą ze śpiewami lu-dowymi, narodowymi, religijnymi, na skutek świadomego z nimi podobieństwa. Nahorny - bo te piosenki, tkwiące głęboko w XIX-wiecznej tradycji, odświeżył, przybliżając w ten sposób dzisiejszemu słuchaczowi, zwłaszcza młodemu. Zespo-łowi Teatru Narodowego i poszczególnym aktorom, wyłamującym się nieco z będą-czej bohaterem tego przedstawienia zbiorowości ludzkiej /tu na wyróżnienie zas-tępuje Anna Chodakowska, jako interpretatorka "umłodzieżowionej" wersji pie-sni **Z n a s z - l i t e n k r a j a** na reprimendę Agnieszka Patyga, w pa-rodach stylu operowego szarżująca, a niekiedy także fałszująca/. Zaś osobno trzeba pochwalić "matkującą" swoim niekształconym w muzyce kolegom Alinę Bo-lschowską, śpiewającą jednakowo pięknie od trzydziestu pięciu lat. No i oczy-wiście cały zespół, który wyczytł się śpiewać czysto i porządnie wiele piosenki

latwych do słuchania lecz wcale niełatwych do zaśpiewania. A pochwały należą się tu nie tylko uczniom, ale i pedagogom, wymienionym z nazwiska w mini-programie /Wojciech Borkowski, Beata Nowicka, Piotr Wujlewicz/ i niewymienionym /jak chórmistrz Romuald Miąsaga, uczestniczący jako dyrygent w ostatnich przedstawieniach **S p i e w n i k a**/.

Ale wszyscy oni to jedynie orkiestra, skompaniująca głównemu soliście tego koncertu - Adamowi Hamuszkiewiczowi. On to przedstawienie powołał do życia, z ponad trzystu pieśni Moniuszkowskich wybierając ponad dwadzieścia, do pierwszej części wedle kryteriów dość przypadkowych, a do drugiej już według ściśle określonych.

Pierwsza część przedstawienia, wolna od jakiegokolwiek fabuły, jest zwykłą **składanką** rozmaitych utworów wokalnych z lekka zainscenizowanych. Jej pogodny nastrój męci tylko niekiedy drobny zgrzyt w rodzaju refrenu pieśni, śpiewanej przez chór męski: "było źle, będzie jeszcze gorzej". Dramat - ciągle niefabularny, tylko fabularyzowany, przez przetykanie pieśni Moniuszki grypsami uczestników Powstania Styczniowego, pisany z więzieniu do rodzin - rozpoczyna się /i kończy/ w drugiej części, której ledwo zarysowana akcja rozgrywa się przy dużym stole, z udziałem prawie samych kobiet, ubranych na szaro i noszących na piersiach czarne krzyże. Niełatwo przyszło Hamuszkiewiczowi wytworzyć tu żałobny nastrój, bo Moniuszko nie skomponował ani jednej pieśni żałobnej /nie licząc **T r e n u** do słów Kochanowskiego, który nie pasował do idei spektaklu/, ale rasowy dyrygent i z tym sobie poradził, nadając odpowiednią interpretację pieśniom o innym charakterze /jak **P s a l m P o k u t n y**, **D o b r a n o c** czy **M a t u l e ś k o**, o n n i e w r ó c i /.

Po zgrzytliwym podniesieniu żelaznej kurtyny słychać po raz drugi **P i e ś n i r y c e r s k i e** Moniuszki, która jako jedyna była puszczana przez głośniki. W pierwszej części robiła ona trochę niepokojące wrażenie ze względu na swoją natarczywą głośność i fakt, że śpiewający ją na proscenium chór męski był pogorzany w cieniu. Mimo to kojarzyło się nadal z miłym polskiemu sercu rycerstwem. Teraz stało się oczywiste, że należy ją wiązać z wojakami, którzy rozpoczęli wojnę 13 grudnia 1981, wykonując rozkaz wydany przez obce mocarstwo. "Bo wszędzie ten pierwszy, kto w boju na przedzie" - te słowa nie mówią już o rycerskiej odwadze, lecz przeciwnie - o niewolniczej służalczości; w tym boju nie chodzi o zdobywanie szczytów wroga, ale o utrzymanie w posiadaniu daczki i stanowisk. Hamuszkiewicz przewrócił na nice sens tej szlachetnej w zamyśle pieśni, tak jak generał Jaruzelski przewrócił sens wojska w służbie narodu. Przenicowanie **P i e ś n i r y c e r s k i e j** Moniuszki to znakomity pomysł inscenizatora, który jakby sam się go przestraszył, robiąc zaraz potem bezsensowne dramaturgiczne cięcia, łącznie dość brutalnie żałobny nastrój - przez wprowadzenie sceny tanecznej: Mazura ze **S t r a s z n e g o d w o r u**. Ta nagła wesołość na scenie to zapewne haracz splecany Wronie i jej służce cenzurze - więziennie-żałobny finał prawdopodobnie by "nie przeszedł". Ale i na tego sztucznie tutaj wmontowanego Mazura znalazł Hamuszkiewicz sposób, "przebijając" go na samym końcu /bis zaplanowany!/. powtórzeniem pieśni z refrenem: "było źle, będzie jeszcze gorzej!". Na taki finał spektaklu przystają wszyscy, epizod z **Mazurem** traktując jako nieuniknione ciałko obce.

W demokratycznych krajach recenzenci, wolni od jakiegokolwiek obciążen, starają się jak najszybciej opisać przedstawienie, zwykle natychmiast po opuszczeniu teatru, aby już rano premierowy widz mógł przeczytać recenzję w gazecie. W krajach totalitarnych jest akurat odwrotnie. Jeśli przedstawienie porusza sprawy aktualne, zawiera aluzje do sytuacji społeczno-politycznej w kraju, a co nie daj Boże elementy krytyki czy protestu wobec władzy - recenzent winien być szczególnie opieszalszy, aby jego publikacje nie stała się śmiałowolnym donosem, mogącym spowodować wcześniejsze zdjęcie spektaklu z afisza. A ponieważ **S p i e w n i k d o m o w y** w Teatrze Narodowym należy do tego typu przedstawień, niniejsza recenzja ukazuje się z bezpiecznym opóźnieniem. Jest wprawdzie musztardą po obiedzie, ale do końca zjedzonym, a nie przerywanym zaraz po zupie.

## TRZYDZIESTY ÓSMY SEZON

Kogo obchodzi dzisiaj teatr? Garstkę wiornych kibiców? Teatrologów? Ministra Kultury i Sztuki?

Z publicznością bywa różnie: zapełnia jeszcze widownie /niektóre/, ale nie tyle z miłości do sztuki, ile raczej z sympatii do poszczególnych reżyserów i aktorów, dzięki którym może poklaskać w dowolnych momentach przedstawienia i z nadzieją na lepsze jutro wrócić do domu. Jedną z funkcji sztuki teatralnej była zawsze terapia, a dzisiaj przerodziła się ona w terapię poprzez rekompensatę. Takie czasy...

Teatrologów zajmuje zwykle bardziej historia teatru. Na wszelkie działania społeczne /a do nich należy wszak sztuka/ - tłumaczą - trzeba spoglądać z dystansem; dopiero zdobycie dystansu pozwala racjonalizować, obiektywizować i opisywać. Dlatego też więcej się pisze /sensownie/ o teatrze dziewiętnastowiecznym czy młodopolskim, niż współczesnym. /W najgorszej sytuacji są krytycy, powołani ex definitione do oceny aktualności; czy można napisać artykuł o "kolaborancie", o dyrektorze, który "jest źle widziany", o "zdjętym" przedstawieniu? I - jak napisać? Kogo pochwalić? Kogo zganić?/

Największe zainteresowanie dzisiejszym teatrem przejawia chyba Minister Kultury i Sztuki, wprowadzając przynajmniej jakieś ożywienie w chorowitym ostatnio środowisku. Powołanie Teatru Rzeczypospolitej, zmiana dyrekcji Teatru Narodowego, rozwiązanie ZASP-u - to wystarczające dowody troski.

Zbliża się półmetek bieżącego sezonu teatralnego, trzydziestego ósmego w dziejach PRL. Znowu pomziemiały się dyrekcje, zespoły, repertuary. Przygotowano już średnio po dwie premiery. Recenzenci siedzą dalej w swych fotelach /niektórzy nawet opisują to, co widzieli/. Machina się toczy. I zapewne toczyć się będzie coraz szybciej.

A ja - niegdyś tzw. teatroman - zamiast biec na ostatnią Hanuszkiewiczowską premierę w Narodowym i obserwować bacznie, jak pracuje teatralna maszyna - w sezonie 1982/1983, uciekam od współczesności /taka prywatna "emigracja wewnętrzna", choć pewnie nie wytrwam w niej nawet do końca tego felietonu/ i spoglądam wstecz, sięgając po książkę Marty Fik pt. **T r z y d z i e ś c i p i ę ć s e z o n ó w . T e a t r y d r a m a t y c z n e w P o l s c e w l a t a c h 1 9 4 4 - 1 9 7 9 . / W a r s z a w a 1 9 8 1 . /** Dobra to lektura, gdyż traktuje głównie o sukcesach i osiągnięciach polskiego teatru; o wybitnych inscenizacjach i ich autorach - reżyserach, scenografach, aktorach. Okazuje się, że pomimo permanentnego kryzysu /trwającego nieprzerwanie - jeśli wierzyć krytyce - od z górą sześćdziesięciu lat/ **coś** się w teatrze zawsze dzieje, że w otocze codzienności niemal w każdym sezonie zdarzają się zjawiska odświętne.

Może rzeczywiście nie mamy w Polsce Teatru /przez duże T/ - kto go ma? - ale bywają u nas na pewno święta teatralne. I - nie bądźmy idealistami - tak właśnie powinno być. Dopiero wtedy dostrzegamy bowiem, że teatr w ogóle istnieje, że nas obchodzi. Wtedy też zazwyczaj część krytyki ponawia swoje błędne lamenty pod hasłem: dlaczego Teatr Popularny nie jest tak dobry jak Dramatyczny, albo dlaczego w operetce nie grają **D z i a d ó w** /w reżyserii Swinarskiego oczywiście/? Czyli dlaczego codzienność nie staje się świętem?

W minionym trzydziestopięcioletcu /tzn. 1944-1979/ - jak udowodnia Fikówna - święt teatralnych było wiele. Przykładów można by wyliczyć bardzo dużo - od **W e s e l a** w reżyserii Jacka Woszczerowicza w Teatrze I Armii Wojska Polskiego z 1944 roku po np. **U m a r ł ą k l a s ę** z 1975 r., czy **S e n o b e z g r z e s z n e j** Jarockiego z 1979. Zdajmy więc sobie wreszcie sprawę, że teatr polski, mimo różnych przeciwności losu, był dotąd teatrem

dobrym, z dobrymi reżyserami, dobrymi scenografami, świetnymi aktorami. I jeśli nie przekona nas dzisiaj Marta Fik, to zrobi to na pewno za pięćdziesiąt lat jakiś Teatralski, z historycznego już punktu widzenia. Ale uwaga: napisałem "teatr polski był dotąd teatrem dobrym". Trzydziesty siódmy sezon okazał się bowiem jakowyś, trzydziesty ósmy też nie przyniósł jeszcze święta. Dopiero teraz, dzisiaj, pojawia się niebezpieczeństwo. Dopiero teraz można zacząć mówić o kryzysie. Z jednym wszakże zastrzeżeniem: jest to kryzys naturalny, oczywisty i zrozumiały! I nie jest skutkiem przesilenia teatralnego czy artystycznego. Niby dlaczego bowiem w czasie pogłębiającej się nieustannie nie-normalności, teatr - sztuka żywa i najbardziej ze wszystkich społeczna - miałby pozostać normalny, zdrowy, święteczny? "Teatr jest samopoznaniem życia - życie poznaje się przez zestawienie z prawdą" /Brzozowski/.

Wróćmy do T r z y d z i e s t u p i ę c i u s e z o n ó w. Pisząc o teatrze, należy brać pod uwagę dwa zagadnienia: działalność artystyczną /tzn. repertuar, sposób inscenizacji, sztukę aktorską itp./ oraz jej kontekst /tzn. fakty społeczne, polityczne, historyczne, a także środki techniczne i finansowe/. Wtedy dopiero można ukazać procesy rządzące rozwojem teatru, jego ewolucję, jego miejsce w życiu społecznym i artystycznym. Ów kontekst muszą przede wszystkim uwzględniać wszystkie syntezy, dzieła traktujące o historii teatru. I zwykle to czynią, bo są pisane "z dystansu". Charakterystyka scenicznej współczesności - to o wiele trudniejsze zadanie, gdyż - upraszczając nieco - kontekst jest żywy, żywi są też ci, którzy kontekst tworzyli, którzy o nim decydowali i decydują. Dlatego dzisiaj, tutaj, nie można opisać rzetelnie powojennego życia teatralnego. Podkreślam - życia teatralnego, bo samą działalność artystyczną - jak się chce i potrafi - omówić można. Dowodzi tego właśnie książka Marty Fik.

Autorka bardzo dobrze zdaje sobie sprawę z ograniczeń. We wstępie pisze: "Większą jeszcze niedogodnością jest sprawa powiązania przemian zachodzących w teatrze, z przemianami zachodzącymi choćby w polityce kulturalnej, odbijającą z kolei ewolucję dokonującą się nie tylko w kulturze. Zwracano na ten związek uwagę w niektórych rozdziałach /głównie R e p e r t u a r, S c e n o g r a f i a, podrozdziały o krytyce teatralnej/, ale są to z konieczności rozwiązania cząstkowe. Wiadomo zaś, jak silnie byt teatru - sztuki bardziej niż inne społecznej - zależy od tego, co nie tylko pozateatralne, ale często i pozartystyczne".

Daje nam więc Fikówna w rezultacie obraz ewolucji artystycznej teatru polskiego, kontekst zaś pozostawić musi między wierszami, ale czyni to umiejętnie, tak że zdajemy sobie sprawę z niedopowiedzeń i możemy ów kontekst - znając historię PRL - zrekonstruować, co jest - dodajmy na marginesie - ciekawym zadaniem intelektualnym dla czytelnika.

Po tym głównym, koniecznym wyjaśnieniu można by przedstawić długą listę zarzutów. Bo wszak autorka zajmuje się tylko teatrami dramatycznymi o statusie przedsiębiorstwa państwowego, bo dokonuje subiektywnej selekcji nazwisk /dotyczy to zwłaszcza pomieszczonego na końcu książki małego słowniczka artystów teatru polskiego/, bo pisze tylko o większych ośrodkach, pomijając tzw. prowincję... Ale potencjalnym malkontentem Fikówna wyjaśnia to we wstępie: "Z dwu możliwych metod przedstawienia osiągnięć teatru powojennego: o wszystkim ogólnie, lub o wybranych zagadnieniach nieco dokładniej - wybrano drugą, zdając sobie sprawę z ograniczeń, jakie ta decyzja za sobą pociąga". Popieram tę intencję. Teatr bowiem - jak już pisałem - była świętem, a nie codziennością. Codziennoscą tworzy podwaliny święta. A w teatrze - jak w życiu - patrzmy na wybudowane gmachy, nie na ich fundamenty.

Wybierając taką metodę należało przede wszystkim unikać przeoczeń lub świadomego przemilczenia /żeby się znowu nie okazało, że niektóre święta są "świętocięniejsze"/. Chyba się to autorce udało. Pisze o D z i a d a c h i o B r y g a d z i e s z l i f i e r z e K a r h a n a, o Lutowskim i Kóźwiczu, o Dürrenmacie i Gelmanie, o Dejmku i Hanuszkiewicz, o Gallu i



Szajnie, o Kłosińskim i Mikołajskiej, o wszystkich, którzy na to - w myśl koncepcji - zasłużyli. Przed trzydziestu i przed pięciu laty.

Nie widzę potrzeby omawiania tutaj dokładnie tej powszechnie dostępnej książki. Pisanie recenzji nie było też moim zamiarem. Jeszcze tylko refleksja. Uważna lekturą T r z y d z i e s t u p i ę c i u s e z o n ó w powinna pomóc nam zrozumieć współczesny teatr polski i wszystkie powikłania z nim związane, zrozumieć pozycję teatru w dzisiejszej Polsce, pozycję zarazem służebną, jak i krytyczną - wobec sztuki i społeczeństwa, wobec kultury i polityki, wobec swojego czasu.

A na razie, w trakcie trzydziestego ósmego sezonu, należałoby teatry zamknąć i poczekać, aż znowu staną się potrzebne /nie tylko politykom i politykierom/. I możliwe stanie się święto. Ale do tego trzeba normalności. I wspólnoty.

\* \* \* \* \*

R E C E N Z J E

NOWOROCZNE MYŚLI O POECIE, KTÓRY WYBRAŁ KRYPTONIM "TE JOT"

Te Jot, Na skrzyżowaniu Azji i Europy. Warszawa 1982.

Azja: "Na nasze życie / Dziurę po wybitych zębach / Pada śnieg". Azja: "Wybite zęby fabryk / Bramy uczelni / Z wyrwanym językiem", "z otwartej żyły / Budynku na Mokotowskiej / Cieknie krew". Azja: "Błogosławione surowe prawa stanu wojennego / Surowe i piękne jak krajobrazy Syberii", "Matka Boska w Żyrardowie / Wstąpiła do partii", "Na ulicach Warszawy / Dogorywa komunizm".

Europa - "mroczny przełyk sumienia". Dziewczyna, która na sali sądowej w Suwałkach opowiada o wolności, ktoś, kto w mroźną noc maluje na ścianie napis "Paszym precz - zwycięży Solidarność"; Jan Józef Lipski, który jest chory na serce, lecz chce być z tymi, do których strzelają.

Azja, której prowincja zbuntowała się: "zapomnieli o głodzie Tylko rozprawiali na placach O wolności jak filozofowie A imperator w dalekiej stolicy Gniewał się bardzo". Bunt stłamszono: "Teraz znowu porządek panuje nad Wisłą I w wielkiej ciszy Poszerza się pogłębia Przyjaźń z imperium".

\* \* \*

Na skrzyżowaniu Azji i Europy żołnierze grzeją "ręce nad węglowym piecem". Ci, którym wyznaczono rolę oprawców, zostają uchwyceni w geście najbardziej ludzkim. Ale jednocześnie: świadkami prywatnej wojny dziewczyny sądzonej w Suwałkach są tylko "dwaj szpicle i mąż"; dzieci bawią się w internowanie, "a na koniec rozstrzelają najmłodszego".

Azja: coś, co zwiastuje koniec świata, bezwzględna siła użyta gwoi destrukcji. Pojęcia rodem spoza europejskiej cywilizacji: łapanka, internowanie, bezdomność. Śmierć, którą przynosi strzał w potylicę lub nagły skok ze szpitalnego okna.

Europa - wierność dla kodeksu moralnego. Naturalny pęd ku wolności. Bezsilność: "Krzyczymy o tym Motyle i świerszcze w niewoli Ale kto zrozumie Język motyli i świerszczy". Obojętność: "Oddychający wolnością Mają inne problemy I krótką pamięć Dlatego zasną spokojnie By kiedyś obudzić się W Afganistanie".

Europa, która przestaje bronić swojej racji istnienia: porządku moralnego. Ten pokój przyniesie jej już śmierć. Któregoś ranka pewien środkowoeuropejski naród - po raz kolejny obudził się w Afganistanie. W Azji.

\* \* \*

Był kiedyś poeta. Posiadał imię i nazwisko, żonę i syna. Dom i przyjaźni. Pewnej grudniowej nocy okazało się, że musi z tych - powiedzmy niezbyt ekskluzywnych - dóbr zrezygnować. Z rozrzuconych po wszystkich nowych osiedlach bloków zabierano przyjaciół, zamknięto ich w obozach i więzieniach. Zajął się samochodów na ulicach pojawiły się czołgi i wozy pancerne. A za nim wysłano list gończy: "przybyło ich czterech w środku nocy Jeden w mundurze jeden z kósem Dwóch z uśmiechem". Ale nie zastali go: ukrył się. Odtąd miał się chować po nieodkrytych jeszcze mieszkaniach przyjaciół, odbywać potajemnie spotkania z żoną i synem. Pozostały wiersze - te rodzili w nim samym, choć lepsze. Nie podpisywał ich już swoim nazwiskiem: wybrał kryptonim Te Jot, szyfrowany jak rzeczywistość, w której odtąd przyszło mu żyć. On, Europejczyk, miał odtąd opisywać Azję.

\* \* \*

Na tle dużej liczby dobrych wierszy, jakie powstały w pierwszych miesią-

cach stanu wojennego w Polsce /ktoś napisał: jeśli ktoś nie został zaskoczony przez stan wojenny, to poezja polska/, wiersze Te Jota, zebrane w małym tomiku *N a s k r z y z o w a n i u A z j i - i E u r o p y*, wyróżniały się czymś, co pozwoliłem sobie kiedyś nazwać "najgłębszym stopniem internalizacji nowej rzeczywistości". Doświadczenie stanu wojennego stało się dla Te Jota - tak nazwałbym to dziś - doświadczeniem totalnym. Odtąd nic, w żadnej sferze, nie będzie już takie samo, jak przed grudniową nocą. Stąd jednym z najważniejszych wątków jego poezji staje się zdziwienie: jak możliwe jest, że po tak totalnej destrukcji świat jeszcze istnieje, a niektóre przynajmniej jego elementy zdają się normalnie funkcjonować? W wierszu *P i e r w s z a n o c* Te Jot napisze: "Za wywazonymi ionem / Drzwiami świtu / Był dzień / Spotkałem tam / W jednym z ocalskich lustrow / Swoją twarz / Przerazającą / Bo zmienioną".

\* \* \*

A może w tej przerażającej niezmienności tkwi jakaś ezansa? Poeta, który w pierwszych miesiącach stanu wojennego ogłosił pod nazwiskiem A.Sumero znakomity wiersz *Z e l a z o*, gdzie przegranym w tej dziwnej wojnie przyznawał pełne zwycięstwo moralno-intelektualne /bo, aby pokonać niesione przez nich wartości musiano posłużyć się siłą "żelaza"/ zapewne chętniej niż Te Jot udzieliłby na to pytanie odpowiedzi twierdzącej. Dla A.Sumero niezmiennosc świata wartości jest dana, jest racją nadającą sens istnieniu tych, którzy "przegrali wojnę". Diagnoza Te Jota jest bardziej pesymistyczna. Wraz z destrukcją przedgrudniowej rzeczywistości społecznej, wraz ze zniszczeniem świata wewnętrznego ludzi nastąpiła również zwycięska inwazja Azji na europejski system wartości. A.Sumero czerpie duchową otuchę ze stwierdzenia, że wartości zduszone siłą nie przestają być wartościami. Dla Te Jota - totalna destrukcja świata nakazuje, by owe wartości poddawał w nowej rzeczywistości ciągłemu sprzeczaniu. Czy okażą się pomocne ludziom, czy tylko śmieszne? Czy przywołując je będziemy w istocie walczyć o godność, czy jedynie o spokój, o bezpieczne przetrwanie? "Mówili - trzeba ocalić za wszelką cenę / Substancją narocową / ... / Wyciągnęli ją po latach / Była to miazga / W której pływały żrące / I złota obrączka / Z czyjegós palca".

\* \* \*

Lecz cóż - w ostatecznym rachunku - pozostaje innego w obliczu Azji niż obronę mimo wszystko, odzyskiwanie wartości "europejskich"? Nie jak w wierszu *Z e l a z o* - przekonanie o ich nienaruszalności, lecz wiara znacznie skromniejsza: że być może uda się je jednak odzyskać na nowo, ocalić. Zgoda na własną śmieszność. Tak, ale to jest śmieszność z perspektywy azjatyckiego poczucia humoru. Jan Józef Lipski, który chce być z tytuł, do których strzelają. Dziewczyna, która w ponurach Suwałkach opodał radzieckiej granicy mówi o wolności. Dziecko Te Jota, które radzi mu, by nie przychodził na noc do domu. W Europie nazwano by to może raczej - tragizmem. Na skrzyżowaniu Azji i Europy to, co groteskowe, i to, co tragiczne, tak jakoś dziwnie się ze sobą miesza.

\* \* \*

Bez złudzeń i taniach pocieszeń. Bo o co tak naprawdę chodzi w tej grze, co jeszcze pozostało w niej do wygrania? "My, którzy już znamy / Względność rzeczy i pojęć / ... / będziemy tylko / Mierzwą myślącą rozrzuconą po polach/ Na którą wysypią czerwony gruz / Wyleją asfalt i beton". Jeśli tak - pozostaje nam jedynie być mierzwą naprawdę myślącą, ocalić siebie dla siebie.

\* \* \*

Bo jeśli nie? Jeżeli odzegnać się od wartości, które okazały się nieskutek-  
teczne? To, w czym Te Jot upatruje nasze największe zagrożenie: szukanie nor-

malności w nienormalności: "Życie toczy się prawie normalnie / ... / Godzina milicyjna ma nawet swoje zalety / A ja jestem jeszcze ciągle prawie wolny". Strategia na przetrwanie, do wszystkiego można się przyzwyczaić: Azja. Noc nowego, drugiego roku stanu wojennego, który został prawie zniesiony. "Wieczorami / W oknach zarys się światła / Słychać głosy Wojskowych spikerów / ... / Nasza nieobecność / Niewidoczanie". Ci, którzy pewnego ranka zbudzili się w Afganistanie, układają się do niespokojnego snu.

#### FILOZOF I ZBUNTOWANY TŁUM

José Ortega y Gasset, Bunt mas i inne pisma socjologiczne, Przełożyli: P. Niklewicz i H. Woźniakowski. Wyd. PWN. Warszawa 1982

W ponad pięćdziesiąt lat od daty opublikowania oryginału otrzymaliśmy polski przekład Bunt mas, fundamentalnego dzieła José Ortegi y Gasset. Fakt, że rozprawa hiszpańskiego filozofa ukazała się właśnie teraz, skłaniać musi do zastanowienia. Nierzadko zdarza się bowiem czytać w księgach drukowanych w państwowych, oficjalnych wydawnictwach, stronicie tak niebezpiecznych oficjalnej ideologii. Nie usunięto ich tak jak uczyniono to swego czasu w przypadku dzieł autorów takich jak choćby Freud czy Camus. Nieuwagę, a tym bardziej wspólniactwo cenzury winniśmy raczej z góry wykluczyć. Skoro tak, to zapewne kompetentne /i anonimowe, rzecz prosta/ czynniki zdecydowały, że Ortega y Gasset nie zagraża już nikomu, nie wzbudza niepożądanych myśli i emocji, a traktować go należy na podobieństwo muzealnego eksponatu. Co więcej, ów eksponat może się nawet do czegoś przydać.

Na wszelki wypadek polskie wydanie Bunt mas zaopatrzone w odpowiednią instrukcję lektury, której autor wyraźnie zaznacza granice, w jakich poglądy hiszpańskiego filozofa mogą być "przez nas" zaakceptowane. Ocena rewolucji bolszewickiej, osiągnięć Kraju Rad, stosunek do marksizmu - w tym zakresie nie wolno ufać przewrotnemu filozofowi, a stronicie - jakkolwiek zadrukowane - najlepiej byłoby zakleić. Rozpatrzmy zatem, co da się z owego niezupełnie prawowitego dzieła uratować.

Ortega y Gasset nie był pierwszym filozofem, który zauważył istnienie tłumu. W XIX wieku opisano ten problem bardzo dokładnie. Dwie wielkie krytyki wyszły spod piór Kierkegaarda i Nietzschego. Dla Kierkegaarda tłum był po prostu nieprawdziwy. Tylko Jeden może być zbawiony, tylko jeden dochodzi do Prawdy. Chrystus unikał tłumu, choć starał się wskazywać mu właściwą drogę. Tłum jest abstrakcją, rzeczywistością - jednostką. Nietzschego tłum napawał odrazą. Obserwował, jak wdziera się do życia publicznego, opanowuje kulturę, politykę, dyktuje reguły życia codziennego. Nietzsche mówił o "masie" i "tłumie", lecz używał ponadto innego określenia - "stado". Tłum uczynił ze słabości, mierzoty, przeciętności prawdziwą cnotę, ustalił fałszywą moralność opartą na instynkcie stadnym. Gdyby obu filozofom pozwolono przemówić do tłumu, Nietzsche odwróciłby się ze wzgardą, Kierkegaard poradził, by ludzie rozeszli się do domów i tam - każdy z osobna - szukali Prawdy. Jak zachowałby się w podobnych okolicznościach Ortega?

Już po lekturze pierwszych stronic widzimy jasno, że stanowisko autora Bunt mas nie przypomina w niczym żadnego z poprzednio opisanych. Ortega dostrzega niebezpieczeństwo nowego stanu rzeczy, nie darzy zbytnią sympatią anonimowej masy ludzkiej, nie pociąga go urok popolitości. Jednocześnie sam fenomen "buntu mas" fascynuje go jako naturalne następstwo całego rozwoju cywilizacji europejskiej, sądzi, że chodzi o zjawisko, którego odwrócenie tym bardziej zignorować nie jesteśmy w stanie. Zależy mu natomiast na wyjaśnieniu przyczyn, zrozumieniu istoty i ukazaniu konsekwencji, jakie niesie przejście władzy przez masę.

Kierkegaard mógł jeszcze sądzić, że tłum jest abstrakcją, na początku XX

wieku stał się on jednak rzeczywistością i opanował wszystkie dziedziny życia. Pod wieloma względami masa irtuje filozofa - swą przeciętnością, nietolerancją, brakiem orientacji. Z drugiej strony nie ma powodów, by czynić ją prawdziwym źródłem zła, traktować jako czystą negatywność, niesłusznie demonizować. Masa to nie tyle czysta negatywność, co "czysta potencjalność", stąd ważne jest zatem gruntowne poznanie tego człowieka masowego, który jest czystą możliwością zarówno największego dobra, jak największego zła".

Książka Ortegi pełna jest znakomitych analiz, które jeszcze dziś wydają się świeże i odkrywcze. Opis więzi między kulturą i techniką, ocena sytuacji nauki XIX wieku i obecnie, rozważania historyzoficzne - wszystkie te fragmenty odczytujemy z ogromnym zainteresowaniem. Ponieważ wartość tego dzieła wydaje się niepodważalna, w dalszej części tekstu chciałbym skupić uwagę na kilku błędach i brakach Bunt u m a s, które teraz, po upływie pół wieku, stały się oczywiste. Sądzę, że pomyłki filozofa są dla nas czasem cenniejsze od jego osiągnięć. Pomyłki Ortegi i Gassety wskazują być może te momenty historyczne, w których ludzkość postąpiła nieracjonalnie, wbrew logice, na przekór wszystkim przewidywaniom.

Spśród licznych zastrzeżeń, jakimi moglibyśmy dziś opatrzyć traktat Ortegi, dwa wydają się najważniejsze, gdyż dotyczą nas niejako bezpośrednio, a w okresie, jaki upłynął od napisania książki stały się szczególnie odczuwalne. Po pierwsze: zjawisko popędu do zniszczenia, intencji destrukcyjnej, czegoś w rodzaju Freudowskiego popędu śmierci, który cechuje również jednostki, ale ujawnia się ze szczególną siłą tam, gdzie działają masy. Wszystko to przeczuwał w pewien sposób autor Bunt u m a s, ale nie czynił z gwałtu fundamentalnej zasady współczesnego życia. Co więcej, sądził, że prestiż gwałtu jako metody rozwiązywania konfliktów nieurtannie spada. Nadchodzące lata miały wykazać jak bardzo się mylił. Przemoc pozostała najpoważniejszym argumentem, siła stała się podstawą nowoczesnej polityki, gwałt pojawił się w portce i natężeniu dotąd nie spotykanych. Państwo policyjne, którego przesłanki opisał Ortega w sposób bardzo przenikliwy, osiągnęło prawdziwą doskonałość.

Poważniejszy byłby drugi zarzut: słabością masy jest w gruncie rzeczy jej chwytliwość, łatwość, z jaką pozwala sobą manipulować. Wiedział o tym już Kierkegaard, gdy pisał, że "niewielką jest sztuką owdziadną tłumem, potrzeba do tego odrobiny talentu, pewnej dozy zakłamania oraz pewnego obeznanie z ludzkimi namiętnościami". W połowie XX wieku żadna z dziedzin życia ludzkiego nie osiągnęła może większych postępów niż propaganda, co wiązać należy z gwałtowną ekspansją środków masowego komunikowania. Masa okazała się mało odporna na ich działanie, zbyt łatwowerna, pozbawiona środków obrony. Dlatego też trudno powiedzieć, czy w obecnych warunkach masy, a nawet ich przedstawiciele sprawują nadal władzę - zwłaszcza w systemach totalitarnych, odwołujących się wprawdzie do pojęć takich jak "masa", "naród", "społeczeństwo", ale nastawionych głównie na okiełznanie groźnej dla nich masy /sposoby mogą być najprzeróżniejsze/. Ustrój, w którym żyjemy, polega na władzy sprawowanej przez mniejszość nie czującą żadnego związku z milionami statystów.

Książka Ortegi i Gassety była w zamierzeniu dziełem spolitycznym, lecz nie ahistorycznym. Co prawda, gdyby nie nazwiska Mussoliniego i Stalina oraz brak w tekście nazwiska Hitlera, trudno byłoby od razu ustalić datę powstania Bunt u m a s. Samemu autorowi udało się - przynajmniej w pewnym okresie życia - zachować niezależność od wypadków politycznych. Sztuki tej nie dokonał Heidegger czy - z zupełnie odmiennych powodów - Jean Paul Sartre. Ortega pragnął budować sądy bardziej ogólne, omiąć politykę, było to już w latach trzydziestych przedsięwzięcie niewykonalne. Polityka określiła nowy obraz świata, przetrząsnęła w stopniu o wiele większym niż kiedykolwiek literaturę, filozofię, sztukę, życie społeczne.

Autor Bunt u m a s wyrażał wielokrotnie niepokój co do tego, jak potoczą się dalej losy świata. Nie mógł rzecz prosta przewidzieć wszystkiego. Pisał na przykład, że "Rosja potrzebuje jeszcze całych wieków do tego, by móc

pretendować do władzy nad światem". Zdanie to dowodzi, że o Rosji sowieckiej wiedział niewiele, ale trudno powiedzieć, czy ktokolwiek na Zachodzie wiedział wówczas więcej na ten temat. Zaskująco jest natomiast trafna ocena ideologii sowieckiej, w której żywił rosyjski, azjatycki reprezentowany przez Stalina brał zdecydowanie górę nad teorią Marxa.

Po sierpniu, ale może jeszcze znacznie wcześniej, słowo "masa" zniknęło z naszego języka, zastąpione określeniami takimi jak "społeczeństwo" czy "narod". Naturalnie zdają sobie z tego sprawę, że każde z trzech wymienionych oznacza coś innego; mimo, że ich zakres bywa podobny, jakże odmiennie każde z nich zawiera treść. Wszyscy chcielibyśmy czuć się członkami narodu czy społeczeństwa, kto przyznałby, że należy do "masy"? Czyżby zatem właśnie teraz, pod wpływem bieżących wypadków i przy niewielkim co prawda /5 tysięcy nakładu!/ udziale Ortegi y Gassetta wyraz "masy" powrócił do współczesnego języka?

Sławne zdanie Talleyranda skierowane do Napoleona /"Bagnetami można wszystko załatwić, Sire, ale do jednego się nie nadają - nie można na nich usiąść"/ potwierdziliśmy nie tak dawno, sądząc, że brzmią one optymistycznie. Dziś czujemy się z pewnym zakłopotaniem, zaniepokojeni, że istnieje może pewien gatunek ludzi, którzy potrafią owej niemożliwej sztuki dokonać. Podobnie nie budzi w nas zaufania teza Ortegi, iż nie da się rządzić polegając na sile janczarów.

Od roku 1848, twierdzi hiszpański filozof, nie nastąpiła żadna rewolucja. Władza publiczna stała się zarazem władzą społeczną, rozdzwięk między nimi byłby w naszych czasach anachronizmem. Zdarza się przecież, że trudno nam odróżnić anachronizm od tego, co znamienuje już nowe czasy. W każdym razie, jeśli przyznemy rację diagnozie Ortegi y Gassetta, że sytuacja rozdzwięku, próba sprawowania władzy wbrew opinii publicznej rodzi sytuację rewolucyjną, będziemy mogli czerpać niejaką pociechę z dzieła, które pół wieku temu tak bardzo poruszyło ówczesną Europę.

#### KLĘSKA

Tibor Déry, A n a t a ł m a. Wyd. Literackie. Kraków 1982.

Niemalym paradoksem obecnej sytuacji jest to, że w wąskim polu "przyzwolenia" oficjalnego życia kulturalnego co jakiś czas pojawiają się - jak pozostać z innej sztuki - pojedyncze manifestacje niezależnego myślenia. Jest to, być może, przejaw inercji czy też raczej nieodwracalności niektórych inicjatyw kulturalnych zrodzonych przez Sierpień, być może - nieudolna próba usiarygodnienia "polityki kulturalnej" władzy, która pozorami "wartości" usiłuje pokryć swą niszczycielską i represyjną działalność w najżywniejszych sferach kultury. Tak czy inaczej, obserwujemy pojawienie się w oficjalnym obiegu pewnej ilości książek skutecznie dotąd zatrzymanych. Nie brak wśród nich pozycji, które - jak M i a z g a Andrzejewskiego - mimo szkód wyrządzonych im przez czas zachowują swą doniosłość, budząc nawet ciąg zastępczych polemik, sporo jednak takich, które rozczarowują kariawością swą "niezależności", obnażając tym samym mitotwórcze funkcje otaczającej je atmosfery egzaltacji; inne z kolei, bardziej gruntowne, przedsięwzięcia rewindykacyjne - jak zapowiadane wydanie dzieł Gombrowicza i Hłaski - małe mają szanse, by uchronić się przed dotkliwymi okaleczeniami, co stawia pod znakiem zapytania ich sensowność. Nie należy więc lekceważyć instrumentalnych celów, jakie przyświecają zapewne tworzeniu takich rezerwatów "wolności słowa", ale też redukcje wszystkich tych "nieoczekiwanych" świadectw artystycznych do wymiaru sytuacyjnego byłoby przekreśleniem tych wartości, które stoją u ich podstaw. Kultura nie może - pod groźbą samounicestwienia - stać się wyłącznym przedmiotem przetargu, jakkolwiek by do tego skłaniał nacisk okoliczności politycznych i atmosfery moralnej. Przewyciężenie tej, narzuconej w gruncie rzecz-

czy, sytuacji służyć może rzetelne rozpoznawanie tych wszystkich autsynchronicznych wartości kulturalnych, które pojawiają się w zasięgu publicznej obserwacji - gruntując ich społeczną obecność i w ten sposób wprowadzając niejako w powtórny obieg.

Tak oto w zeszłym roku Wydawnictwo Literackie opublikowało *A n a t s m e* Tibora Déry'ego, jedną z najbardziej głoźnych i - jak mawiają niektórzy - kontrowersyjnych książek tego wybitnego pisarza. Na Węgrzech wydana została w 1966 roku, w pięć lat po wyjściu pisarza z więzienia, w którym - skazany za popaździernikową działalność opozycyjną - spędził cztery lata. Powieść, stanowiąca imaginacyjną wycieczkę w historyczny świat dogmatyzmu, z naturalnych powodów uznana została za alegoryczny rozrachunek ze stalinizmem. Jej miejsce w kulturze węgierskiej nieodparcie nasuwa skojarzenie z rolą, jaką odegrała u nas powieść Andrzejewskiego *C i e m n o ś c i k r y j ą z i e m i ę*. Sylwetki tych pisarzy są zresztą porównywalne: obaj początkowo związani blisko z powojennymi przemianami społeczno-politycznymi, rychło przestali się mieścić w ciasnych schematach lat 50-tych i zawższy niezależną pozycję obserwacyjną, zaczęli - bez obciętń ideologicznych - wymierzać sprawiedliwość współczesności, w jej historycznych i uniwersalnych przejawach. Podobieństwa sięgają też głębiej, poza sferę autorytetu moralnego - w dziedzinę estetyki, w której obaj zadziwiają Proteuszową zdolnością transformacji, umiejętnością odnawiania mitologicznych wątków i toposów. Ale analogia ta ma też wiele ograniczeń - choćby to, które wyznaczone jest przez odmienny sposób przeżycia własnej niezależności: u Andrzejewskiego względnie harmonijny pod względem biograficznym, za to owocujący "niepokorną" postawą wobec wydarzeń politycznych i ideologicznych presji; u Déry'ego dramatycznie skulminowany czteroletnim uwięzieniem, za to kształtujący później pewien "Modus vivendi" z kadarysem. Owa wzajemna tolerancja - zrodzona na podłożu szczególnej przeciwieństwa sytuacji wewnętrznej Węgier - nie była bynajmniej ze strony pisarza aktem kapitulacji, rezygnacji z wierności swym ideom - tym choćby, którym dał wyraz w słynnym, napisanym w 1938 roku, eseju *O s w o b o d z i e t w o r c z e j p i s a r z a*: "Pisarz kocha ziemię, na której żyje, więc czuje się dostatecznie silny, by nienawidzić. Jest do niej przywiązany, a więc chce ją zmienić. Musi być stary i chytry, by móc ją szanować, a młody i niecierpliwy, by na czas odwrócić się od niej. Sam wobec siebie jest bezlistosny i to czyni go twórczym. Wierzy w ludzi tak bezwzględnie, że staje się przesadnie czujny, podejrzliwy i tendencyjny. Urodzony opozycjonista. Jest podobny do człowieka, który z daleka wygląda tak, jakby żelaznym prętem okładał ziemię, i dopiero gdy przyjrzeć mu się z bliska, widać, że okupuje grządkę". Na obrzeżach systemu zbudował sobie Déry taką pozycję, która pozwoliła mu zachować niezależność, sprostać dobrowolnie podjętemu obowiązkom: pisać - zatem: kontestować, sprzeciwiać się, widzieć "jasno, bez zachwytu".

Stosowana najczęściej kwalifikacja gatunkowa *A n a t e m y* - parabola historyczna - katwo, zbyt katwo zastępuje samą interpretację. Mamy oto do czynienia z jawną strukturą alegoryczną, która bezceremonialnie schematyzując wielowymiarową materię historyczną, czyni z niej wchliki sądów o współczesnej bądź niedawnej rzeczywistości, o której mówić wprost nie wolno lub nie wypada. Tymczasem powieść Déry'ego ani rusz nie da się zmieścić w tej, prostoduszej w istocie, formule. Drobiazgowo wierność udokumentowanym szczegółom wynika się spodziewanym uogólnieniom, finezyjne cieniowanie sylwetek zakrawa na zbędną rozrzutność, ścięgi literackiej roboty wydają się zbyt koronkowe jak na zgrzebność ilustracyjnego wykroju. A jeszcze owe ironiczne modernizacje, w których ginie zmroźona powaga "rozrachunku", ginie też iluzja, bez której nie może się przeciwieństw obaj - aluzja. Powiedzieć o *A n a t e m i e*, że jest kostiumowym osadem historycznych doświadczeń stalinizmu, to nie znaczy: powiedzieć nieprawdę, ale znaczy: powiedzieć za mało.

Tymczasem wypada stwierdzić, że zarówno odwarzany przez Déry'ego epizod dziejowy, jak i osobistość historyczna będąca jego bohaterem, wydają się jakby stworzone na paraboliczne "exemplum". Oto Ambroży, żyjący w IV. wieku biskup

Mediolanu, jeden z Ojców Kościoła, późniejszy święty, młot na heretyków, rzecznik "czystości" dogmatycznej i zawartości organizacyjnej Kościoła, nieugięty oponent Cesarstwa w kwestiach religijnych zwierzchnictwa, nie stroniący - gdy w grę wchodziły cele "wyższe" - od podstępów, demagogii, zastraszania, szantażu, manipulacji, fabrykowania dowodów, taktycznych sojuszy, sankcjonowania przemocy... Postać, której niektóre poczynania nawet u ortodoksyjnych historyków Kościoła budzą sprzeciw lub choćby zażenowanie. Cóż więcej trzeba? Za fabułę starczy narracja historyków, za rysunek psychologiczny - dokumenty publiczne i osobiste, nawet za kulisy manipulacji zajrzeć można dzięki zachowanym protokołom synodu w Akwilei. Wyobraźnia stwarzająca może co najwyżej pikantnie przyprawić posilną strawę historycznej rekonstrukcji. Sytuacja jest niezwykle wygodna. Zbyt wygodna.

Tibor Déry na pozór korzysta z wszystkich dobrodziejstw oryginału. Nawet pobieżna konfrontacja ze źródłami wykazuje, jak ściśle się ich trzyma: od zewnętrznej charakterystyki bohatera /wiernie odtwarzającej jedyny - spośród zachowanych - autentyczny jego wizerunek/, familijnego "dossier" i historycznej legendy o cudownych okolicznościach wyboru na biskupa, poprzez kolejne epizody konfrontacji z autorytetami państwowymi, znamienujące sukcesywnie poezowanie zakresu władzy kościelnej, aż po końcowy triumf - upokorzenie cesarza Teodozjusza, który swą pierwszą w dziejach Cnossą ostatecznie potwierdził państwowy status religii czy też raczej religijny status państwa. Wszystkie okoliczności świadczą jednoznacznie: dogmatyzm przeciw prawdzie, porządek przeciw wolności, fanatyzm przeciw tolerancji, środki przeciw celom. Niezorientowanemu czytelnikowi nawet nie przejdzie pewnie przez myśl, że wszystkie tego nie trzeba było wymyślać. Wydarzenia rozwijają się z taką nieodpartą logiką, jaka - zdawać by się mogło - cechować może tylko fikcyjotwórczą przemysłowość. Gdy tymczasem historyczna zwierzyna sama się tak wystawia do odstrzału.

Déry był jednak zbyt dobrym pisarzem, by nie dostrzec zagrożeń, kryjących się w tej wszechstronnej przyległości faktów i znaczeń: groźby intelektualnego i artystycznego banału, groźby jałowości i schematyzmu narracji, która miał pobudzać do myślenia, pozwala jedynie "odpoczynać" oczywistości, groźby monotonii tonacji, owocuującej fałszem patosu lub nieznośnym poczuciem obcości. Déry - jak i każdy pisarz - udusiłby się w każdej alegorii, która chce być czymś więcej niż powiastką o zajączku i jego niewiernych przyjacielach.

Co więc czyni? Eawi się owym ponad miarę oczywistym paralelizmem, tropi jego dosłowności: a to spór Ambrożego z Symmachusem, toczone zgodnie z regułami antagonizmu: dogmatyzm - rewizjonizm, a to ów szczególny folklor życia sekt wraz z nieodłączną praktyką samokrytyki i demuncjacji, a oto charakterystyczna frazeologia agitacyjna i populistyczne chwytły demagogiczne, a to znane metody propagandy i budowania charyzmatu przywódcy, a to przesławny ascezyzm ukrywający równie przesławny sybarytyzm, a to... Choć prawdziwym przykładem nie brakuje - mnoży je blyskotliwa analiza kazań i listów Ambrożego - Déry nie stroni też od efektywnych domysłów: zapisuje nie odbyty dialog między swym bohaterem a Augustynem, zaś genozę jednego z niepodważalnych i "niezawinnych" osiągnięć Ambrożego - wprowadzenie do liturgii tzw. psalmidii antyfonicznej - wiąże z zapotrzebowaniem na narzędzie skutecznej manipulacji tłumem. Bawiąc się wynajdywaniem i wyostrażaniem owych "żółtych dubletów", Déry obnaża w istocie okrutną zabawę historią, uruchamiającą wciąż te same mechanizmy, zabójcze i samobójcze zarazem, a mimo to wplatające w swe tryby wciąż nowych amatorów "poprawiania" świata. Ironizując zabiegi są więc czymś daleko więcej niż pisarską samoobroną przed artystyczną katastrofą patosu; nie są też zgrzytem błażeńskiego grymasu nad otwartą mogiłą dziejów. Stanowiąc mają równoważnik obłądanej "chytryści" historii, która rozciągając nad kolejnymi pokoleniami i epokami czarną oponę amnezji, skazuje je na tragiczną farzę powtórzeń, absurd dobrowolnej samozatraty. Taka historiozofia czyni zbędnymi jakiegokolwiek umyślnie zabiegi paraboliczne: bez pomocy mitotwórczych zapośredniczeń okazuje się, że tysiącletni pochod urzupacji w każdym swym kroku jest



tym samym świadectwem i tym samym dowodem. I jeszcze jeden punkt w tej kwestii. Déry'emu wolno czynić to, co czyni. Sam był bowiem blisko owej otwartej mogiły, z której teraz ośmiela się drwić.

Oczywiście, wszechobecna ironia Déry'ego ma też swoje konkretne, narracyjne funkcje. Dworuje on sobie - "Ambrozkim" zwąc - z "małego wielkiego" biskupa, wydobysł dzięki temu na powierzchnię jego ukrywane, acz słabo ukryte intencje, socjotechniczny wymiar gestów, mierzwę postępow, która porasta jego bezinteresowność i bezkompromisowość. Czym są owa, pojawiające się wielokrotnie, fantastyczne, choć dotykalne stygmaty jego wielkości, jeśli nie demaskacją zbiorowych halucynacji tych, którzy wolą raczej żywić się złudami, niż pozostać bez pasterza, i którzy tym samym powołują go do życia i do świętości? Czym jest kompozycyjna stylizacja opowieści na hagiograficzną legendę, z jej charakterystycznym podziałem na "znaczące", przełomowe epizody, jeśli nie odsłonięciem rozszewu między niebiańskim blaskiem kulturowych stereotypów i idealizacji a mrokami ziemskiego żywota? Ale, co więcej, projekcja losów bohatera na ekranie konwencjonalności nie jest tylko licencyjnym chwytym ironicznego "ducha opowieści", wadnego mieszać dowolnie czasy i perspektywy. Sam Ambrozy zdaje sobie sprawę z wymogów roli, jaką obdarzył go los. Gdy - zgodnie z prawdą historyczną - broni się zaciekle przed przyjęciem zaszczytnej godności biskupiej, to nie dlatego tylko, iż żał mu swobód i przywilejów świeckiego dostojnika. Choć nie, właśnie dlatego, iż żał mu jednego z tych przywilejów: prawa do błędu. Zdaje sobie aż nadto sprawę, że misja, której nie może odrzucić, nakładając nań obowiązek nieomyślności, jest jakby konwencją dziejową, wobec której jego wola znaczy tak mało, jak pojedyncze ludzkie życie. To nie Ambrozy wybiera drogę, po której będzie postępował, to nie on kształtuje wizerunek, który przekazają historycy i pisarze - to sytuacja wybiera jego, skazuje na los, któremu on sam nie jest w stanie się przeciwstawić. Ambrozy jest więc kreacją historii, jej kreaturą - nie ofiarą swego zaciętrzewienia czy cynizmu. Ale jest też pojętym uczniem. Poskusznym duchowi swego powołania, potrafi z kolei kreować jego literę. Świat jest dlań obiektem swobodnych przekształceń, rezerwuarem zdarzeń o nieograniczonym zasięgu potencjalnych znaczeń. Z wprawą doświadczonego inscenizatora wpręga je w służbę realizowanych celów. Nie jest tak, iżby wina Teodozjusza była tak wielka, że musiał zostać upokorzony - jego upokorzenie było potrzebne, by ukoronować dzieło Ambrozego, zatem któraś z jego win - "któż jest bez winy?" - musiała stać się "tak wielką". Czyż wobec tego można dziwić się pisarzowi, że nie oparł się pokusie, by swego bohatera potraktować jak bezwolną marionetkę, z beceremonialnością i ostentacją kreacji - tak właśnie, jak on sam traktował świat?

Ale staje się to zarazem źródłem wewnętrznej sprzeczności, tajemnej schizofrenicznej dolegliwości, na jaką cierpi Ambrozy. Królestwo celów, które win władza, przynajmniej w oto prawo zdawania się na dowolne środki; on sam jest tu pośrednikiem. Niewdzięczna to funkcja! Gdy staje mu nad głową anioł, mówi Ambrozy o zniesieniu własności prywatnej i ucisku, o wolności i tolerancji, niezależności od państwa - gdy go opuszcza, wświadamia sobie, jak trudno budować "królestwo Boże" na ziemi bez pomocy możliwych tego świata, bez dyscypliny i przemocy. Anioł zaś jest cudem, życie natomiast - chlebem powszednim.

Fantastyczne sceny podziału Ambrozego na dwie skłócone ze sobą osoby nie są więc ekstrawaganckim, cokolwiek ryzykownym kaprysem wyobraźni, lecz precyzyjnym wykresem nieciągłości tego szczególnego miejsca, w którym duch wciela się w historię. Tym miejscem bywa najczęściej człowiek. I niezależnie od tego, iloma znakami cudzoziślowi i znakami przestrogi opatrzona zostanie opowieść - w tym właśnie miejscu pojawi się osad tragizmu. Pozostawia go los człowieka, który uległszy terrorowi historii, tym samym skazany zostaje na klęskę - nie "polityczną", "historyczną" czy nawet "życiową", ale moralną, po prostu ludzką. Gdy kończy się dziejowa misja, gdy historia wyrzuca swego funkcjonariusza poza nawias, w jakim ujęta jest ludzka egzystencja - pozostaje już tylko niebo, niebo przeraźliwie puste, i pytanie, jedyne pytanie, które zachowuje

jakiś sens: czy żyliśmy godziwie? "Czy żyliśmy godziwie?" - uporczywie powtarza biskup Mediolanu na łożu śmierci. I znikąd nie otrzymuje przekonującej odpowiedzi.

Księżkę Tibora Déry'ego czyta się opornie, z rosnącą irytacją, obijając się co chwila o kandy narowistej stylistyki. Nie jest to usypiająca powiastka, stylizowana recytacja powszechnych, choć tępionych prawd. Jej sceptycyzm jest orzeźwiający, jak orzeźwiający są napoje gorzkie. Jej ironia jest wiecznym nietaktem, który nie pozwala zasklepić się w zadufanej pewności siebie, w usprawiedliwiających mitologiach i obezwładniających kompleksach. Jest to książka wielka. Nie wolno jej przeoczyć.

\* \* \* \* \*

## ROZMYSLANIA NAD GAZETĄ

W styczniu 1983 r

Jaka jest prasa polska u progu roku 1983, po "zawieszeniu" stanu wojennego? Na pierwszy rzut oka niewiele się różni od tej sprzed sierpnia 1980. Dotyczy to zwłaszcza dzienników, które mają serwis informacyjny, krajowy i zagraniczny, równie jak wtedy ubogi i starannie przystrzyżony, a za to całe kolumny zapewniają się nie dającymi się czytać, bo śmiertelnie nudnymi i jałowymi sprawozdaniami z setek plenów, zebrań, porad partyjnych, PRON-owych i wszelkich innych, jakie się odbyły w Kutnie lub Sieradzu, Łomży lub Łęczycy. Pustosławie kwitnie jak dawniej, choć częściowo zmieniły się formułki. Także w artykułach publicystycznych. W największym uproszczeniu: za Gierka propaganda była obłudna, teraz jest raczej cyniczna. Wtedy tłumaczyło się nam, że wprawdzie to i owo jest jeszcze nie całkiem doskonałe, ale w sumie jest dobrze, bo nam ustrój zapewnia dalsze doskonalenie. Teraz tłumaczy się nam, że wprawdzie ustrój jest dobry i dla nas jedyny i będziemy bronić jego zdobyczy, ale zapewnić to on niczego nie zapewnia; między wierszami daje się też do zrozumienia, że najwymiśn głuptasami byli ci, co zapewnienia przez 38 lat powtarzane brali na serio. Tak nas odczarowują ci sami nieraz żurnaliści, co nas wtedy zaczarowywali.

Obecna taktyka perswazji bierze się stąd, że główną dziś troską władzy jest i musi być **obniżenie** aspiracji i oczekiwań narodu, zwłaszcza bytowych, których nie da się zaspokoić i które przeto grożą zarzewiem nowego konfliktu. Żądnych marzeń - point de reveries! - rozlega się ze wszystkich szpalt. Miarzenia nas gubią od dwustu lat, więc teraz tylko realizm, trzeźwość, rachunek, geopolityka. Możecie nie lubić tego naszego socjalizmu, władza też nie potrzebuje, żeby ją kochać - dopowiada ten i ów urbanita - po prostu jest jak jest, inaczej nie będzie, nieobecni nie mają racji, obecni mają siłę, trzeba się porozumieć, byle nie z tymi co są przeciw.

Osobiście wolę ten cynizm od dawnej obłudy. Jest wprawdzie groźniejszy /bo własne deklaracje zawsze trochę krępują/, ale za to bardziej przylega do rzeczywistości. Toteż gorset cenzury, przynajmniej to, jest nieco luźniejszy niż był za Gierka: bo teraz nie chodzi o to, żeby ukrywać biedę, rozgoryczenie, beznadzieję - przeciwnie, jest jak jest, niech się wam za wiele nie zachciewa, bo zawsze może być gorzej. Dzięki temu w prasie można niemało przeczytać, i to nie tylko, jak dawniej, wycinkowo: że tu nawala BHP, a tam niesprawiedliwie zwolniono kogoś z pracy. Dziś nie brak twierdzeń generalnych. Tak np. z jednego numeru białostockich "Kontrastów" /grudzień 1982/ dowiaduje się na jednej stronie, że "Polska pod względem wydajności pracy na jednego zatrudnionego była w roku 1975 na przedostatnim miejscu w Europie, przed Turcją; od tego czasu sytuacja raczej się pogorszyła", a parę stron dalej, że "okazuje się fikcją wszelka gadanina o wyższości socjalistycznego szkolnictwa /.../ Szkolnictwo w naszym kraju jest elitarne i dla biednych przeliczając najgorsze szkoły". I jeszcze niemało innych, równie drastycznych prawd. Jakby się znalazły w audycji "Wolnej Europy", to by było szkalowanie Polski za pieniądze CIA, ale to jest pod redakcją zawsze wiernej Kiry Gałczyńskiej i pod okiem cenzora, który nie drzemał, lecz dobrze wiedział co robi.

Otóż ja sobie taką szczerotę, bez względu na intencje Wydziału Prasy KC, chwalebę i to tym bardziej, że nie wróżę jej długiego trwania: system nie potrafi się bowiem obejść bez zaskon i bez hipokryzji. Ale póki co, chwalebę sobie, bo uważam, że lepiej jest, gdy ludzie nie tylko wiedzą, jak się rzeczy mają /wiedzą i to bez gazet/, ale nadto nie muszą też swojej wiedzy spychać w trwożne milczenie, w podświadomość, w konspirację. Niech socjalistyczny

parias już wie, że jest pariasem. Wtedy a pytania będzie stawiał przytomnie, a nie tylko po to, żeby odreagować bezsilną wściekłość.

Oczywiście prasowa szczerzość ma swoje wyraźne granice i warunki. Wie o tym świetnie "Polityka", która pod częściowo odmienioną redakcją kontynuuje swoją starą sprawdzoną formułę tańca na linie: wtykać objawowe absurdy naszego życia akceptując rodzacy je stale irracjonalizm podsta w systemu, milczenie o nieprawościach wielkich, piętnować pomniejsze i cząstkowe, powlekać coś uczciwego za cenę paru świństek / na ogół bez wielkiego zaangażowania, jeśli pominąć etatowego redakcyjnego biazna, który właśnie obwiescił światu, że komunizm okresu stalinowskiego nie był zły, gdyż "każdy kto chciał, mógł do niego przystać", zaś prawdziwe niebezpieczeństwo totalizmu w Polsce reprezentują Andrzej Wajda i Michał Komar/. No i dobrze, no i na zdrowie.

Ci, którzy tego tańca mieli już dość, poszli sobie, a reszta, zasilona przez publicystyczne tuzy różpędzonej na cztery wiatry "Kultury" pisze jak może prztykając nawet w nos niedawnego Kolegę, a dziś ministra-rzeczownika i dolewa życzeniami demokrację do beczki dyktatury. W sumie jest to robota - tak jak dawniej - pożyteczna, bo przecież jakoś tam powściągnięta i otrzeźwiająca ekstremę PZPR-u i tworząca małe wysepki rozsądku w ponurym oceanie bredni. Ale jednak, umowy się, pożytek z tego raczej praktyczny /co wcale nie mało/ niż umysłowy. Ujawnia to ankietą "Polityki" na temat "Czy w Polsce możliwa jest myśl polityczna?". Odpowiedzi na nią, niezależnie od tego, co autorzy mają do zakomunikowania, dowodzą, że nie jest możliwa, a przynajmniej nie w gazecie. A to dlatego, że "myśl polityczna" to jest taka hybryda, której oba człony kłócą się ze sobą. O ile bowiem polityka jest sztuką działania w narzuconych nam i od nas w znacznej mierze niezależnych warunkach ograniczających, to myśl sama żadnych ograniczeń i niedomówień nie znosi, bo staje się natychmiast niedomyślną. Myśl polityczna jest to więc nieograniczenie swobodne myślenie i pisanie na temat bardzo ograniczonych możliwości działania. Warunek pierwszy nie jest spełniony.

Co prawda jakby przewidując taki zarzut, profesor Adam Schaff swojemu artykule o "kwestii polskiej" dał obiecujący tytuł **B e z n i e d c m ó - w i e n i / "Polityka" nr 4 z 22 I 83/**. Kiedy się te moje notatki ukazały, nikt już nie będzie pewno pamiętał tego artykułu starego barda marksistowskiej filozofii, który nagle objawił się jako Realpolitikier. Przypomnę tedy główne tezy i styl. Otóż Schaff z podziwu godną ascezą filozoficzną pozostawia na stronie wszelkie ideolo, aby historię "Solidarności" rozpatrzyć wyłącznie na gruncie rachunku sił. Sztydzi więc z "iluzjonistów", "ślepców", "ignorantów politycznych lub świadomych prowokatorów, którzy chcieliby rozgrywać swoją międzyrodową partię domina politycznego" itd, itp., a nie sposterzegli się, komu rzucają wyzwanie. A przecież: "Było wówczas około 3 milionów członków partii, co razem z rodzinami stanowi pokalną już liczbę około 10 milionów osób. Dodajmy do tego «aparatu» wojska, milicji, państwowych i samorządowych urzędników, a wszyscy ci ludzie byli związani - tak czy inaczej - z istniejącym ustrojem swoim życiowym interesem, a otrzymujemy wielomilionową armię potencjalnej opozycji wobec opozycji". Do tej armii Schaff dolicza chłopstwo, które "popiera rząd", gdyż "boi się wszelkiego niepokoju" oraz państwa socjalistyczne, które też go popierały. Skoro się miało przeciw sobie taką koalicję, to "trzeba było skuchać /.../ ostrzeżeń, idąc za głosem zdrowego rozsądku, który podsuwał nieskomplikowaną myśl, że jeśli panowie Jurczyk i inni głośno i publicznie wyzwali do wieszania komunistów, to ci nie będą czekać z założonymi rękami, lecz naprawdę powywieszają - jeśli zajdzie tego potrzeba - panów Jurczyków i innych, gdyż oni mają potrzebne do tego środki, tamci zaś nie". Jak dotąd, należy być wdzięcznym profesorowi Schaffowi, bo zawsze dobrze jest, jak się stawia sprawy jasno i otwarcie, choćby nawet nie miało się dobrej głowy do rachunków. Moje obliczenia dotyczące bojowej determinacji chłopstwa, urzędników i członków partii wraz z niemowlętami wypadają trochę inaczej, niemniej zgoda na to, że w Polsce roito się od naiwnych, którzy

skracali rachunek w drugą stronę. Tylko, że dalej wszystko się naszemu uczonemu poplątało. Co prawda - przynajmniej śmiało - przesadą a nawet nonsensem jest twierdzić, że "wypadki polskie ostatnich dwóch lat są wynikiem wyjątkowej konspiracji agenturalnej i propagandy zachodniej". Niemniej jednak knowania zachodnich agentur odegrały w polskich wydarzeniach wybitną rolę, podsycając agresywność ruchu. "Przyszłość ujawni szczegóły tej akcji" - prorokuje Schaff ale nie czekając na tę przyszłość, obwieszcza to co już wie teraz: "Przed wszystkim słońce o to, aby zmusić Związek Radziecki do interwencji, do skompromitowania go jako agresora, do nastraszania Europejczyków i uczynienia ich w konsekwencji podatnymi na akceptację agresywnych poczynań militarnych USA w Europie". I żeby groza była większa, autor powołuje się na amerykańską powieść fantastyczną, w której upragniona trzecia wojna światowa zaczyna się "od wybuchu społecznego w Polsce".

Tu czytelnik przeciera oczy, bo mu się zdaje, że przed chwilą czytał coś całkiem przeciwnego. I rzeczywiście: na poprzedniej szpalcie tegoż artykułu profesor Schaff zapewnił go, że w przypadku interwencji wojsk Układu Warszawskiego w Polsce "Zachód, oczywiście, prócz wylęwania krokodyli kęs / krocodile żyły są ukochaną metaforą naszych filozofów - przyp. aut./ nie kiwnąłby militarnie nawet przeświolowym palcem, ku zmartwieniu durniów, którzy mimo wszystkich uprzedzeń wierzyli świącie, że "Amerykanie nas nie opuszczą". Kropka.

Profesor Schaff doprawdy zbyt długo w swych młodzieńszych latach zajmował się przyszłościową logiką dialektyczną, skoro może twierdzić, że w razie interwencji radzieckiej Amerykanie jednocześnie uruchomiliby agresywne poczyny militarne oraz nie kiwnęliby przeświolowym palcem. Pewne jest raczej że drugie. Pewne jest także, że durniów w Polsce 1981 roku było wielu, ale o takich, co by wierzyli w zbrojną pomoc amerykańską, to ja jednak, w przeciwieństwie do Schaffa, nie słyszałem. Wiadomo wreszcie, że cały Zachód z USA na czele, interwencji radzieckiej w Polsce i jej skutków bał się potwornie i że wszelkimi sposobami przestrzegał przed nią Kreml oraz ostrzegał przed nią Polaków, stądząc jak mógł /a mógł niewiele/ rozgorączkowane emocje reformatorskie "Solidarności". Wszystko to naszemu myślicielowi nie przeszkadza: mierza on bowiem do ostatniej szpalty, na której napisze, że "najnowsza emigracja polska /.../ wkrocza na drogę świadomej zdrady ojczyzny. I tak należy ją traktować, jako zdradców własnego narodu". Naród zaś ma uznać zasługi inżynierów 13 grudnia i zabrać się do pracy.

Takie to są - bez niedomówień - objaśnienia myśli politycznej Adama Schaffa. Artykuły takie, choć bardzo mądre, zasługują jednak na uwagę. Należy bowiem zakończyć, że przynajmniej niektóre z nich są po prostu cyniczną propagandą, pisaną w złej wierze, lecz wyrażają rzeczywiste mniemania ich autorów, a nawet całych środowisk. Wydaje się, że wielu starych komunistów i młodszych funkcjonariuszy było i jest naprawdę owładniętych obsesją spisku, wywiadów, agentur - tak ich w końcu od czasów Stalina szkolono - i że nie potrafili niczego zrozumieć z natury i historii wielkiego ruchu społecznego. Otóż w polityce liczą się nie same tzw. obiektywne sytuacje i rzeczywiste zamiary, lecz to, jak są one oceniane przez przeciwnika, spętanego własnymi uprzedzeniami i lękami. W tych zaś ocenach i rozumieniu cudzych ocen aktywu "Solidarności" popełnił nie mniejsze, a w skutkach fatalniejsze błędy niż władza.

O tym, jak namiętności walki zniekształcają percepcję i zdolność do oceny sytuacji, pisze raz po raz psycholog Janusz Reykowski /R o z w i ą z y w a n i e k o n f l i k t u, "Polityka" nr 1; R e f l e k s j e n a p r z e ł o m i e r o k u, "Życie Warszawy" z 31 XII 1982; i inne/. Reykowskiego warto czytać z uwagą, nie bojąc się na to, że jest doradcą rządu i działaczem PRON-us zgodziłbym się z tym, co wielokrotnie powtarza prof. Andrzej Tymowski, że mniej ważne jest to, że się doradza i komu, a bardziej to, co się doradza. Nie wiem, co Reykowski doradza rządowi poufnie. Wiem że to, co obu stronom doradza publicznie, godne jest zastanowienia i dyskusji. Jest to

przykład bardzo obecnie rzadkiej publicystyki kompetentnej, w której pisze się rzeczy sporne, ale nie pisze się gwałtów lub banałów i nie lży ludzi, mających odmienne zdanie. Reykowski nie wierzy w skuteczność chirurgicznych metod rozstrzygnięcia wielkich konfliktów: ani więc w twórczą siłę ruchów rewolucyjnych, ani w owocność ich zdławienia przemocą. Fatalność polskiego konfliktu widzi w tym, że każda jego strona broniła jakichś autentycznych racji i jakichś wartości ważnych dla całego społeczeństwa, als nie potrafiła i nadal nie potrafi przyznać tego samego drugiej stronie. W zaciętrzewieniu walki "myślenie zostaje opanowane przez stereotypy, które upraszają obraz przeciwnika, stanowiąc przede wszystkim projekcję wrogich wobec niego uczuć". Stąd destrukcyjne zderzenie racji i interesów zamiast próby osiągnięcia ich kompromisowej syntezy. W takim konflikcie pomocą może się okazać trzecia strona. "Nie należy - powiada Reykowski - mylić "trzeciej strony" z "trzecią siłą" - nie chodzi tu o kogoś, kto realizuje swe własne cele polityczne w momencie, gdy adwersarze nie są w stanie przechylić szal konfliktu. Nie jest też sędzią, który ma oceniać i karcić walczących. Jego funkcją jest dopomaganie do znajdowania płaszczyzn, na których można dochodzić do rozwiązań, które zadowalają większość uwikłanych w konflikt sił."

Jest rzeczą pozytywną, że artykuły Reykowskiego, wywiady Tymowskiego i paru innych jeszcze intelektualistów niezależnych autorów i działaczy mogą się ukazywać w rządowej prasie i że nabierają rozgłosu. Ale jednocześnie - w chwili, gdy spisuję tę uwagę - w tejże prasie, globalnie wziętej, z oficjalnym organem KC PZPR na czele, opluwa się wciąż cele i wartości przyduszonej terrorem większości społeczeństwa, lży się i upokarza jego niedawnych, spon-tanicznie uznanych przywódców, zapowiada się nowe procesy polityczne, które mogą tylko rozjrzeć narodowy dramat. Powtarza się na naszych oczach historyczny, tragiczny w skutkach błąd komunistów polskich wobec AK. Zarazem wydaje się bardzo mało prawdopodobne, aby PRON, powszechnie postrzegany jako rzą-dowa kreatura, mógł stać się ową medycijną "trzecią stroną", jaką postulują Reykowski.

Na razie więc tych parę odosobnionych rozumnych głosów dowodzi tylko tego, że nawet wśród propagandowego zgłęzku i furii można zacząć myśleć. Jeszcze nic więcej.

\* \* \* \* \*

## KRONIKA

**ROZPOCZĄŁ DZIAŁALNOŚĆ** Zespół do Spraw Kultury przy Komisji Koordynacyjnej NSZZ "Solidarność". Zespół wydaje m.in. pismo "Kultura Niezależna", którego zadaniem ma być stworzenie i upowszechnianie hierarchii wartości, przeciwdziałających się manipulowaniu przez państwo zarówno myślą naukową i publicystyczną jak twórczością. "Kultura Niezależna" ma być pismem integrującym środowiska twórców i dostarczającym wszelkich informacji o ich losach i działalności. W numerze 2 opublikowano listę laureatów nagrodzonych na wniosek Zespołu przez Komisję Koordynacyjną za "twórczość artystyczną umacniającą idee ludzkiej solidarności". Nagrody otrzymali:

- Anonimowy autor lub autorzy piosenki *I dą, i dą p o n o r y n a W u j e k*
- Lech Bądkowski za twórczość literacką i publicystyczną oraz za redagowanie tygodnika "Samorządność"
- Ryszard Bugajski, Warszawa, za reżyserię filmu fabularnego *P r z e s ł u c h a n i e* ukazującego walkę o godność ludzką w czasach stalinowskiej pogardy
- Edward Durnik, Warszawa, za twórczość malarską, a zwłaszcza za powstały w początkach 1981 roku cykl obrazów ukazujących proroczo i metaforycznie stan wojenny w Warszawie
- Eugeniusz Get-Stankiewicz, Wrocław, za twórczość graficzną, a zwłaszcza za pracę *Z r ó b t o s a m*
- Zbysław Grzywacz, Kraków, za twórczość malarską, tematycznie związaną z życiem w warunkach stanu wojennego
- Jerzy Jaroński, Kraków, za reżyserię *M o r d u w K a t e d r z e S. T. S. Eliota*, spektaklu wystawionego w czwartym miesiącu stanu wojennego w Katedrze św. Jana w Warszawie i w Katedrze na Wawelu
- Jan Kelus, Warszawa, za piosenki z ostatnich lat
- Krzysztof Kieślowski, Warszawa, za reżyserię filmu fab. *P r z y p a d e k*, będącego analizą postaw inteligencji polskiej w okresie przedsierniowym
- Marek Nowakowski, Warszawa, za tom opowiadań *R a p o r t o s t a n i e w o j e n n y m*
- Andrzej Piekutowski, Warszawa, za pełnometrażowy film dokumentalny *C h ł o p i 8 1*
- Jan Polkowski, Kraków, za twórczość poetycką, zwłaszcza za wiersze powstałe w okresie stanu wojennego
- Andrzej Szczepkowski, Warszawa, za rolę Ambasadora w sztuce *A m b a s a d o r S. Mroźka / Teatr Dramatyczny /*
- Teatr Osmeo Dnia, Poznań, za spektakl *M a n d e l s z t a m*, przygotowany w okresie stanu wojennego
- Janusz Zaorski, Warszawa, za reżyserię filmu fab. *M a t k a K r ó l ó w*
- Zbigniew Zapasiwicz, Warszawa, za rolę: Łumina w spektaklu *Ł u n i n*, czyli *Ś m i e r ć K u b u s i a F a t a l i s t y R a d z i Ń s k i e g o* oraz *Ojca w P i e s z o S. Mroźka / oba przedstawienia Teatr Dramatyczny /* - gratulujemy!

**SPOŁECZNY KOMITET NAUKI** zawiązał się w kwietniu br. Skupia on przedstawicieli różnych dyscyplin i ośrodków naukowych. Jego celem jest - jak czytamy w Oświadczeniu RKW NSZZ "Solidarność" Region Mazowsze - "zapobieganie wyniszczaniu nauki polskiej i łagodzenie tego skutków". RKW oświadcza "iż działającą wg. założeń programowych TKK i zgodnie z posiadanymi pełnomocnictwami w zakresie oświaty, kultury i nauki - udzieli wszelkiego poparcia /.../ Społecznemu Komitetowi Nauki, podobnie jak udziela go Radzie Edukacji Narodowej i Zespołowi d/s Kultury. Do okazania takiego poparcia i potrzebnej pomocy - RKW wzywa również wszystkich związkowców, inne grupowania niezależne oraz całe społeczeństwo".

DWOCH LAUREATÓW nagród "Solidarności" miało okazję zaprezentowania się warszawskiej publiczności dzięki inicjatywie parafii Miłosierdzia Bożego /ul. Żytnia 3/9/ - organizatora "Spotkania ze sztuką".

18 i 19 ozerwca mieliśmy możność oklaskiwania Teatru Ósmego Dnia, który przedstawił spektakl poświęcony pamięci Osipa Mandelsztama w reżyserii Lecha Raczaka.

Prace Eugeniusza Get-Stankiewicza stanowiły część niezwykle interesującej, fascynującej różnorodnością technik i ujęć wystawy obrazującej obecność znaku krzyża w tradycji i współczesności życia polskiego.

19 MARCA ODBYŁO SIĘ walne zebranie członków Związku Kompozytorów Polskich. Wybrano nowe władze z prezesem Józefem Patkowskim, wiceprezesami Andrzejem Chodkowskim i Augustynem Blochem. Członkami Prezydium zostali Witold Lutosławski, Stefan Kisielewski, Edward Pałłasz, Mirosław Perz, Leszek Polony, Mieczysław Tomaszewski, K.Meyer i Władysław Skoniewski. Podjęto Uchwałę solidaryzującą się z przesładowanymi i apelującą o "amnestię dla wszystkich skazanych na podstawie Dekretu o stanie wojennym", uznając ewentualne procesy przywódców NSZZ "Solidarność" za sprzeczne z aktem abolicji. Wyrażono niepokój o dalsze losy stowarzyszeń twórczych.

AKTORZEY. W ostatniej kronice pisaliśmy o naradzie "pracowników teatru, członków PZPR". Oto szczegóły /Teatr 5/83/:

"Poruszano sprawę niedawnego bojkotu RiTV, który doprowadził do wielu napięć środowiskowych i rozwiązania ZASP-u. Stało się to w wyniku działań niektórych przedstawicieli środowiska teatralnego, którzy funkcję artystyczną teatru usiłowali zastąpić działalnością polityczną". Zwrócono uwagę na "rozgarbię" repertuarowy wyrażający się w nieprzemyślanym programie klasyki narodowej, doraznie «politykierskich» interpretacjach niektórych utworów /.../, braku ściślejszego powiązania działalności teatrowców z widownią robotniczą". Autorem relacji jest Jerzy Sokolowski, zaś przewodniczącym Ogólnopolskiego Partyjnego Zespołu Teatralnego - profesor Jerzy Adamski. Owocem posiedzenia był dokument o charakterze programowym pt. Stanowisko Prezydium Ogólnopolskiego Partyjnego Zespołu Teatralnego w aktualnych kwestiach polskiego teatru, w której czytamy m.in., że "sprawą nadrzędną jest społeczna funkcja teatru", zakłócana przez "kryzys gospodarczy i walkę polityczną". Zdaniem Zespołu, powołana powinna zostać jak najszybciej nowa reprezentacja twórczo-zawodowa, której "wstępna deklaracja powinna dotyczyć stosunku do państwa polskiego, jego ustroju i Konstytucji, stosunku do zasad i kierunków polityki socjalnej i kulturalnej państwa oraz zakresu przyszłej działalności stowarzyszenia". "Statut przyszłego stowarzyszenia nie może też zawierać przepisów o charakterze władztwa w stosunku do mecenatu państwowego, czy konkurencji w stosunku do władzy państwowej, takich np. jak prawo «weta» wobec decyzji kadrowych podejmowanych przez powołane do tego organy".

Powoli zaczyna więc realizować się marzenie W.Pomykała /Rzeczywistość, 7/83/: "monopolisci i właściciele folwarków /teatralnych/ będą musieli stanąć do szlachetnego współzawodnictwa, albo szukać dochodów poza granicami kraju. Tę ostatnią drogę wybiera część twórców, korzystając ze specyficznej koniunktury, która jest rezultatem chęci komplikowania przez Zasadę sytuacji w naszym kraju..."

Tymczasem pustkę organizacyjną w teatralnym świecie usilnie stara się zapełnić prof. Henryk Szletyński, zapatrzony w przykład profesora-pozytywisty Artura Sandaunera.

NOWY ZASP. Po długich konsultacjach prowadzonych głównie poza Warszawą doprowadził on do pierwszego zebrania organizacyjnego "nowego ZASP-u". Nie zap-



roszono na nią zadnego z przedstawicieli rozwiązanej w grudniu '82 roku organizacji aktorów, co zresztą wywołało zdziwienie tylko jednego z uczestników narady, reprezentanta teatru w Bielsku-Białej. Na zebraniu powołano komisję Statutową i Organizacyjną. Mają one przygotować materiały na jesienny zjazd założycielski nowego związku. Sam Szletyński wygłosił obszerny referat, w którym liryczne wspomnienia weterana, przeplatane są zaskakującymi akapitami poświęconymi teraźniejszości. Oto cenniejsze fragmenty referatu pt. O i n t e g r a c j e a k t o r s t w a p o l s k i e g o: "Najstarszy mój kolega /.../ po przeczytaniu w gazecie wiadomości o rozwiązaniu naszego Stowarzyszenia natychmiast zatelefonował do mnie. Łkając powtarzał: « Nasze dziecko... nasze dziecko... ». "W okresie powojennym /.../ miałem możliwość poznania ministrów kultury i sztuki /.../. Jadłem ich wszystkich w wystarczających porcjach. Dlatego mogę stwierdzić, że obecnie na tym fotelu zasiadł niezwyčajny autokrata, w dzisiejszej szczególnie złożonej sytuacji teatralnej twórciel szczególnie zaskakujących decyzji. Więć musiałem być czujny". "Wiele osób kwaśno ocenia fakt, że pierwsze słowa mego pisma zapraszającego do udziału w Komitecie Organizacyjnym Stowarzyszenia brzmią: «Minister KiS profesor K. Ży-gulski, upoważnił mnie do organizowania Stowarzyszenia...» Kochani, drodzy koleżdy, którzy z tych słów wysnuwacie wnioski, że Stowarzyszenie nasze będzie « dyspozycyjne », że będzie nad nim protektorat ministra itp., itp., czy naprawdę nie rozumiecie, że te słowa właśnie po to wpisałem, by z góry zapewnić nowo powstającemu Stowarzyszeniu drogę do samodzielności". Kazimierz Dejmek wysłał depezę gratulacyjną.

OBSZERNY FRAGMENT REFERATU Henryka Szletyńskiego poświęcony został osobie Zygmunta Hübnera, który po rozwiązaniu ZASP-u, w porozumieniu ze środowiskiem aktorskim, próbował nawiązać zerwane kontakty z MKiS. Inicjatywa Hübnera po-traktowana została przez Szletyńskiego jako budujący przykład postawy zdrowo-rozsądkowej, prekursorskiej w stosunku do starań autora referatu, nie wyjawili jednak przyczyn, dla których Hübner ze starań tych zrezygnował.

W odpowiedzi Hübner wystosował list do H. Szletyńskiego prosząc o wydrukowanie pisma w "Życiu Literackim". Czytamy tam m.in.:  
"... pisze Pan, że nie zna Pan przyczyn, dla których planowane spotkanie nie doszło do skutku. Niętrudno się było dowiedzieć. Skoro jednak nie zamierzał się Pan dowiadywać, w szlusznej skądinąd obawie, że pełna wiedza uniemożliwi Panu manipulowanie moim nazwiskiem, czy zwykła uczciwość nie nakazywała poniechać poruszania sprawy, o której posiada się wiedzę cząstkową? /.../ Pisze Pan, że jest w sytuacji «nieporównanie pomyślniejszej» ode mnie. Nie zgadzam się z Panem. Ja reprezentowałem wolę określonego środowiska, które powierzyło mi zadanie rozmowy z Ministrem. Pan reprezentuje wolę Ministra wobec środo-wiska. /.../ Po zapoznaniu się z Pańskim referatem mam prawo przypuszczać, że celowo nie zaprosił mnie Pan na zebranie inauguracyjne, abym nie miał sposobności zabrania głosu. Była to jednak niepotrzebna obawa".

TYMCZASEM władze nieustannie manifestują swój "ufny" stosunek do ludzi teatru. Przekonał się o tym nawet K.T. Teoplitz, gdy swoim autorytetem zagwarantował I. Cywińskiej, że obszerny wywiad, który zgodziła się dać "Pegazowi" - pójdzie w całości. Z wypowiedzi Cywińskiej bez widzy Teoplitza wykrojono znaczne fragmenty. KTT podał się w związku z tym do dymisji. Rezygnacja została przyjęta.

"Wciąż na fali znajduje się natomiast J.P. Gawlik, o którego nominacji na dyrektora T. Rzeczypospolitej i Dramatycznego pisaliśmy w poprzedniej kronice. Musiał on jednak rozstać się z A. Łepickim, który odmówił kontynuowania prób w małym domu T. Rittnera. Na to miejsce ma wejść W e s e l e F i g a r a. Wybór cenny, tym bardziej, że po D a n t o n i e będzie to drugie dzieło przypominające nam czasy Wielkiej Rewolucji Francuskiej.

Z innych ciekawostek dotyczących życia i śmierci Teatru Dramatycznego od-

notowujemy zaskakująco szczerzy wywiad dyr. Wydz. KiS Urzędu Stołecznego - E. Krasowskiego udzielony "Kierunkom" / 9/83 /

- Kiedy umawialiśmy się na rozmowę, zastrzegł Pan, Dyrektorze, aby nie poruszać spraw Teatru Rzeczypospolitej i Teatru Dramatycznego. Dlaczego?

- Ponieważ nie leżą one w gestii miasta.

- W informacji prasowej podano, że zespół Teatru Dramatycznego otrzyma nową siedzibę. Gdzie?

- Nis wiem."

W TEATRZE NARODOWYM natomiast 16 kwietnia 1983 roku odbyła się premiera Z w o l o n a C.K. Norwida w reżyserii Krystyny Skuszanki. Była to pierwsza inscenizacja dyrekcji. Premierę uświetnił obecnością sam minister Żygułski i chyba się nie zawiódł. Skuszanka rozprawiła się bowiem ze wszystkimi "szaleńcami"-powstańcami. Szczególnie urzekająca jest scena rzucania kamieni przez młodzież - wyraźnie inspirowana relacjami DFV z obchodów 3 Maja. Jeśli można mieć drobny zarzut: pokazalibyśmy jeszcze palenie polskich flag.

Na premierze widzowie zajmowali tylko parter, a już od drugiego przedstawienia liczba wielbicieli talentu Skuszanki nie przekracza stu osób na jednym spektaklu /miejsc w Narodowym jest blisko 900/. Zapoznana artystka udzieliła wywiadu "Teatrowi" nr 5, gdzie czytamy: "K.S.: ...Czy Norwid przystaje do naszych czasów? Wydaje mi się, że z Norwidem trzeba obcować w ciszy. Krzyk, hasłowe zawołania, zbiorowe i łatwo zapalne emocje zagłuszają jego głos..." W związku z tym Skuszanka zaznacza, że "na wyczułone ucho na łatwe skojarzenia" i "nie sądzi, żeby nadbudowa historiozoficzna obciążająca interpretację Z w o l o n a sprzyjała rozumieniu tego dramatu", a wręcz przeciwnie, "zaciemnia go i kieruje uwagę odbiorcy w fałszywe kanały..."

Wywiad obok celów artystyczno-poznawczych stawia sobie bardziej trywialne zadania. Ni stąd ni zowąd pojawia się bowiem pytanie o rok 1968 w Narodowym. Dowiadujemy się o bohaterским akcesie Skuszanki do szeregów opozycji demokratycznej: "K.S.: .../ Wiadome jest wszystkim, którzy nie zechcieli utracić pamięci, jaki był mój publicznie wyrażony stosunek do sprawy zdjęcia przedstawienia D z i a d ó w /.../ Środowisko teatralne dobrze wiego wie, że objęcie po Dejmku dyrekcji w roku 1968 było dla mnie w ogóle nie do pomyslenia". Dodajmy, że pytania zadawał wprawnie nowy zastępca red. nac. "Teatru" - Andrzej Wanat. W ramach swojej - skromnie zasygnalizowanej - bezkompromisowej polityki wobec władz PRL, Skuszanka z Krassowskimi dają schronienie innym prześladowanym opozycjonistom: nowa dyrekcja zaangażowała m.in. Halinę Kosso-budzką, Stanisława Mikulskiego, Teresę Lipowską, Witolda Pyrkosa, a protagunistą zespołu uczyniła znieznawionego przez partię i rząd Wojciecha Siemiona.

FILMOWCY. W Zespole "X" usunięto ze stanowisk: Andrzeja Wajdę, Barbarę Pec-Slesicką i Bolesława Michałka, w innych zespołach pozbawiono funkcji Michała Komara, Andrzeja Wernera i Grzegorza Królikiewicza. Wajdę zarzucono, że filmy Zespołu "X" są sprzeczne z polityką kulturalną socjalistycznego państwa, a on sam, jako nieobecny w kraju, nie może dobrze kierować zespołem. Wajda odrzucił oskarżenia, stwierdzając m.in., że filmy, realizowane w Polsce muszą być zatwierdzone przez administrację filmową, a wg jej ocen z '81 roku Zespół "X" wysunął się na pierwsze miejsce pod względem artystycznym i ekonomicznym. Oświadczył też, że po nakręceniu D a n t o n a przebywał przez pół roku w kraju. "Byłem, jestem i pozostanę polskim reżyserem filmowym i żadne władze nie mogą zmienić tego faktu". Członkowie Zespołu "X" wystosowali list protestacyjny do min. Żygułskiego, w którym czytamy m.in.: "Z prawdziwym oburzeniem przyjąłmy decyzję władz kinematografii o zwolnieniu Andrzeja Wajdy ze stanowiska kierownika artystycznego Zespołu "X", Barbary Pec-Slesickiej z funkcji szefa produkcji i Bolesława Michałka ze stanowiska kierownika literackiego naszego zespołu. /.../ Decyzje władz kinematografii budzić muszą tym większy niepokój, że jednocześnie zwolniono w tym samym trybie kilku członków kierownictw innych zespołów. Zdaje się to wskazywać na pewne wysoce niepoko-

jące tendencje w polityce kadrowej, zadające cios nie tylko kinematografii, ale w ogóle kulturze polskiej i tym sensie sprzeczne z elementarnym interesem społecznym.

Nie możemy pozostać obojętni wobec tych faktów, dlatego też wyrazamy nasz stanowczy protest w najlepiej rozumianym interesie kultury narodowej.

Domagamy się cofnięcia tych decyzji jako szkodliwych. Domagamy się publicznej dyskusji o stanie kinematografii.

Ryszard Bugajski, Jerzy Diatłowski, Jerzy Demaradzki, Janusz Dymek, Feliks Falk, Włodzimierz Głodek, Hanna Hartowicz, Paweł Kędzierski, Andrzej Kotkowski, Krzysztof Lang, Marceli Łoziński, Krzysztof Nagowski, Jan Mogilnicki, Radosław Piwowarski, Andrzej Sapija, Krzysztof Tchórzewski, Maciej Wojtyczko, Janusz Zaorski, Tomasz Zygadło.

MIMO TAK MAŁO delikatnych metod władze nadal starają się o utrzymanie pozorów liberalizmu. Z wielkim hukiem obwieszono społeczeństwu decyzję o udostępnieniu DKF-om i kinom studyjnym dwóch pozycji: O s m e g o d n i a t y g o d n i a Forda wg opowiadania Hłaski i materiału zdjęciowego nieukończonego filmu w reżyserii Andrzeja Żuławskiego Na s r e b r n y m g l o b i e. Socjalistyczna odnowa trwa więc nadal. Nadal także z kin studyjnych i pokazów zamkniętych wydobyć się nie może film Piotra Szulkina pt W o j n a s w i a t ó w. Być może władze kulturalne oczyszczają już teren z konkurencji przed premierą niezwykle groźnie zapowiadającego się obrazu w reżyserii Ignacego Gogolewskiego pt D o m s w i ę t e g o D u c h a opowiadającego o jednym z epizodów z życia Cypriana Norwida /ZF "Profil", w roli poety oczywiście sam Ignacy Gogolewski/.

ROCZNICA POWSTANIA W GETCIE. Mimo zastosowania nadzwyczajnych środków bezpieczeństwa władzom nie udało się całkowicie upaństwić obchodów 40 rocznicy powstania w getcie warszawskim. 16 kwietnia tysiące ludzi uczestniczyło w uroczystej Mszy św. odprawionej w kościele św. Stanisława Kostki na Żoliborzu przez ks. Jerzego Popiełuszkę. Po nabożeństwie przemówił JAN JÓZEF LIPSKI:

"Przed 40 laty stanęli do swej ostatniej - dla większości z nich - walki bojownicy z warszawskiego getta. Walkę tę podjęli nie w obronie życia, bo uratować je mogli ucieczką - lecz w obronie ludzkiej godności. Był to więc czyn przede wszystkim symboliczny, o znikomej wadze praktycznej, natomiast o ogromnym znaczeniu moralnym zarówno dla Żydów, jak i dla całej ludzkości, a przede wszystkim dla narodu polskiego.

Refleksja nad sensem powstania w getcie warszawskim jest naszym obowiązkiem, jeśli wartości, w imię których stanęli do walki Powstańcy Getta, uważamy za wartości również nas obowiązujące".

Krótko, jasno, dobitnie sformułował te wartości ostatni z żyjących przywódców Powstania w getcie warszawskim, Marek Edelman, który po złamaniu oporu Getta przez hitlerowców - opuścił wraz z nieliczną grupą bojowców martwe już getto kanałami, by raz jeszcze wziąć broń do ręki w Powstaniu Warszawskim 1944 roku. W jego liście otwartym, wyjaśniającym, czemu odmówił swego udziału w oficjalnych obchodach rocznicy Powstania w getcie - czytamy: "Czterdzieści lat temu walczyliśmy nie tylko o życie - walczyliśmy o życie w godności i wolności. /.../ Bojownicy getta chwytając za broń, nie mogli w ten sposób uratować życia ani innym, ani sobie. Pozostawał więc jedyny sen walki: powiedzieć "nie" i pozostać w ten sposób aż do końca wolnym od konieczności wypełniania rozkazów morderców. Tę wolność mogła dać tylko broń w rękę. Toteż Gandhi, bezwzględnie konsekwentny przeciwnik użycia siły i broni - zapytany o swój stosunek do walki warszawskiego getta - tym razem zrobił wyłom w swej konsekwencji; właśnie dlatego, że walka ta nie miała na celu i nie mogła mieć triumfu i zwycięstwa i że jej sene wyczerpywał się w jej symbolicznym sensie moralnym /.../ Rocznicą powstania w getcie - jest nie tylko rocznicą powsta-

nia, i nie tylko rocznicą ostatecznej zagłady getta, i nawet nie tylko umową rocznicą zagłady milionów ludzi. Jest rocznicą faktycznej zagłady społeczności, którą polsko-żydowski pisarz Adolf Rudnicki, nazwał kiedyś «narodem Żydów polskich» opłakując jego koniec. Współżyliśmy na tych ziemiach od dawna, co najmniej od siedmiuset lat. Spotykając polskiego Żyda prawie nigdy wiedzieć nie możemy, czy jego ród nie jest dużo bardziej autochtoniczny niż nasz. Pierwsza Rzeczpospolita była krajem dużej tolerancji i humanitarnym, szczególnie w epoce swego rozkwitu. Dzieje nasze nie notują w tym czasie tego, czego pełną jest historia Europy: krwawych prześladowań Żydów, wygnań, ograniczania rozwoju ich kultury /.../ Jak antysemityzm zaczął już od połowy XIX wieku zatruwać nasz etos narodowy. W niepodległej Rzeczypospolitej dochodziło niestety do wydarzeń gorszących, których nie możemy wspominać bez wstydu. /.../ Po wojnie pogrom w Kielcach. Zapewne mają rację ci, którzy przypisują go prowokacji - ale prowokacja udać się nie może, gdy nie ma dla niej gruntu. Jeszcze w 1968 roku przeciw ruchowi studentów i intelektualistów użyto propagandy antysemickiej. Ci, którzy to wywołali, nie odnieśli na szczęście wielkich sukcesów, raczej znikome, niestety - nie żadne.

To już jest stała praktyka - przeciw polskim dążeniom niepodległościowym i wolnościowym - usiłuje się wywołać falę antysemityzmu. Tak jest do dziś. Wczoraj i dziś antysemityzm próbowano użyć jako kłody na drodze opozycji, KOR-u, "Solidarności", przeciw wszystkiemu, co chce być w Polsce wolne i niezależne. /.../

Tragizm tej rocznicy, którą obchodzimy, to tragizm śmierci i zagłady, a również tragizm straconej szansy. Tyle setek lat współżycia - i tak mało było przez te wieki wzajemnego rozumienia się, poznania i miłości - mimo pięknych przykładów. Aż dziwne, jak stosunkowo mało przeniknęliśmy się, jak mało nam, Polakom, znana jest wielka, bogata kultura Żydów polskich. Kultury umierają inaczej niż ludzie. /.../

Cześć i hołd, który składamy poległym i pomordowanym, będą naszym gestem, jeżeli nie połączymy go z pamięcią o tym, czym żyli i co kochali".

W NIEDZIELE, 17 KWIETNIA pod pomnikiem Bohaterów Getta odbyły się uroczystości zorganizowane przez Społeczny Komitet Obchodów 40 rocznicy powstania. Roman Zimand odczytał list doktora Marka Edelmana: "Moim najgorętszym życzeniem i obowiązkiem było dzisiaj być tu z Wami. Niestety, władze bezpieczeństwa uniemożliwiły mi to. Pragnę więc tą drogą przekazać to, co chciałem Wam powiedzieć. Spotykamy się w miejscu, z którego wywieziono na śmierć 400 tysięcy osób - kobiet, mężczyzn, dzieci, starców. Spotykamy się w 40-lecie podjętej próby, żeby zginąć inaczej niż chciał tego ludobójca, nie z pochyloną głową i zamkniętymi oczyma, ale z głową podniesioną, oczami otwartymi, z wolą życia w wolności i godności. Spotykamy się, żeby uczcić pamięć tych, którzy nie mogli się bronić, i tych, którzy mieli szczęście i zginęli z bronią w ręku. Nie o to chodzi, że byli to Żydzi, polscy Żydzi od pokoleń, od wieków mieszkańcy tego miasta, tak często deptanego i krwawionego, a zawsze wyciągającego ramiona ku życiu, ku wolności, ku godności. To byli ludzie, ich los był losem człowieka. Znamy go nie tylko w tym miejscu i w tym czasie który wspominamy, znamy go wcześniej, niestety również i później. Znamy go wczoraj i dziś, znamy go na różnych kontynentach, wszędzie, gdzie ekspansja i nienawiść, eksperyment społeczny i nacjonalistyczne zacietrzewienie, z jednych czyni morderców, organizatorów mordu, a drugimi wypełnia groby masowe, użyłnia pola pod rzekoma szczęśliwość innych nacji lub innych pokoleń.

Czcząc pamięć naszych braci, którzy zginęli tutaj, czcimy pamięć naszych braci, którzy zginęli lub giną wszędzie. Przypominając o tych, którzy o życie i wolność i godność walczyli tutaj, łączymy się ze wszystkimi, którzy o to samo walczyli, walczą wszędzie i dziś. Pragniemy wierzyć w możliwość istnienia takiego świata, w którym nie będzie ludobójstwa, nie będzie zniewolenia i upadlenia człowieka, nie będzie podziału na ludzi mających prawo do życia i

pozbawionych tego prawa. Wierzę w młodych, życzę młodym, żeby zaznali takiego świata, żeby zdobyli taki świat dla siebie i innych. Wierzę, że Wy, którzy tu stoicie, znajdziecie najlepszą, najkrótszą drogę do takiego życia bez upodlenia, bez niewoli, do życia w braterstwie, równości i sprawiedliwości. To, co mi zostało po moim życiu, to jest wiara w Was".

Nieoficjalne obchody 40 rocznicy zgromadziły ponad tysiąc osób. Przemawiał Janusz Onyszkiewicz. Dostęp do pomnika i dawnego Umschlagplatz blokowały gęsta kordony MO, w okolicznych uliczkach stały liczne budy i autokary z "aktywem robotniczym". Masowo legitymowano, odbierano także dowody tożsamości, kazać zgłosić się po nie na komendę. Kilka osób zatrzymano, wśród nich Janusza Onyszkiewicza, który 19 IV otrzymał sankcję prokuratorską. Lech Wałęsa nie zdołał przybyć na uroczystość - zatrzymany w drodze do Warszawy, siedział 9 godzin na komendzie w Olsztynie.

RKW MAZOWSZE wydała Oświadczenie: Pamięci Bohaterów Getta.

Z bojownikami Getta łączy nas walka ze zniewoleniem i upodleniem człowieka, łączy nas wspólne ideały. Jesteśmy dziś tropieni i prześladowani za to samo, za co niegdyś zabijano ludzi walczących w gettach, za to, że jak i oni chcemy żyć godnie. Okoliczności, w jakich przypało nam żyć, pracować i walczyć w czterdziestą rocznicę ich walki ostatniej, uniemożliwiają złożenie hołdu tak, jak byśmy tego pragnęli. Dlatego w ten sposób, jedyny, jaki nam pozostał, dajemy wyraz pamięci o bojownikach Getta i hołdu dla ich bohaterstwa.

Regionalna Komisja Wykonawcza NSZZ "Solidarność" Region Mazowsze  
Zbigniew Bujak, Zbigniew Janas, Wiktor Kulerski

ŚMIERĆ GRZEGORZA PRZEMYKA 19 letniego maturzysty z liceum im. Frycza w Warszawie, bestialsko zamordowanego przez funkcjonariuszy MO, wstrząsnęła całym społeczeństwem. Na mszy żałobnej 19 maja w kościele św. Stanisława na Żoliborzu zebrało się kilkadziesiąt tysięcy ludzi, aby później w zupełnym milczeniu udać się w żałobnym kondukcje na cmentarz. W tym olbrzymim tłumie, pomym na słowa księdza, iż "śpiewać i wznosić okrzyki mogą tylko prowokatorzy", tłumie, który manifestował swoje uczucia jedynie wznoszeniem w górę rąk ze znakiem "V", czuć się nie tylko smutek i współczucie, ale i tłumiony gniew przeciw oprawcom oraz tym co umożliwiają im działanie. Ten milczący protest krył w sobie więcej siły i nienawiści, niż wszystkie głośne manifestacje.

Na ręce różnych przedstawicieli władz wpłynęły też rozliczne listy zbiorowe i indywidualne. Poniżej cytujemy fragmenty listów Wiktora Woroszyńskiego i prof. Edwarda Lipińskiego.

Do  
Pierwszego Sekretarza PZPR  
Premiera Rządu PRL  
Gen. armii Wojciecha Jaruzelskiego

Dnia 12 V br. o godz. 19-tej bez żadnego powodu milicja zatrzymała na Placu Żankowym w Warszawie 19-letniego maturzystę Grzegorza Przemęka, syna poetki Barbary Sadowskiej. Zwieziono go na komendę MO przy ul. Jezuckiej i tam bestialsko skatowano, powodując ciężkie obrażenia organów wewnętrznych jamy brzusznej. Wymiotującego krwią i trącacego przytomność milicja usiłowała przez Pogotowie skierować do kliniki psychiatrycznej, czemu sprzeciwiła się matka /która zawiadomiona przez świadków zatrzymania dotarła do komendy i stała do pogotowia/.

Dnia 14 V Grzegorz Przymek zmarł w szpitalu mimo pomocy lekarskiej. /.../

Nie jest to, niestety, jedyny przypadek mordu dokonanego na rzekomych wrogach socjalizmu przez zaprawione do bicia i zabijania organizacje takie, jak ZOMO, MO i SB. /.../

Fakt, którego tyczy ten list, jest jeszcze jedną ilustracją tego typu

porozumienia, do którego zmierza stosowana praktyka. Praktyka ta sprowadza się do tego, że Państwo Polskie zamienia się w dżunglę bezprawia i mordu.

Warszawa, 17 maja 1983

Prof. Edward Lipiński  
Członek rzecz. PAN  
Członek kor. Academie des Sciences  
Politiques et Morales  
Członek British Academy

Wicepremier Mieczysław F. Rakowski  
w miejscu

W tym samym dniu, w którym ukazała się kolejna Twoja wypowiedź o "polityce otwarcia" władz stanu wojennego i "świecie wymyślanym", w którym żyją niewdzięczni twórcy kultury polskiej /P o d z i a ł y i z b l i z e n i a, "Polityka" nr 20 z 14 maja 1983/ - w szpitalu na Solcu umarł nie odzyskawszy przytomności, skatowany przez siły "porządku" osiemnastoletni uczeń Grzesz Przemek, jedyny syn poetki Barbary Sadowskiej.

Jeszcze widzę Barbarę - siedemnastoletnią uczennicę nieśmiało przynoszącą pierwsze wiersze do redakcji "Nowej Kultury", potem widzę Grzesia w wózku dziecięcym, i jeszcze potem - widzę wrażliwego, wartościowego chłopca, czułego syna, autora wruszających młodzieńczych wierszy. To o Barbarze i Grzesiu pisałem parę lat temu, że "przestałem się o nią bać, kiedy zobaczyłem tego syna, ogarniającego ramieniem jej kruchość, i ją, składającą mu głowę na piersi, bo zobaczyłem, że wreszcie ma swojego mężczyznę i opiekuna..."  
/C z i o w i e k s i ę r o d z i - "Więź", maj 1979/.

.../ Piszę ten list, nie żeby sztych z Twojego "świata realnego", który przeciwstawiasz naszemu "światu wymyślanemu", ale żeby z całą powagą za-  
pytać, co Ty i Twój wspólrządzący zamierzasz uczynić dla położenia kresu be-  
stialstwu. Nie sądzę, żeby sprawiało trudność wykrycie i ukaranie w majestacie  
prawa morderców syna mojej nieszczęsnej przyjaciółki, syna tego umęczone-  
go kraju, tego zdesperowanego społeczeństwa. Chociaż naturalnie nie nie  
wskrzesi Zamordowanego i nie ukoj cierpienia Matki, chcę wiedzieć, czy Ty  
osobiście użyjesz wszystkich swoich wpływów, żeby - inaczej niż tylekroć  
przedtem - przynajmniej tym razem stało się zadość elementarnej sprawiedliwo-  
ści. I co zostało uczynione, żeby ludzi wiadomych służb wyzwał z prawa do ok-  
rucieństwa, zdecydowanie cofnął zachętę do okrucieństwa, z jakiej zdają się  
coraz zuchwalej korzystać? Co zostanie uczynione, żeby młodzież polska, nasze  
dzieci, przestano wreszcie traktować jak wroga nr 1 tego państwa, tropioną  
zwierzynę, cel kaleczących z zabijających ciosów na ulicach miast i za nie-  
przenikniętymi murami?

Od odpowiedzi na te pytania więcej dzisiaj zależy, niż od czczych dekla-  
racji, mów i polemik, którymi usiłuje się zagłuszyć jęki torturowanych i mor-  
dowanych.

Warszawa, 16 maja 1983

Wiktor Woroszyński

PO KAZIMIERZE IŁŁAKOWICZOWNIE, Mieczysławie Jastrunie, Hannie Malewskiej do-  
łączył do grona nieobecnych JERZY ANDRZEJEWSKI. Do licznych artykułów, które  
ukazują się w prasie oficjalnej i niezależnej, dorzucamy nie tylko z kroni-  
karskiego obowiązku, wspomnienie o Pisarzu księdza Jana Twardowskiego, wygło-  
szone 26 kwietnia podczas Mszy żałobnej w kościele pod wezwaniem św. Króla  
Boromeusza na Powązkach: "Niech pisarze piszą i mówią o pisarzu Jerzym An-  
drzejewskim, niech krytycy oceniają jego dzieło, niech społecznicy wydobędą  
jego zdecydowany protest, ale ja książkę chcę opowiedzieć o tym, co mnie poru-  
szyło w czasie jednego z nim spotkania. Rozmawialiśmy i nagle niespodziewa-  
nie, trochę jakby nie na temat - wyraził życzenie, żebym mówił na cały głos  
Wierzę w Boga, tak zwany Skład Apostolski.

Recytowałem: Wierzę w Boga, Ojca Wszechmogącego, Stworzyciela nieba i

ziemi - słuchał chyba nie z pobożnością człowieka nawróconego, ale ze skupioną uwagą kogoś zdumionego każdym słowem, znanego mu przecież dobrze tekstu.

- stanął przyjdzie sędzić żywych i umarłych, wierzę w Ducha Świętego, święty Kościół Powszechny, świętych obcowanie, grzechów odpuszczenie, ciała zmartwychwstanie.

Byłem wzruszony jego słuchaniem: niby słuchał jak ktoś stojący na zewnątrz - ale wszystkim bliiski. I nagle sam odnalazłem w tych słowach, tyle razy powtarzanych, świeżość uroku i potęgę tajemnic, których nie sposób zrozumieć, ani sobie samemu wymyślić. Zachęcał do tego, żeby powtarzać.

- stanął przyjdzie sędzić żywych i umarłych. Wierzę w Ducha Świętego, święty Kościół Powszechny, grzechów odpuszczenie, ciała zmartwychwstanie.

Zwykle chorzy proszą o odmawianie Ojciec nasz, albo Zdrowaś Maryjo, Jerzy Andrzejewski był jedynym w moim życiu, który milcząc chciał słuchać wyznania wiary, jakby szukał rozrzuconego ładu serca.

Przeżył swym czujnym sumieniem ład i nieład, noc, popiół, diament i miękę, dramat poszukiwań. Chrześcijańin z pragnienia, wrażliwy stale na tajemnicę i dar wiary.

Jakże często w popiele gorzących ludzkich słabości, u bram piekła kryje się diament szlachetnego serca, jak skarb w glinianych garnkach, o których pisał św. Paweł.

Zmarły dał świadectwo zmagania się z kłamstwem naszych czasów. Stłumiony świadek.

Cztery lata temu, dokładnie w 10 minut po ogłoszeniu przez polskie radio wiadomości o tym, że kardynał Wojtyła został papieżem, dzwonił do mnie Jerzy Andrzejewski. Szukał w tej właśnie chwili kontaktu z księdzem, choćby na bardzo krótko.

Mówi się o spokoju wiary, jak czasem należy mówić o jej niepokoju, zwłaszcza kiedy ciemności kryją ziemię i po ciemku odnajduje się jasny brzeg.

Po mszy, jak zwykle po pogrzebie, będziemy śpiewali: "Anielski orszak niech twą duszę przyjmie..." - ale niech odprowadzi Cię tłum świętych grzeszników, szukających prawdy, gubiących się i odnajdujących, zablęconych i czystych, przymusowo milczących i wołających o sprawiedliwość, gorzących i natchnionych.

polecajmy go modlitwom wiernych i nie wiernych".

Nad grobem Pisarza przemawiali: Jan Józef Szczepański, Juliusz Żuławski, Jacek Bocheński. Po złożeniu setek wieńcy i kwiatów zebrani spontanicznie odśpiewali Zmarłemu Hymn Narodowy.

29 CZERWCA br. przyszło nam pożegnać kolejnego wielkiego twórcę literatury polskiej - zmarłego w wieku 61 lat MIRONA BIAŁOSZEWSKIEGO. Po mszy św. odprawionej za duszę Poety przez księdza Jana Twardowskiego w kościele pod wezwaniem św. Karola Boromeusza, kondukt odprowadził Zmarłego na miejsce ostatniego spoczynku. Nad trumną przemawiali: Jan Błoński i Marian Grzeźczak, zaś Leszek Prorok odczytał depeszę przysłaną z Kalifornii przez Czesława Miłosza. Oto wspomnienie o Pisarzu wygłoszone przez prof. Jana Błońskiego:

"Drogi, kochany Mironie - zebraliśmy się, żeby Ciebie pożegnać - przyjaciele i wielbicieli, koledzy po piórze i znajomi w sąsiedztwie. Co chcielibyśmy Ci powiedzieć, ale tak, żeby się wszyscy zgodzili, żeby to było od nas wszystkich razem. Myślę, że Twój żalobnicy i Ty sam nie zaprzeczyłbyś, gdybym powiedział, że byłeś osobny.

Lubiłeś to słowo. Często zjawiało się w Twoich książkach, nazywałeś nim swój teatr; wiedziałeś, że jesteś osobny, chciałeś być osobny, umiałeś być osobny. Ale co to znaczy? Co to znaczyło "być osobnym" w Twoim życiu, w Twojej twórczości?

To znaczyło: mówić własnym głosem, słuchać samego siebie bez pychy artysty-

ty, bez pokory faryzeusza. Nie bać się ani, że Twoje wiersze nie będą się podobać wielkom, ani też, że uchylą się rozumieniu publiczności. To wszystko, co zarazem karmi i zatrważa literaturę: nagrody i redakcje, znajomości i mody - było Ci najdoskonalej obojętne. Nie można nawet powiedzieć, żebyś tym pogardzał, to po prostu dla Ciebie nie istniało.

Umiałeś żyć w biedzie i w dostatku, w ciszy i w rozgłosie, w zdrowiu i w chorobie, w tej szczególnej skromności, która oznaczała dla Ciebie i dla nas, że idziesz po dobrej drodze. Być osobnym to wiedzieć do czego zostajeś powołany i to swoje powołanie spokojnie wypełniać. To było powołanie poety i pisarza, czyli kogoś, kto umie, ceni, musi mówić językiem osobnym.

Nie miałeś w poezji wielu poprzedników. I chociaż z czasem wyroliło się w literaturze pętomstwo, nie bardzo o nie dąłeś w słusznym przekonaniu, że musi samo sobie dawać radę.

O osobliwości i o osobności Twojej poezji, Twego języka wiele napisano. Twoje książki stały się wyzwaniem i zadaniem dla całej gromady krytyków i badaczy. Mogło Cię to bawić tylko, ale nie zmieniło, nie odchyliło kierunku twórczego.

Jak określić tę Twoją zżyłość z polszczyzną, która nie miała sobie równych? Była to - myślę - taka zżyłość, która doświadczenie życia utożsamia z praktyką języka. Mówić dla Ciebie było jakby tym samym, co żyć. I jak w życiu przechodzimy przez wszystkie rejestry odczuwania i myślenia, tak Ty w poezji umiałeś spożytkować wszystko, co się w języku może zdarzyć: od patetycznej formuły /bo umiałeś być patetyczny/, jak w tym zdaniu o mieście, co zginęło i królach, których nie umieliśmy uchronić/, od patetycznej formuły więc do kafkonia ulicznej paplaniny.

Twoja osobność na tym w literaturze polegała, że nie odrzuciła żadnej językowej możliwości, jak nie pogardzała żadnym, choćby najbardziej koślawym, przejawem ludzkiego życia. Taka osobność to w poezji - wielkość.

Ale to była wielkość bliska, wielkość, która pozostaje solidarna z prostymi sprawami tej ziemi. Bo przecież wszelką osobliwość umiałeś oswoić, uniknąć, uprzywatnić. Może to w Twojej twórczości najdziwniejsze, że choć należała do najbardziej wyrafinowanych była zawsze, w każdej chwili z nami, z nami na co dzień - dzisiaj, w przeszłości i w przyszłości. Z nami to znaczy z tym, co skromne, powszechne, ludowe. Nie było bardziej od Ciebie demokratycznego poety. Bliższego zwykłym ludziom, ich niepowtarzalnej dziwności, ich zwyczajnej ludzkiej krzątaninie, o której lubieś mówić. Byłeś kuchnią przeciw salonom, peryferiami przeciw oficjalności, prowincją przeciw wielkiemu światu. W Twojej twórczości jest i wielka historia, i wielka sztuka, i wielkie miasto, ale historia, sztuka, miasto - zwykłych ludzi, nas wszystkich.

Nigdy o Twojej osobności i Twojej bliskości nie zapomnimy i Ty pamiętaj o nas odпочyając w pokoju".

Prezentujemy też króciutki tekst przesłania odczytanego na Powązkach przez Leszka Proroka:

"Kochany Panie Mironie! Rad jestem, że odwiedziłem Pana będąc w Warszawie i że odbyliśmy rozmowę telefoniczną pomiędzy Kalifornią i Nowym Jorkiem podczas Pana wizyty w Ameryce. Zawsze chciałem wyrazić swój podziw dla Pana twórczości, której istotą była dobroć i ten stosunek do opisywanych ludzi, który nazywa się miłością. Powtarzam to teraz po Pana śmierci - Czesław Miłosz".

**W MARCU 1981 UKAZAŁ SIĘ** pierwszy numer krakowskiego miesięcznika literackiego "PISMO".

Start był znakomity. W sześciu kolejnych zeszytach /jeden podwójny/ wydrukowano m.in. wiersze Szymborskiej, Miłosza, Wata, Różewicza, Krynickiego, opowiadania Lema, Barańczaka, Kijowskiego, Nowakowskiego, Herberta, Szczepań-



skiego, Terleckiego. Felietony pisali m.in. Szymborska, Lem i Nyczek. Ukazały się także teksty Kotta, Głowińskiego, Janion, Burka, Błońskiego i wielu innych. Można bez przesady powiedzieć, że przez "Pismo" przewinęła się duża część elity polskiej humanistyki.

Po 13 XII 81 miesięcznik został zawieszony, a wkrótce potem zlikwidowany. Nie ustawały jednak walki o jego reaktywowanie. Zakończyły się one sukcesem i w kwietniu '83 roku ukazał się numer 1-2 z datą styczeń-luty. Miesiąc później wydano numer marcowy. Redaktorem naczelnym pozostał Jan Pieszczachowicz, ale z zespołu musiały odejść trzy osoby: Maria Iisińska-Kozioł, Ewa Augustyn, Tadeusz Nyczek. Dokooptowano natomiast Henryka Markiewicza, Antoniego Podrazę i Wisławę Szymborską. 2 zeszyty z '83 roku nie odbiegają poziomem od wcześniejszych. Prawdopodobnie też dlatego po wydaniu 1-2 numeru ukazał się w "Polityce" donos pióra Kyszarda Marka Grońskiego. Wkrótce potem odwołano redaktora naczelnego. W ślad za tym do dymisji podała się cała redakcja. Ostatnimi numerami wydanymi pod dawną redakcją był zeszyt 5-6.

**5 CZERWCA** odbyło się, za zgodą władz, posiedzenie Zarządu Głównego Stowarzyszenia Filmowców Polskich. Większość władz naczelnych Stowarzyszenia z prezesem Andrzejem Wajdą, podały się do dymisji przed upływem kadencji.

Zespół do Spraw Kultury wydał w sprawie SFP oświadczenie: ".../ Rozwiązanie Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, likwidacja ZASP-u, wielokrotne użycie szantazu wobec ponownie zawieszzonego ZASP - nie były to zwycięstwa państwowego aparatu przyniosły nam środowiskami twórczymi. Przeciwnie - wydarzenia te, choć niekorzystne, konsolidowały ich jedność i solidarność /.../ podobnie jak unacniały je niewątpliwie sukcesy jak uratowanie niezależności i samorządności przez Związek kompozytorów polskich, Stowarzyszenie Architektów Polskich czy ZAKR. Solidarność ta dawała nadzieję, że utrzymane w stanie zwłoczenia /.../ ZLP, Polski Pen Club i Stowarzyszenie Filmowców wyjdą z walki o swą tożsamość zwycięsko. Niestety przebieg /.../ posiedzenia Zarządu Głównego SFP, spowodował istotną zmianę w tej sytuacji./.../ Rozumiejąc trudną sytuację materialną środowiska filmowego i jego znaczne uzależnienie od mecenaatu państwowego, Zespół do Spraw Kultury uważa jednak, że kapitulacja większości członków ZG SFP wobec nieuzasadnionych żądań władz nie przyniesie pożytku środowisku filmowemu i kulturze polskiej. Oceniamy ją jako naruszenie solidarności dotychczas postawy wszystkich środowisk twórczych".

**20 CZERWCA** rozwiązano ZASP, zawieszony dnia 30 marca, w wyniku uchwał podjętych podczas XVII Walnego Zjazdu. Władze zażądały odwołania nie tylko postanowień Zjazdu, ale i wszystkich pozostałych, podjętych po Sierpniu 1980. Prezydium ZG ZPAP na zebraniu 30 kwietnia uznało, że odwołanie decyzji nie jest możliwe, również ze względów statutowych bowiem odwoływanie decyzji przyjmowanych na posiedzeniach ZG oraz na Walnych Zjazdach nie leży w kompetencji Prezydium. Zgodę na zwolnienie posiedzenia ZG, MKiS oraz MSW uzależniły od akceptacji następującego wniosku: "Przyjmując do wiadomości decyzję Prezydenta m.st. Warszawa z dnia 31 III 83 Prezydium wniesie pod obrady ZG następujące sprawy:

- podjęcie uchwały gwarantującej, że po odwołaniu ZPAP działań będzie na gruncie prawa o stowarzyszeniach i statutu ZPAP,
- przyjęcie trybu przygotowań do Zjazdu w roboczej współpracy z władzami, co gwarantowałoby utwierdzenie władzy w przekonaniu, że będzie on przeprowadzony w atmosferze spokoju, rzeczowej i merytorycznej dyskusji opartej o dokumenty Zjazdu i nie wykraczającej poza statutowe normy działalności związku.

Prezydium ZG ZPAP sprzeciwiło się przyjęciu tego wniosku. Jego akceptacja równoznaczna byłaby bowiem z pogodzeniem się z bezprawną decyzją władz zawieszających działalność organizacji. 31 maja na konferencji prasowej w MKiS dyrektor Departamentu Plastyki K.Czejarzek poinformował o przebiegu i wynikach rozmów prowadzonych w dniach 12, 20 i 27 maja pomiędzy przedstawicielami MKiS

oraz Urzędu Miasta Stoł. Warszawa a członkami Prezydium.

Przezi: Aleksander Wojciechowski /Sekcja Polska Międzynarodowego Stowarzyszenia Krytyków Sztuki/, Zbigniew Zawistowski /Stowarzyszenie Architektów Rzeczpospolitej Polskiej/, Józef Patkowski /Związek Kompozytorów Polskich/, Andrzej Voellnagel /Związek Polskich Artystów Fotografików/ i Mateusz Święcicki /Związek Autorów i Kompozytorów/ wystosowali w imieniu swych stowarzyszeń do gen. Jaruzelskiego: "Niżej podpisani przedstawiciele stowarzyszeń i związków twórczych wyrażają głębokie zaniepokojenie działaniem władz administracyjnych wobec środowisk twórczych w Polsce. /.../ Zarzuty stawiane ZPAP świadczą o usiłowaniu pozbawienia środowisk twórczych prawa wypowiedzania krytycznych opinii o żywotnych sprawach społeczeństwa oraz najszerszej pojętej kultury narodowej. Działanie takie jest niezgodne z istotą społecznej funkcji twórcy, prawami obywatelskimi gwarantowanymi Konstytucją PRL, Paktaami Praw Człowieka i Obywatela oraz postępowymi tradycjami kultury polskiej. /.../ Mamy nadzieję, że Pan Premier - w imię nadrzędnych racji kultury narodowej - uwzględni przedstawione stanowisko i spełni naszą prośbę".

Na los ZPAP wo protest nie miał żadnego wpływu.

30 CZERWCA zawieszono na dalsze dwa miesiące działalność Związku Literatów Polskich. Decyzję tę poprzedziły działania, które mogłyby stać się ordoą każdej kroniki nielojalności, gdyby słowa "lojalność" lub "nielojalność" mogły mieć w stosunku do obecnych władz jakiegokolwiek zastosowanie: wydają się jednak pochodzić z innej planety.

8 maja tzw. masowe środki przekazu przyniosły wiadomości szokujące - dla ludzi śledzących /na ile to możliwe/ przebieg rozmów przedstawicieli Zarządu Głównego z władzami miejskimi i partyjnymi, starającymi się przy pomocy inwektyw, szantażów, przelicheń zmusić stronę przeciwną do ustępstw niezgodnych nie tylko z jakąkolwiek etyką twórczą, ale nawet ze związkowym statutem. Do 8 maja było wiadomo, że w obu sprawach - etyki i statutu - Zarząd zajmuje jedyne możliwe stanowisko, nie przyjmując upokarzających warunków, co zresztą - wbrew pomówieniom nie znaczyło - by nie był skłonny do żadnego porozumienia. I nagle zarówno TV jak i prasa, ogłasza, iż 15 maja "na prośbę prezesa ZG Jana Józefa Szczepańskiego" ma się odbyć - w trybie nieoczekiwane przyspieszonym - zebranie Zarządu, na którym zobowiązał się on ustosunkować krytycznie do "faktu wydawania przez członków ZLP utworów literackich lub uprawianie publicystyki społeczno-politycznej i literackiej w ośrodkach antysocjalistycznej dywersji za granicą /.../ jak i w nielegalnych wydawnictwach opozycyjnych w kraju" oraz zaakceptować projekt "powołania komisji zjazdowej w połowie z osób wyłonionych przez ZG ZLP a w połowie z osób zaproponowanych przez koalicję pisarzy członków PZPR, ZSL, SD, Pax. "Pomiędzy już fakt, iż punkt pierwszy żądał od Zarządu ustępstw których w roku 1968 nie udało się wymusić nawet na Jarosławie Iwaszkiewicz /żądanie usunięcia Kisielewskiego i Jasienicy/, na którego "rozsądną" politykę sama władza chętnie się powołuje, a punkt drugi przekreśla wszelkie zasady demokratyczne każąc mniejszości /owa druga połowa stanowi tak nikły, że wręcz żenujący procent wszystkich członków/ reprezentować ogromną i niechętną jej większość, pomijając już owe fakty, wydawało się absurdalne podejmowanie jakiegokolwiek zobowiązań przed zebraniem, które w takim wypadku byłoby tylko czczą formalnością /o ten punkt rozbijały się zresztą rozmowy obu stron już od stycznia/. Zdumiewający kompromis Zarządu, okazał się na szczęście mistyfikacją: pertraktujący z władzami przedstawiciele ZG dowiedzieli się o nim dopiero z telewizyjnego dziennika, ponieważ w rozmowach ustalono właśnie, że zebranie ma się odbyć bez żadnych warunków. W tych okolicznościach do posiedzenia, rzecz jasna dojść nie mogło. Droga jaka wiodła od momentu wysłania przez ZG protestacyjnego pisma do Prezydenta miasta do decyzji o dalszym zawieszeniu, pełna była podobnych matactw, których referować tu ze względu na brak miejsca nie sposób. Sprzeczne decyzje, wydawały się zresztą wynikiem jakichś dwóch walczących ze sobą "na górze"

koncepcji. Potwierdzeniem tego domysłu zda się kuriozalny nawet w dzisiejszej rzeczywistości, pięciocdinkowy serial szkalujący pisarzy "antysocjalistycznej opozycji". Polemika z zawartymi tam zarzutami byłaby pracą tyleż prózną co wstydliwą, warto może jedynie odnotować krzepiący dla "kontrrewolucji" fakt, iż do jej szeregów zaliczono wszystkich prawie pisarzy, których nazwiska w literaturze coś znaczą - nie pomijając Mieczysława Jastruna. W ten sposób okazało się więc pośrednio kto tworzy literaturę socjalistyczną: bezimienny w większości tłum Grzymkowskich, Lenartów, Gontarzów /by użyć stylistyki oficjalnej, na którego szczytzie niespodziewanym blaskiem jaśnieje/.

Przeprowadzone w końcu w dniu 30 czerwca rozmowy z przedstawicielami Zarządu, nie dały żadnego pozytywnego efektu, odwrotnie, o czym zdają się świadczyć lakoniczne wzmianki prasowe, potępijące postawę już nie tylko Jana Józefa Szczepańskiego i Andrzeja Brauna, ale - wcześniej nie wymienianego Leszka Proroka a nawet partyjnych członków Zarządu - Tadeusza Drewnowskiego i Mariana Grześczaka. Enuncjacje prasowe, pełne wzmianek o "dobrej woli" władz powtarzają też schemat stosowany w atakach na ZASP, starając się przeciwstawić Zarząd Główny tzw. "środowisku literackiemu" /zapominając, że wedle elaboratów "Trybuny" i w środowisku niewiele jest sprawiedliwych/. "Środowisko" nie dopuszczane oficjalnie do głosu, wysyła tymczasem do ZG listy popierające jego postawę. Co oczywiście nie może mieć żadnego praktycznego znaczenia w systemie, w którym nikomu z rządzących nie idzie o fakty.

WIZYJNE PAPIEŻA Jana Pawła II w ojczyźnie poświęcimy więcej miejsca w następnym numerze. Dziś, nagłeni terminami, pozwalamy sobie spełnić jedynie nasz statutowy niejako obowiązek publikując fragmenty niedopuszczonego do druku przez cenzurę PRL tekstu Apelu Jasnogórskiego z młodzieżą polską z dn. 18 czerwca 1983 r.

"/.../ Za chwilę mamy powtórzyć słowa Apelu Jasnogórskiego, słowa proste i mocne, słowa zasadnicze, słowa ewangeliczne, słowa miłości, którymi pragniemy trafić do serca Matki i w tym sercu ze sobą się spotkać, Spotkanie takie jest niezmiernie ważne. Nie możemy pozostać na tej trudnej polskiej ziemi bez spotkania w macierzyńskim sercu Pani Jasnogórskiej. I dlatego odwołując się do Was, którzy tu jesteście, Apel Jasnogórski, pragnę ogarnąć w nim zarazem wszystkich naszych rodaków na ziemi polskiej i poza jej granicami. W iluż to stronach świata, w iluż krajach, na iluż kontynentach, jasnogórski wizerunek jest równocześnie widomym znakiem duszy polskiej i ziemi polskiej. Na ziemi polskiej zaś pragnę, aby ten Jasnogórski Apel stał się modlitwą szczególnego nawiedzenia. Niech to nawiedzenie dopełni mojej nieobecności w tych wszystkich miejscach, do których byłem zaproszony, a do których przybyć nie mogłem. Dziś w Apelu Jasnogórskim łączę się szczególnie z Wami, drodzy Bracia i Siostry, których nie było mi dane ujrzeć ani spotkać na szlaku mego pielgrzymowania po Polsce. Poprzez obraz Pani Jasnogórskiej nawiedzam Was i jestem z wami zjednoczony.

"/.../ Matko Jasnogórsko! W tej wieczornej godzinie miłości, w której otwieram moje serce przed Tobą, nie mogę pominąć spraw, które zalegają wiele serc. Myślę, że słowa moje są nieporadne, bo trudno mówić głośno o bolesnych sprawach. Więc tylko Cię proszę, o Matko mojego narodu, za tymi, którzy cierpią, i za tymi, którzy sprawiają cierpienie. Bo przecież Twój Syn nie chce nikogo odrzucić. O Matko! i Pani Jasnogórsko! Pragnę w zjednoczeniu ze wszystkimi zawierzyć Tobie jeszcze raz mój Naród. Jestem jego synem. Noszę w sobie całe dziedzictwo jego kultury, jego historii, dziedzictwo zwycięstw. W tym szczególnie roku wspomniamy Jana III Sobieskiego i Wiedeń. Ale także dziedzictwo klęsk. Noszę w sobie świadomość jego zaniedbań, grzechów i win. Ale także świadomość dziejowych krzywd, jakich doznawał zwiastcza w ciągu ostatnich dwu stuleci. Jestem synem tego Narodu i dlatego odczuwam głęboko wszystkie jego szlachetne dążenia. Pragnienie życia w prawdzie, wolności, sprawiedliwości, solidarności społecznej. Pragnienie życia swym własnym życiem. Prze-

cież po 1000 lat dziejowych doświadczeń ten Naród ma swe własne życie, swą kulturę, swę społeczną tradycję, swą duchową tożsamość. Matko Jasnogórska! Pragnę Tobie samej zawierzyć to wszystko, co zostało wypracowane w trudnym okresie ostatnich lat, zwłaszcza od Sierpnia 1980 roku. Te wszystkie prawdy, zasady, wartości i postawy. Spraw, aby nic z tego, co prawdziwe i słuszne, nie zginęło! Spraw, aby stawało się tworzywem prawdziwej odnowy moralnej i społecznej. Z tą odnową Naród słusznie wiąże swe nadzieje. Spraw, aby na nowo, z odwagą, podjęty został dialog społeczny, poprzez który Naród mógłby odzyskać nadzieję pełnego uczestnictwa w stanowieniu o kształcie swojego wspólnego życia. Królowo Polski! Pragnę Ci także polecić trudne zadania tych, którzy sprawują władzę na polskiej ziemi. Państwo jest silne przede wszystkim poparciem społeczeństwa. Wobec Ciebie, o Matko Jasnogórska, zanoszę głośnie prosbę, aby to poparcie mogło płynąć z pełnego zrozumienia dziejowej drogi Narodu i współczesnych jego doświadczeń. Jest to równocześnie droga poszanowania człowieka, jego sumienia i przekonań. W tej trudnej godzinie dziejów zawierzam Ci, o Matko, wszystkich Polaków. Bo od każdego w jakiejś mierze zależy wytrwanie na drodze odnowy, sprawiedliwości i pokoju. /.../

O Matko! Uproś nam w tym świętym roku odkupienie i gotowość pojednania. Naucz nas zmierzać wytrwale do prawdy i sprawiedliwości tak, jak nas uczył Chrystus. Przybyłem tu na Jasną Górę w roku 1979 śladem wielkich patronów Polski, Wojciecha i Stanisława od Gniezna i od Krakowa. W tym roku przybywam śladem św. Maksymiliana, męczennika miłości, męczennika obozu oświęcimskiego. Przybywam też od świeżej jeszcze mogiły kardynała Stefana Wyszyńskiego, wielkiego Prymasa Tysiąclecia. Przez pamięć tych postaci, które wyznaczają drogę Kościoła w naszym trudnym XX wieku, proszę Cię, Pani Jasnogórska, aby Kościół ten mógł na ziemi polskiej nadal wypełniać swoją służbę. Tak jak przed 20 prawie laty przygotował Naród do wielkiej rocznicy 1000-lecia chrztu, tak niech teraz przygotowuje cały lud boży na polskiej ziemi do początku trzeciego 1000-lecia od narodzenia Chrystusa. Jest to jak gdyby nowy adwent ludzkości. Maryja jest światłem tego adwentu. Ona także poprzedziła pierwsze przyjście Zbawiciela na ziemię. Niech światło jej bożego macierzyństwa świeci mocno tutaj na Jasnej Górze i stale przybliża nas do Tego, który jest Drogą, Prawdą i Życiem. Synowie i córki tej ziemi przez część stuleci byli wrażliwi na to jasnogórskie światło Maryi. Niech pozostaną nadal tak wrażliwi, jak tego domaga się nasza epoka, epoka dziejów ludzkości i dziejów naszego Narodu w wielkiej rodzinie ludzkiej".

\*\*\*\*\*

**CENA: 250 ZŁ**

---

**KRAĞ**  
**K** WYDAWNICTWO  
KRAĞ  
WARSZAWA  
1983